

BADANIE TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ – CO SIĘ DZIEJE?

WAŻNY TEKST GLENNA JORGENSENA

CZY PLATFORMA PRZETRWA? ODPOWIADA JAN ROKITA

DANIEL OBAJTEK CZŁOWIEKIEM WOLNOŚCI TYGODNIKA „SIECI"

RELACJA Z GALI



WYŚCIG O PREZYDENTURĘ RZESZOWA. KTO MA NAJWIĘKSZE SZANSE?

SPOJRZENIE Z WEWNĄTRZ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 8 (430) 2021
22–28 lutego 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

SPISKIEM W PRAWICĘ

W STANACH ZJEDNOCZONYCH WIELKIE SIŁY NAPRAWDĘ KNUŁY PRZECIW TRUMPOWI. DZIŚ PRZYZNAJĄ TO NAWET LIBERALNE MEDIA. CZY WROGOWIE DEMOKRACJI RÓWNIEŻ U NAS OSIĄGNĄ SWÓJ CEL?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

08

9 772544 269106

CYFROWY POLSAT

PROSTA OFERTA TELEWIZJI!

PAKIETY Z KANAŁAMI DLA CAŁEJ RODZINY OD **30 ZŁ/MIES.**









SATELITARNA KABLOWA IPTV INTERNETOWA

Na start pełna oferta przez

1 MIESIĄC BEZ OPŁAT!

Zaprezentowano kanały z różnych ofert telewizyjnych. Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej, kablowej IPTV oraz internetowej przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Usługa telewizji kablowej IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange. Usługi telewizji internetowej i telewizji kablowej IPTV wymagają łącza o min. prędkości 8 Mb/s na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 17.02.2021 r. „Ptaki nocy i fantastyczna emancypacja pewnej Harley Quinn" © 2020 Home Box Office Inc. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.

eprasa.pl d563a9d9f8

Dlaczego aż tak przeszkadzamy?

Wiele już przeżyliśmy fal ataków na nasze media, tworzone przez czytelników i wspólnotę redakcyjną, ale miniony tydzień pobił kolejne rekordy. Wstępniaki w największych dziennikach, uwaga potężnych portali, nawet kilka minut w głównym dzienniku potężnej telewizji komercyjnej. Leją się kłamstwa i obelgi. Pretekst? Właściwie preteksty. Bo nagrodę Człowieka Wolności tygodnika „Sieci" znowu przyznaliśmy niewłaściwej ich zdaniem osobie, bo patrzymy na ręce wszystkim politykom, bo bronimy prawdy, życia i nie zgadzamy się na kłamliwe nagonki na wybrane akurat cele. W tym te na Kościół, gdzie nieliczne wstrętne przypadki nadużyć są uogólniane na całą wspólnotę.

Szczególnie nieuczciwe jest używanie argumentu finansowego. Opisuje się nasze media jako niemal imperium, bogate i finansowane przez spółki z udziałem skarbu państwa. A fakty? Spółki z udziałem skarbu państwa jedyne, co robią, to nie dyskryminują nas, jak to czynią wielkie domy mediowe, dzielące reklamę ze źródeł prywatnych. Zajrzyjmy do „Rzeczpospolitej", „Dziennika Gazety Prawnej", spójrzmy na portale internetowe, włączmy telewizje, a dostrzeżemy zalew ogłoszeń rządowych i ze spółek skarbu państwa. To są sumy nieporównywalne z tymi, które trafiają do naszych mediów.

I jeszcze kilka liczb. Cały nasz roczny budżet (lokal, pensje, papier, opłaty, podatki itp.) to mniej niż 30 mln zł. Dla porównania: czysty zysk zagranicznego właściciela TVN w roku 2019 wyniósł w Polsce 540 mln zł. Zysk! A przed epidemią spółka Agora, wydawca m.in. „Gazety Wyborczej", zapowiadała inwestycje w wysokości 1 mld zł. Podobne, miliardowe kwoty, to zyski niemieckich firm wydających media przeznaczone dla Polaków.

To jasno pokazuje, że wydając portal wPolityce.pl, tygodnik „Sieci", magazyn „wSieci Historii", nadając telewizję wPolsce.pl oraz realizując kilka innych przedsięwzięć, dysponujemy pieniędzmi będącymi promilem tego, jakie mają medialne potęgi. Musimy pracować ciężej, wszyscy za wielokrotnie mniejsze pieniądze, oglądając każdą złotówkę. A przecież tam jeszcze dochodzą pieniądze z samorządów, wielkich miast, które na propagandę nie żałują. Do tego dotacje z sorosowych źródeł.

Pytanie zasadnicze brzmi zatem: dlaczego aż tak przeszkadzamy? Nie mamy bogactwa, nie mamy siły, która z tego płynie, a wielkie platformy cyfrowe i inne monopole nas przyduszają i ograniczają, gdzie tylko mogą.

Odpowiedź jest w prawdzie, którą pracujący tu dziennikarze mają odwagę przedstawiać. Sprawdza się stara zasada, że promocja kłamstwa kosztuje miliardy, prawdy zaś bronić można taniej – o ile zostanie wypowiedziana. I o to chodzi. By tak domknąć system, tak zastraszyć wszystkich, by każdy bał się ją wypowiedzieć. By mogli kłamliwie z prezydenta zrobić pedofila (próbowali), by skuteczne i dobre dla Polaków rządy obozu Jarosława Kaczyńskiego prezentować wbrew faktom i liczbom jako klęskę (próbują), by radykalnie zdusić obronę wartości chrześcijańskich i patriotycznych (to będzie ich główny cel w najbliższych miesiącach).

W tle są także potężne interesy. Są siły, które aż przebierają nogami, by Polacy znowu konkurowali wyłącznie niskimi płacami, a przedsiębiorstwa będące jeszcze w narodowych rękach mogli przejąć za bezcen. A możliwe, że lasy też.

Dlatego ta lawina na nas spadająca jest tak wielka. Mają niemal cały rynek, ale czytane przez Państwa pismo i inne nasze media są mocną barykadą oporu. Uznali najwyraźniej, że za mocną.

Zapewniamy, że dopóki sił starczy, nie ulegniemy. Nie złamią nas nagonkami, groźbami, pozwami, szyderstwem i przemilczaniem. Nie złamie nas to ani nie odbierze radości życia, pracy, budowania strefy dobra i optymizmu. Nie zmusi też do podlizywania się potęgom, na co wielu ludzi prawicy poszło. Bo bywa ciężko, ale zawsze pamiętamy, że nasi przodkowie, dzielni Polacy, mieli jeszcze trudniej. A jednak wytrwali.

PS Pytają Państwo często, jak można nam pomóc. Najlepiej wykupując prenumeratę. Zwykłą lub cyfrową. Szczegóły w stopce redakcyjnej lub na stronie wPolityce.pl.

Michał Karnowski



eprasa.pl d503a9

Reklama | 6/0121/F

SIECI spis treści



30 Z prof. Zbigniewem Rauem
rozmawia Jacek Karnowski



64 Gdzie trafi Nawalny?
Marek Budzisz



70 Krwawe zapusty Jakuba Szeli
Wojciech Lada

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

12 **TVN INFO**
Krzysztof Feusette

13 **AMANTADYNA ZNÓW BĘDZIE W APTEKACH**
Dorota Łosiewicz

14 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

16 **WOLNOŚĆ PRZEZ LIKWIDACJĘ**
Jan Pietrzak

16 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

17 **NIEZNOŚNY CIĘŻAR BALU**
Bronisław Wildstein

18 **WALIZKA BARBARY WŁODARCZYK**
Michał Korsun

20 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

21 **DOMY KULTURY WARTE WSPARCIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

22 **FELIETON/POGAWĘDKA**
Tomasz Łysiak, Jolanta Gajda-Zadworna

TEMAT TYGODNIA

24 **SPISKIEM W PRAWICĘ**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

30 **Z PROF. ZBIGNIEWEM RAUEM**
rozmawia Jacek Karnowski

36 **RESET ZJEDNOCZONEJ PRAWICY**
Stanisław Janecki

39 **GRA PANDEMIĄ**
Konrad Kołodziejski

42 **WYŚCIG DO RATUSZA**
Jaromir Kwiatkowski

46 **ZWĄTPIENIE W PLATFORMĘ**
Jan Rokita

49 **Z PAWŁEM STYRNĄ**
rozmawia Wojciech Biedroń

52 **KTO SIĘ BOI PLAKATÓW Z NIENARODZONYM DZIECKIEM**
Dorota Łosiewicz

54 **JEST NAS CORAZ WIĘCEJ**
Dorota Łosiewicz

OPINIE

56 **BADANIE TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ – CO SIĘ DZIEJE?**
Glenn Jorgensen

ŚWIAT

64 **GDZIE TRAFI NAWALNY?**
Marek Budzisz

67 **Z MIROSLAVEM ŠKORĄ**
rozmawia Goran Andrijanić

HISTORIA

70 **KRWAWE ZAPUSTY JAKUBA SZELI**
Wojciech Lada

SIECI KULTURY

73 **SKAZANA NA SIEBIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

75 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

76 **LUKA W ORGAZMIE**
Robert Tekieli

77 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

78 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

KUCHNIA

88 **MOJE SMAKI: HALINA JAKSA**
Jolanta Gajda-Zadworna

89 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

90 **NIE TYLKO PIENIĄDZE, TO PRÓBA PARALIŻU PAŃSTWA**
Hanna Karp

92 **PLANDEMIA A KONFLIKT INTERESÓW**
Maciej Pawlicki

93 **JAŁTA**
Alina Czerniakowska

94 **FELIETONY**
Lech Makowiecki, Piotr Cywiński

96 **KS. BLACHNICKI – MISTRZ NIESKALANY**
Jan Pospieszalski

97 **NIECHBY, NIECHBY…**
Leszek Długosz

98 **HARAKIRI KULTURY**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 10/0221/F

eprasa.pl d563a9d9f8



I nowoczesną bankowość.

Dowód? Konto zakłada się u nas na selfie, a bankować mogą nawet 6-letnie dzieci.
Bo najważniejsze jest dostarczanie rozwiązań, które pomagają naszym klientom brać życie za rogi.
Każdego dnia.

Banka Pekao S.A.
Pełne informacje o naszych usługach znajdziesz na **pekao.com.pl**.

eprasa.pl d563a9d9f8



Sygnalista nadaje

Socjolog prof. Radosław Markowski wrócił do pytania, gdzie tankować: „Przyznam, mam kłopot, jak to możliwe, że szanujący się obywatel, mający respekt dla własnego rozumu, popierający gorąco Lewicę, PSL czy KO, podjeżdża na stację Orlenu? Co nie pozwala mu zrozumieć, że pokaźna część tego, co tam zapłaci, zostanie przetransferowana w polityczne pieniądze sprzeczne z jego wartościami i interesami?”. Coś nam się widzi, że gdyby ktoś Polskę zaatakował, to znów budowaliby bramy powitalne.

Markowski uważa, że bojkot Orlenu to za mało. „Takich firm jest więcej: banki, ubezpieczyciele... Tak samo z rejonami wolnymi od LGBT. Jeżeli są ludzie, którym podobają się nazistowskie metody wykluczania, a ktoś tego nie akceptuje, to powinienem zatroszczyć się o to, aby żadna złotówka nie trafiła do tych miejscowości. Tym bardziej że w większości to są miejscowości turystyczne”. Wciąż za mało. Może trzeba pójść na całość i ogrodzić „skażone powiaty” drutem kolczastym? Tak na początek.

Jeśli już o Orlenie mowa. Korespondent niemieckiej gazety „Frankfurter Allgemeine Zeitung” tak oto opisał transakcję, w której wyniku spółka paliwowa kupiła sieć gazet lokalnych i portali internetowych: „Pod koniec 2020 r. PiS znalazło wreszcie pierwszą ofiarę: bawarską Grupę Wydawniczą Passau (VGP), która sprzedała sieć gazet regionalnych, lokalnych i portale internetowe w Polsce koncernowi Orlen”. Widzą to państwo? Sprzedawca „ofiarą”! Przecież ta firma szukała nabywcy od lat i z ulgą wyszła z biznesu, który raczej nie zarabiał. Nie ma co owijać w bawełnę – pan Gerhard Gnauck ordynarnie i cynicznie oszukuje swoich czytelników.

Brytyjski „The Times” informuje o zaleceniach dla personelu oddziałów położniczych szpitali w Brighton. Zgodnie z nowymi instrukcjami zwrot „mleko matki” powinien być zastąpiony przez „mleko ludzkie”, „mleko z piersi/klatki piersiowej” lub „mleko od karmiącej matki lub rodzica”, a w zależności od okoliczności zamiast „kobieta” należy mówić „kobieta” lub „osoba”, zamiast „ojciec” – „rodzic”, „współrodzic” lub „drugi rodzic biologiczny”. Celem jest sprawienie, aby placówki były bardziej przyjazne transseksualistom. I tak pewnie będzie.

Autor kryminałów Zygmunt Miłoszewski: „Mnie tak naprawdę PiS nie dotyka, bo jestem zamożny. Moje młodsze dziecko chodzi do prywatnej szkoły, żeby się nie uczyć bez przerwy o Janie Pawle II i o tym, że trzeba gonić geja. Moja żona albo córka, gdyby były w niechcianej ciąży, to następnego dnia będziemy w hotelu w Amsterdamie i jeszcze zrobimy sobie z tego fajną wycieczkę po Europie”. No, chłopie, na skale to ty nie budujesz. Wcześniej czy później zostanie ci w ręku piasek. I straszne sny, w których zabite dzieci będą patrzyły ci w oczy.

Upojona tzw. Strajkiem Kobiet opozycja wszędzie widzi oznaki wiosny. Jerzy Sawka z „Gazety Wyborczej” zachwycił się burdami w Zakopanem: „Zabawowa noc na Krupówkach to najmocniejszy od 2015 r. akord buntu wobec obecnej władzy. To był bunt mocniejszy od Strajku Kobiet, od marszów KOD, od manifestacji pod sądami. Był najmocniejszy dlatego, że absolutnie lekceważący obecną władzę. Jakby nie istniała”. To chamstwo, które promujecie, wróci do was szybciej, niż myślicie. I przyjdzie z hasłami, które naprawdę zabolą.

Z nienawiści do rządu „GW” wspiera również „przedsiębiorców”, którzy łamią regulacje. Relację o dyskotekach, które zaczęły działać mimo zakazów, zatytułowano „Bat na

eprasa.pl d563a9d9f8

kluby". W artykule czytamy: „To już nie tylko kontrole i śledztwa. […] Poznańska policja poszła jeszcze dalej. W urzędzie miasta złożyła wniosek o cofnięcie klubowi koncesji na sprzedaż alkoholu". Dziś wspierają siewców śmierci, jutro zaatakują rząd za rosnącą liczbę zakażeń. Wyjątkowo nikczemne.

Platforma Obywatelska przekroczyła rubikon i opowiedziała się za zabijaniem dzieci nienarodzonych faktycznie „na życzenie". Przy okazji ***Małgorzata Kidawa-Błońska*** znów błysnęła groteskową wypowiedzią: „Dajemy możliwość dopuszczenia determinacji ciąży w wyjątkowych sytuacjach po spełnieniu warunku do 12. tygodnia". Wielu się śmiało, ale tu nie ma nic śmiesznego. A pani Małgorzata będzie kiedyś bardzo żałowała swojego przyzwolenia na ten straszny proceder.



W czasach gdy lewica wręcz celebruje aborcję, na ulicach polskich miast pojawiły się tysiące plakatów z nienarodzonymi dziećmi wpisanymi w serce. Billboardy nie spodobały się posłowi Lewicy Maciejowi Gduli, który ocenił, iż jest to jedna z „najbardziej natarczywych i obrzydliwych kampanii społecznych w historii". W sumie ważny trop: w czasach rozpadu społeczeństwa na małe plemiona rola reklamy zewnętrznej będzie rosła. Bo ulice są wciąż wspólne. I dlatego te plakaty tak mocno zabolały aborterów. Dziękujemy!



W Porozumieniu trwa wojna wewnętrzna pomiędzy ***Jarosławem Gowinem*** a Adamem Bielanem, którą rozstrzygnie zapewne dopiero sąd. Ale wicepremier nie traci czasu. Słychać, że po podróży do Niemiec planuje kolejną wyprawę do europejskiej stolicy. Jeszcze chwila, a będzie jak w końcowej fazie I Rzeczypospolitej: każdy z ważniejszych aktorów niczym magnat będzie prowadził własną politykę zagraniczną. Dla dobra ojczyzny, oczywiście.



Opozycja namawia Gowina do zmiany frontu. Władysław Kosiniak-Kamysz przekonuje, że „czas ucieka, trzeba się szybko decydować, gdzie się chce być". I oferuje pomoc: „Jako lekarz będę starał się to bielmo z oczu Jarosława Gowina zdjąć, żeby przejrzał i zobaczył, że to nie jest najlepsze, co w Polsce się wydarzyło". Lekarz ***Kosiniak-Kamysz*** nie powiedział jednak, jak uleczyć PSL, które już w niemal każdym sondażu ląduje pod progiem.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

Czy Gowin może obalić rząd? Grzegorz Schetyna widzi to tak: „Zrobię wszystko, żeby Zjednoczona Prawica straciła większość 231 posłów w tym Sejmie, jednak chcę powiedzieć wyraźnie, że nie widzę żadnych możliwości, żeby zrealizować pomysł rządu technicznego czy stworzyć inną koalicję. To jest po prostu niemożliwe". Były lider PO dodaje, że „jeżeli ktoś chce takie polityczne scenariusze pisać, to są to polityczne banialuki". To prawda. Ale większości ZP także nie straci. To już policzone.

John Abraham Godson, były poseł PO, a później wiceprezes w partii Jarosława Gowina, poinformował, że będzie kandydował na urząd prezydenta Nigerii w 2023 r. Trzymamy kciuki. Poglądy poseł Godson miał sensowne. Już w 2013 r. mówił tak: „W Platformie jest coraz mniej miejsca na różnorodność. Można deklarować, że się jest gejem, obnosić się z tym i wtedy człowiek spotyka się z aprobatą mediów, kolegów z partii. A jeśli ktoś, tak jak ja, jest chrześcijaninem, konserwatystą, to jest piętnowany i wyśmiewany". Cóż, współczesna „chadeckość" wymaga ofiar.

Studenci uczelni artystycznej Konstfack w Sztokholmie domagają się zmiany nazwy sali wystawienniczej „Morze Białe". Z wnioskiem w tej sprawie wystąpił do władz uczelni kolektyw artystyczny Brown Island (Brązowa Wyspa). „Czuliśmy się jak brązowa wyspa na morzu białych studentów. Nazwa sali tylko wzmocniła to doświadczenie" – przekonują młodzi ludzie. Internauci pytają: co w takim razie z Morzem Czarnym? Nie ma się co śmiać. I w Polsce idzie pokolenie, które nie cofnie się przed żadną orwellowską głupotą.

Już mamy pierwsze jaskółki. Jakub Majmurek przewiduje, że Polska też przyjmie czarnoskórych imigrantów i też będzie musiała przepracować swoją tożsamość. „Czy wybitny czarnoskóry aktor […] może zagrać Kazimierza Wielkiego albo Adama Mickiewicza? Nie ukrywam, że nie miałbym nic przeciwko takiemu eksperymentowi – w przyszłej wielorasowej Polsce czarny Kazimierz Wielki na ekranie mógłby się okazać naprawdę świetnym pomysłem". Nie lepiej, wzorem pewnego redaktora „Wyborczej", po prostu już dziś pomalować się na czarno?

eprasa.pl d563a9d9f8

Daniel Obajtek Człowiekiem Wolności tygodnika „Sieci”

Nie ma wolności bez narodowego kapitału



Zdjęcia Andrzej Wiktor

Rok 2020 upłynął pod znakiem pandemii. W tak trudnych warunkach niełatwo podejmować nowe wyzwania czy realizować zamierzone cele. Ta sztuka udała się prezesowi PKN Orlen Danielowi Obajtkowi i to właśnie ten menedżer otrzymał tytuł Człowieka Wolności tygodnika „Sieci” 2020

Finałowa gala ósmej edycji nagrody ze względu na pandemię, w trosce o zdrowie gości i laureata, odbyła się w cyfrowym studiu w hotelu Sofitel w Warszawie. Relacja z uroczystość została wyemitowana 16 lutego w telewizji wPolsce.pl.

– Wręczamy tytuł Człowieka Wolności, bo uważamy, że wolność to jest ta cecha naszego charakteru narodowego, która czyni Polskę, Polaków czymś szczególnym na mapie całego świata. Wręczamy ten tytuł, bo wiemy, że o tę polską wolność trzeba codziennie walczyć. Trzeba ją pielęgnować, trzeba jej pilnować, tak jak trzeba pilnować państwowości Polski – przypomniał genezę i ideę nagrody Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci”.

Wyjaśniając wybór laureata nagrody za rok 2020, szef tygodnika podkreślił: – Honorujemy człowieka, który najwięcej zrobił w sferze gospodarczej. To nie przypadek. Chcemy w ten sposób powiedzieć, że sfera gospodarcza staje się coraz bardziej kluczowa. Jeśli Polska będzie silna, będzie bezpieczna i będzie wolna.

O znaczeniu własności i polskiego kapitału mówił w swoim wystąpieniu Michał Karnowski, członek zarządu Grupy Medialnej Fratria: – Dziś gwarantem wolności jest polska własność w przemyśle, w handlu, w naszej codziennej pracy, w jakiejkolwiek profesji. Ale myślę, że także w sferze kultury i w sferze mediów to jest dzisiaj przykazanie podstawowe: „Tyle wolności, ile własności”. W tym kontekście wybór tegorocznego laureata Człowieka Wolności tygodnika „Sieci” wydaje się oczywisty.

Statuetkę „W” jak Wolność Danielowi Obajtkowi wręczył Romuald Orzeł, prezes Grupy Medialnej Fratria, w towarzystwie Jacka i Michała Karnowskich.

– Bardzo dziękuję za tę wspaniałą nagrodę. Ta nagroda jest dla mnie bardzo ważna. Ale ona nie jest tylko dla mnie. Jest dla wszystkich tych, którzy pomagają mi w tej pracy. Wszystkich, którzy dali mi możliwość zmiany rzeczywistości. Bo jest ważną rzeczą mieć możli-

51/0121/F

eprasa.pl d563a9d9f8

wość zmiany rzeczywistości, która nas otacza – mówił prezes PKN Orlen, odbierając nagrodę. – W tej mojej pracy towarzyszą mi słowa śp. profesora prezydenta Lecha Kaczyńskiego: aby utrwalić niepodległość, trzeba skonsolidować i zmodernizować Polskę. To można osiągnąć, budując silne państwo z silną gospodarką. Nie możemy dziś oderwać państwa od gospodarki. Gospodarka buduje silne państwo. Gospodarka wzmacnia państwo. Daje nam poczucie bezpieczeństwa, niezależności, komfortu wewnętrznego. Daje nam nadzieję na lepsze jutro, na przyszłość naszych dzieci i następnych pokoleń.



Daniel Obajtek zwrócił uwagę na znaczenie narodowości kapitału: – Próbowano nam niejednokrotnie wmawiać, że kapitał nie ma narodowości. Ale to były kłamstwa, które miały nas uśpić. I spowodować, by szalała dzika prywatyzacja. To było rozdawnictwo majątku narodowego za darmo. To była wręcz kradzież majątku narodowego.

Laureat wskazał na potrzebę budowania potężnego koncernu multienergetycznego, bo tylko on „może rozwijać polską gospodarkę". – Nie ma wolności bez narodowego kapitału, bez silnego narodowego kapitału. I dlatego jestem bardzo dumny z tej nagrody, bo również o tę wolność można walczyć zdrowym polskim biznesem, który będzie konkurował i który będzie się rozwijał również w naszym wspaniałym kraju i w całym naszym regionie – zaznaczył prezes PKN Orlen.

Z uwagi na to, że uroczystość odbywała się online, gratulacje dla laureata przekazano również w tej formie.

Jarosław Kaczyński w kilkuminutowym nagraniu zwrócił uwagę na zasługi szefa PKN Orlen. – Idziemy dobrą drogą i tego by nie było, gdyby nie prezes Daniel Obajtek. Bardzo sobie cenię, że mogłem go jako jeszcze wójta gminy Pcim poznać i mam jakiś udział w tym, że ten niezwykły działacz społeczny i gospodarczy, prawdziwy polski patriota, mógł uczynić wiele dla Polski. Jestem przekonany, że uczyni jeszcze dużo więcej. Ma ogromne możliwości, niezwykłą determinację i coś takiego, co daje Pan Bóg, a co trudno zdefiniować. Aurę, którą wokół siebie tworzy, która pozwala mu ludzi jednoczyć wokół celu, mobilizować – podkreślił prezes PiS. Przyznał, że czytelnicy tygodnika „Sieci" i kapituła nagrody podjęli słuszną decyzję: – Wybrali naprawdę dobrze, wskazali człowieka, który jest nadzieją – nie naszego obozu politycznego, nie jakiejś grupy, ale po prostu Polski. Wszystkich Polaków, którzy chcą dobra naszego narodu, którzy chcą żyć w kraju liczącym się, silnym, coraz silniejszym. I którzy chcą sukcesu polskich firm i całej Polski.

W specjalnym wystąpieniu gratulacje przekazała marszałek Sejmu Elżbieta Witek.

– Pan Daniel Obajtek jest człowiekiem czynu. On nie mówi o tym, co zamierza zrobić, on to po prostu robi. Nie mówi o planach, nie mówi o strategii. On te plany i strategie ma i konsekwentnie je od trzech lat realizuje – powiedziała pani marszałek. Dodała, że prezes PKN Orlen, który „włącza się w pomoc społeczeństwu w tym trudnym czasie pandemii, potrafi łączyć w sobie cechy menedżera zarządzającego dużą firmą, jednocześnie z empatią wobec potrzeb ludzi".

Satysfakcji z uhonorowania prezesa PKN Orlen nie krył prezes NBP Adam Glapiński: – Bardzo mnie ucieszyła decyzja kapituły i czytelników, bo w osobie zacnego laureata wyróżnia i nagradza nie tylko wyniki biznesowe koncernu, którym pan Daniel Obajtek z powodzeniem zarządza. Ale także, a może przede wszystkim, pewien bliski mi sposób myślenia o państwie i wolności.

Ciekawą analogią historyczną posłużył się Marcin Warchoł. – Napoleon Bonaparte mówił, że dla Polaków nie ma rzeczy niemożliwych, jakby znał pana prezesa Obajtka. Szarża Daniela Obajtka w polskim biznesie, jak ta pod Somosierrą, do której odnosił się Napoleon, budzi podziw. Ale jest przy tym coś, co imponuje mi szczególnie. To społeczna odpowiedzialność i zaangażowanie – powiedział wiceminister sprawiedliwości.

Z kolei Piotr Gliński, wicepremier, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu, tak charakteryzował laureata: – Daniel Obajtek to bez wątpienia uzdolniony menedżer, obdarzony inteligencją analityczną – sprawność, z jaką zarządza wielkimi koncernami i wdraża

Partnerzy Strategiczni:

PGE Polska Grupa Energetyczna

PZU

Partnerzy Główni:

Bank Pekao

LOTOS

PGNiG

TAURON

TOTALIZATOR SPORTOWY 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Partnerzy:

ALIOR BANK

30 lat arp

SALTUS UBEZPIECZENIA

eprasa.pl d563a9d9f8



Statuetkę laureatowi wręczył Romuald Orzeł, prezes Grupy Medialnej Fratria, w towarzystwie Jacka i Michała Karnowskich



Galę poprowadzili Dorota Łosiewicz i Michał Adamczyk



Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci", przypomniał genezę i ideę nagrody Człowieka Wolności

wielkie programy, budzi zrozumiały podziw. Uznanie budzi także jego skuteczność. Najważniejsze jednak, że jego impet i kierownicze kompetencje nie ustępują poczuciu odpowiedzialności. Dopiero połączenie tych cech charakteru – jako spójna całość – rysuje profil osoby wybitnej. Wybitnego polskiego państwowca, polskiego patrioty odpowiedzialnego za polskie sprawy.

Jacek Sasin, wicepremier i minister aktywów państwowych, w swoim wystąpieniu zauważył: – Dzisiaj Polska potrzebuje silnej gospodarki, dzisiaj Polska potrzebuje takich właśnie menedżerów jak Daniel Obajtek. I dodał: – Dziś na stacjach Orlenu dominują polskie produkty w miejsce tych importowanych, dzięki temu wiele polskich rodzinnych firm świetnie prosperuje, otrzymało szanse na rozwój i budowanie swojej przyszłości. Jestem pewien, że Daniel Obajtek nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, a ten tytuł nie jest ukoronowaniem jego dotychczasowych osiągnięć.

Słowa wdzięczności wyrazili również wybitni sportowcy współpracujący z PKN Orlen i szefem koncernu – mistrz świata na żużlu Bartosz Zmarzlik i legendarny kierowca Orlen Teamu Robert Kubica. – Panie prezesie, serdeczne gratulacje! – powiedział pierwszy Polak w Formule 1.

Galę, którą poprowadzili Dorota Łosiewicz i Michał Adamczyk, uświetniły występy Angeliki Korszyńskiej-Górny z zespołem oraz sopranistki Anity Rywalskiej-Sosnowskiej.

AM

Reklama | 46/0121/F

eprasa.pl d563a9d9f8

Nasza energia rozwija miasta

Blok gazowo-parowy na Żeraniu w Warszawie



termika.pgnig.pl

PGNiG | TERMIKA

eprasa.pl d563a9d9f8

TVN Info



KRZYSZTOF FEUSETTE

Dobry wieczór, witam państwa serdecznie w programie „Fakty przed Faktami po Faktach". TVN Info, zaczynamy. Mija trzeci dzień od ogłoszenia wyniku wyborów parlamentarnych, w których koalicja Koalicji Obywatelskiej, Polski 2050, Sojuszu Lewicy Demokratycznej, Polskiego Stronnictwa Ludowego oraz Konfederacji (Frakcja Lewa) osiągnęła miażdżące zwycięstwo, zdobywając aż 231 mandatów poselskich wobec jedynie 229 mandatów Prawa i Sprawiedliwości. Przypomnijmy, że już następnego dnia wiceprzewodniczący Rafał Trzaskowski (Platforma Obywatelska) w towarzystwie Sławomira Nitrasa (Policja Obywatelska) weszli do budynków telewizji publicznej, by dać odpór pogłoskom, iż nowa władza wycofa się z planów likwidacji TVP Info. Nie tylko, że się nie wycofała, to jeszcze likwidacji ulegli wszyscy dotychczasowi pracownicy stacji, a na pytania o ich los Trzaskowski odpowiada, że te wybory były o to, by takich pytań nie było.

Kraj. Przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej, Jego Ekscelencja Donald Tusk udał się z wizytą roboczą do sklepu z hulajnogami. Przewodniczący Borys Budka osobiście podziękował przewodniczącemu Donaldowi Tuskowi za jego wkład i zaangażowanie w kampanię wyborczą, a zwłaszcza pasjonujące wpisy na Twitterze, w których udało mu się minąć z prawdą 16 razy. Donald Tusk osobiście podziękował Borysowi Budce za jego osobiste podziękowania, na koniec odśpiewując swój słynny przebój „Hey, Jude", do którego teledysk kosztował kiedyś podatników jedyne 7 mln zł, tj. milion więcej niż koncert Madonny na Stadionie Narodowym z okazji objęcia resortu sportu przez ministrę Muchę.

Zagranica. Nie ustają wiwaty i fanfary na niemieckich ulicach z okazji zwycięstwa polskiego dobra nad polskim złem. Przypomina się tu lata pisowskiej okupacji i straszne, dzielące nasze narody postulaty reparacyjne. W wywiadzie dla niemieckiej telewizji Cwelcajtung 39 wyraźnie wzruszony redaktor naczelny Onet Polska Bartosz Węglarczyk obiecał natychmiastowy powrót portalu do drukowania przejmujących wspomnień żołnierzy Wehrmachtu z czasów ich smutnych ferii w Polsce. Rozmowa z wnukiem jednego z niemieckich bohaterów zaraz po serwisie.

Ze sportu. Niestety po raz kolejny nie doszło do dyskwalifikacji polskich skoczków, którzy na europejskich obiektach od dłuższego czasu czynią znak krzyża przed każdym skokiem. Na nic zdały się apele autorów „Gazety Wyborczej", by tego nie robić, gdyż oznacza to brak rozdziału Kościoła od sportów zimowych. Co gorsza, jeden z polskich reprezentantów o nazwisku... Zresztą, czy to ważne? W każdym razie w związku ze zwycięstwem zawodnika z orłem na piersi konieczne było odegranie polskiego hymnu na terenie Niemiec. „To najprostsza droga do polexitu" – skomentowała ten incydent prezydent Gdańska na antenie TVN Kultura.

Pogoda. Mroźne wiatry, opady śniegu oraz śniegu z deszczem, a także liczne awarie uniemożliwiły dziś ponownie wyjazd na ulice piaskarek w największych polskich miastach. Władze Warszawy, Poznania, Wrocławia czy Sopotu wystosowały apele do mieszkańców, by w ramach czynu społecznego, wywołanego spontaniczną radością ze zwycięstwa Koalicji Koalicjantów, w miarę możliwości sami się poodśnieżali. A ci, którzy będą to czynić najintensywniej, otrzymają specjalny kupon umożliwiający udział w losowaniu nagrody głównej w konkursie „Chcesz pięćset – daj dziewięćset". Czyli nowej wersji programu „500 plus", urealnionej dzięki błyskawicznej interwencji powracającego do rządu ministra Jana Półcenta, przepraszam, Vincenta Rostowskiego, któremu już wczoraj udało się zamrozić wypłaty.

A teraz, zgodnie z państwa życzeniem, trzecie orędzie trzeciej osoby w państwie, czyli sympatyczny, jak zawsze, marszałek Tomasz Grodzki. „Szanowni państwo, odzyskaliśmy wolność, mogę teraz przemawiać do państwa codziennie, niezależnie od tego, czy to się komuś podoba, czy nie, a raczej się podoba, z tego co słyszałem. Dziękuję za uwagę i za każdy państwa grosz, to znaczy głos. Wiwat Senat, wiwat marszałek Senatu, wiwat agencja public relations Mówiące Dłonie z Berlina".

Bardzo dziękujemy trzeciej osobie w pierwszej osobie i przenosimy się już do naszego gościa, którym jest dziś wielki modernizator, jeden z bohaterów naszej wyobraźni, prezydent na razie tylko stolicy, ale w przyszłości nasz, to znaczy nasz i wasz, czyli państwa też, kandydat na urząd głowy państwa i naszej też. Panie Rafale, przede wszystkim proszę przyjąć nasze gratulacje i podziękowania za przekształcenie tej stacji w TVN Info, na co nie tylko my, ale i cała Europa czekała z utęsknieniem. „Dobry wieczór, tak jak zapowiadałem, zlikwidowaliśmy dziennikarzy, realizatorów, kamerzystów, nawet panie od makijażu zatrudnione w TVP Info, dokonując tym samym wielkiego kroku na drodze pluralizacji polskiego rynku mediów. Właśnie o to chodziło, żeby tych ludzi nie było, natomiast sama stacja? Cóż ona zawiniła? Zmieniliśmy nazwę i dzięki temu mogą dziś państwo śledzić pasjonującą walkę o widza nieco starszej TVN24 z młodszą TVN Info". „Bardzo dziękuję, gościem kropki nad yyy... to znaczy... iii..., przepraszam, ale teraz to już mam tyle programów, że mi się mylą, ha, ha, ha. Najważniejsze, że ta telewizja znowu może być naszym domem. Bo nareszcie jest publiczna".

eprasa.pl d563a9d9f8

Amantadyna znów będzie w aptekach

Jak trudno kupić w Polsce lek zawierający chlorowodorek amantadyny, wie każdy, kto próbował to zrobić. Niedawno, żeby zdobyć preparat dla chorych na COVID-19 przyjaciół, jeździłam po Warszawie cały dzień i udało się kupić tylko jedno opakowanie.

Te trudności Ministerstwo Zdrowia tłumaczyło koniecznością zabezpieczenia pacjentów z chorobami przewlekłymi. To podobno z tego powodu szef resortu zdrowia wydał 30 listopada 2020 r. obwieszczenie w sprawie ograniczenia w ordynowaniu i wydawaniu produktów leczniczych na jednego pacjenta (Dz. Urz. Min. Zdrow. poz. 102) i wynikającą z tego ścisłą reglamentację produktu leczniczego Viregyt K, amantadini hydrochloridum, kapsułki po 100 mg, op. a 50 kaps., od EAN: 05909990320912. Jednocześnie resort przypomniał, że produkty sprowadzane z zagranicy na podstawie zgód ministra zdrowia na czasowe dopuszczenie do obrotu oraz inne produkty z substancją amantadini mogą być ordynowane przez lekarza we wszystkich wskazaniach rejestracyjnych oraz poza tymi wskazaniami, zgodnie z aktualną wiedzą medyczną, i mogą być wydawane z apteki bez ograniczeń wynikających z powyższego obwieszczenia. A w celu zwiększenia dostępności produktu minister zdrowia może wydawać zgody na czasowe dopuszczenie do obrotu, umożliwiające sprowadzenie produktu w opakowaniach obcojęzycznych.

I właśnie od końca listopada Ministerstwo Zdrowia wydało kilka takich zgód pozwalających na czasowe dopuszczenie do obrotu na terenie Polski opakowań leku Viregyt-K sprowadzanych z innych krajów. To w sumie ponad 100 tys. opakowań medykamentu, który nie będzie podlegał reglamentacji w aptekach. Innymi słowy – będzie mógł być przepisywany i podawany również pacjentom chorym na COVID-19. Taką informację podał portal dla medyków i farmaceutów – mgr.farm. Według tego portalu: „Ostatnie decyzje podejmowane przez Ministerstwo Zdrowia mogą sugerować, że resort przygotowuje się na zwiększone zapotrzebowanie na lek. Nasza redakcja dotarła bowiem do 7 zgód, jakie Minister Zdrowia w przeciągu ostatnich 2 miesięcy wydał na czasowe dopuszczenie do obrotu na terenie Polski ponad 100 tys. opakowań leków z chlorowodorkiem amantadyny. W większości jest to viregyt-K sprowadzany z Rumunii, Czech czy Słowacji. W sumie wydane zgody to 108,5 tys. opakowań preparatów z chlorowodorkiem amantadyny. I to sposób na ominięcie reglamentacji, którą wprowadziło 30 listopada MZ właśnie".



Oznacza to więc, że apteki, które wejdą w posiadanie viregytu-K, nie będą musiały stosować wobec niego przepisów reglamentacyjnych, a lekarze mogą zapisywać lek bez refundacji.

Warto szczególnie zwrócić uwagę na zgodę ministra zdrowia z dnia 1 lutego. Sytuacja jest o tyle ciekawa, że w tym samym czasie, gdy Rada Medyczna przy Premierze RP wydała stanowisko o nieskuteczności i niezalecaniu stosowania amantadyny w COVID-19, minister Niedzielski wydał zgodę na jednorazowe dopuszczenie do obrotu aż 80 tys. opakowań leku. Czyżby nawet w resorcie zdrowia nie słuchano już swoich ekspertów? To na pewno zwycięstwo zdrowego rozsądku nad uporem i zacietrzewieniem niektórych z nich. A dla tysięcy ludzi to szansa na zdrowie.

Może też, wydając zgody na czasowe dopuszczenie do obrotu na terenie Polski opakowań leku Viregyt-K sprowadzanych z innych krajów, Ministerstwo Zdrowia przygotowuje się na wyniki badań klinicznych, które są prowadzone w Polsce nad skutecznością amantadyny w leczeniu COVID-19.

Przypomnę tylko, że takie badanie, sfinansowane przez Agencję Badań Medycznych na zlecenie Ministerstwa Zdrowia, prowadzą dwa zespoły naukowe. Na czele jednego stoi prof. dr hab. n. med. Konrad Rejdak, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego, kierownik Katedry i Kliniki Neurologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie. Drugim zespołem kieruje prof. dr hab. n. med. Adam Barczyk, kierownik Katedry i Kliniki Pneumonologii Wydziału Nauk Medycznych Śląskiego Uniwersytetu Medycznego. W komitecie naukowym tego zespołu zasiada także dr Włodzimierz Bodnar, pulmonolog z Przemyśla. Oba badania są komplementarne i pozwolą poznać odpowiedź na pytanie, które od miesięcy nurtuje tysiące, a nawet setki tysięcy Polaków – czy mamy skuteczny lek w walce z SARS-CoV-2?

Dorota Łosiewicz



Fot. Lorna Roberts/Shutterstock.com

Precz z monarchią!

Brytyjska lewica ma pomysł na odcięcie się od przeszłości własnego kraju. Politycy z Partii Pracy opublikowali właśnie raport, w którym domagają się reparacji brytyjskiego rządu dla byłych brytyjskich kolonii. Jest też pomysł, aby stopniowo likwidować monarchię. Nie jest to dokument popierany przez kierownictwo partii, ale pokazuje on, w jak bardzo rewolucyjną stronę idzie dawne ugrupowanie Tony'ego Blaira.

Autorem 234-stronicowego raportu „Remaking the British State" jest Seán Patrick Griffin. Wpływowy lewicowy polityk przekonuje, że Partia Pracy powinna dziś szukać nowych pomysłów. Jednym z nich jest walka z historią Wielkiej Brytanii. W raporcie można przeczytać, że sprowadza się ona do „kolonializmu, grabieży, niewolnictwa, religijnej bigoterii i rasizmu". Krytycy raportu zauważają, że nie ma w nim żadnych informacji o pozytywnych osiągnięciach Imperium, w tym o pokonaniu nazistowskich Niemiec, industrializacji czy promocji systemu prawnego opartego na ławie przysięgłych, prawie do obrony i niezawisłości sądownictwa. Jest za to postulat przeproszenia wszystkich skolonizowanych krajów i wypłacenia im reparacji.

Najbardziej szokującym pomysłem jest jednak idea likwidacji monarchii. Autorzy są świadomi tego, że według sondaży większość Brytyjczyków jest wciąż dumna z rodziny królewskiej, więc zmiany mają być przeprowadzone stopniowo. Monarcha miałby formalnie pozostać głową państwa, ale oficjalna przysięga na koronę, składana podczas zaprzysiężenia na różne publiczne urzędy, zostałaby zniesiona. Podobny los miałby czekać królewskie odznaczenia, które byłyby zastąpione parlamentarnymi. W raporcie pojawia się też postulat pełnego rozdziału Kościoła anglikańskiego od państwa. Głową tego kościoła jest monarcha, więc postulat ten nabiera w Wielkiej Brytanii szczególnego wymiaru. Raport postuluje też konstytucyjny zakaz tytułów szlacheckich i – w jego następstwie – przekształcenie Izby Lordów w Senat reprezentujący regiony Wielkiej Brytanii. Mogłoby to oznaczać, że autorzy chcą zmiany Wielkiej Brytanii w federację.

Co na to przewodniczący Partii Pracy sir Keir Starmer? Raport jest dla niego problemem i wizerunkowym obciążeniem. Seán Patrick Griffin jest bowiem stronnikiem poprzedniego przewodniczącego partii Jeremy'ego Corbyna. Raport wygląda więc jak element walki frakcyjnej w łonie partii. Według niektórych mediów Starmer chce skierować Partię Pracy w umiarkowanym kierunku, co wywołuje tak radykalną reakcję skrzydła Corbyna. Niemniej jednak raport jest logiczną kontynuacją działalności brytyjskiej lewicy, której politycy popierają siłowe obalanie pomników i wymazywanie z historii zasłużonych postaci oskarżanych dziś o rasizm i kolonializm. Czy dystans Stramera wystarczy, aby zatrzymać to rewolucyjne szaleństwo?

Łukasz Adamski

Kolonizacja czy ewangelizacja?

Filipiny

W Manili rozpoczęły się uroczystości związane z 500-leciem obecności chrześcijaństwa na Filipinach. Obchody są planowane przez cały rok. Pierwotnie rocznica miała być świętowana bardzo hucznie, jednak z powodu koronawirusa jubileuszowe wydarzenia zostały poważnie ograniczone.

Z tej okazji wspominana jest wyprawa Ferdynanda Magellana, którego okręty w marcu 1521 r. dotarły do Archipelagu Filipińskiego. Kiedy żeglarz wylądował na wyspie Cebu, jedną z pierwszych jego decyzji było polecenie, by nawracać tubylczą ludność na chrześcijaństwo. W bardzo krótkim czasie większość przywódców okolicznych wysp przyjęła chrzest. Wkrótce potem Magellan wdał się w konflikt z wodzem jednego z plemion i poległ w potyczce.

Pierwszym ewangelizatorem Filipin nie był więc kapłan i misjonarz, lecz portugalski żeglarz w służbie króla Hiszpanii. Trwającemu ponad 400 lat panowaniu przybyszów z Półwyspu Iberyjskiego Filipiny zawdzięczają swoje duchowe oblicze. W tym najbardziej chrześcijańskim państwie Azji katolicy stanowią dziś 80 proc. mieszkańców, protestanci zaś 10 proc.

Nie wszyscy jednak zamierzają obchodzić jubileusz. Prezydent Rodrigo Duterte zapowiedział, że zbojkotuje uroczystości. Stwierdził, że nie wie, „dlaczego ma świętować rocznicę podporządkowania jego kraju kolonizatorom hiszpańskim, którzy wprowadzili tu nową wiarę". W tej sprawie należy on jednak do mniejszości. Nawet ci, którzy potępiają imperializm i kolonializm, wyłączają zazwyczaj spod tej krytyki chrześcijaństwo.

Lokalny Kościół głosi z kolei, że 500 lat temu rozpoczęła się synteza dwóch kultur – miejscowej i europejskiej – która dała początek narodowi filipińskiemu. Symbolem tego połączenia jest archeologiczne znalezisko, czyli krzyż sprzed pięciu stuleci, na którym widnieje imię Jezusa napisane po łacinie i w miejscowym alfabecie baybayin. Biskupi zachęcają, by każdy wierny nosił w tym roku taki krzyżyk na szyi jako widoczny znak własnej tożsamości religijnej i narodowej.

Grzegorz Górny

Fot. Kutsenko Volodymyr/Shutterstock.com

eprasa.pl d563a9d9f8

Ukraina

Na wschodzie niespokojnie

W Donbasie po kilku miesiącach ciszy znów robi się niespokojnie. Czy możliwy jest wybuch kolejnego intensywnego konfliktu na wschodzie Ukrainy? „Uważam, że to jest nie tylko możliwe, ale – prędzej czy później – praktycznie nieuniknione. Kreml nie zrezygnuje z prób rozwiązania siłowego. Nie zamierzam podawać dokładnej daty, chociaż istnieją oznaki, że może to być późną wiosną" – powiedział w stacji telewizyjnej Ukraina 24 Aleksiej Arestowicz, doradca ukraińskiej delegacji na rozmowy tzw. trójstronnej grupy kontaktowej negocjującej kwestie Donbasu. Z kolei przewodniczący delegacji, były prezydent Leonid Krawczuk, zaznaczył, że „rozejmu już nie ma i Rosja zaczyna działać otwarcie".

Te oceny wynikają zarówno z zaostrzenia sytuacji na linii frontu, gdzie od początku roku zginęło już 10 ukraińskich żołnierzy, jak i z większego zaangażowania Rosji w Donbasie. Władze zbuntowanych regionów (donieckiego i ługańskiego) zorganizowały pod koniec stycznia forum „Rosyjski Donbas", na którym wystąpiła m.in. szefowa kremlowskiego koncernu propagandowego Russia Today Margarita Simonian. Zaapelowała ona, aby „mateczka Rosja zabrała Donbas do domu", dodając, że „mieszkańcy Donbasu chcą mieszkać w swoim domu i być częścią naszej ogromnej, wspaniałej i hojnej Ojczyzny". Podczas forum przyjęto również doktrynę „Rosyjskiego Donbasu", która zakłada poszerzenie obszaru samozwańczych „republik ludowych" oraz budowę Noworosji rozciągającej się od Odessy po Charków. Ostatnie deklaracje Władimira Putina zapewniającego, że Moskwa „nigdy nie opuści Donbasu", mogą więc oznaczać, że na Kremlu rozważany jest „wariant Abchazji" – zbuntowanej prowincji Gruzji, której niepodległość uznawana jest tylko przez Rosję i kilku jej satelitów w rodzaju Wenezueli czy Syrii.

Ukraińscy obserwatorzy uważają, że zaostrzenie konfliktu, większa liczba ostrzałów i demonstracyjne ściąganie ciężkiego sprzętu przez separatystów to część rosyjskiego planu. Moskwa chce wymusić ustępstwa na Kijowie oraz na państwach wchodzących w skład tzw. formatu mińskiego, czyli na Francji i Niemczech. Kreml niepokoi się również politycznym zbliżeniem Kijowa i Ankary. Ukraińskie siły zbrojne zakupiły ostatnio tureckie drony (te same, które odegrały wielką rolę w trakcie konfliktu o Górski Karabach), w Turcji budowane są korwety dla ukraińskiej marynarki wojennej, a grupa tureckich oficerów wizytowała niedawno linię frontu w Donbasie. Rosjanie nie chcą więc czekać, aż ukraińska armia wzmocni się na tyle, aby znów poważnie zagrozić rebeliantom.

Marek Budzisz



Zgody nie będzie

Kosowo

Wybory parlamentarne, które odbyły się tydzień temu w Kosowie, wyniosły do władzy nowe pokolenie polityków, ale ta zmiana na szczycie nie daje gwarancji stabilizacji gospodarczej ani politycznej. Działająca dotąd w opozycji lewicowa partia Ruch Samostanowienie zdobyła ok. 48 proc. głosów, a jej prezes Albin Kurti został głównym kandydatem na szefa nowego rządu. Dwa dotychczas największe ugrupowania – Demokratyczna Partia Kosowa i Demokratyczna Liga Kosowa – zajęły drugie i trzecie miejsce.

Wybory odbyły się przedterminowo, po tym jak prezydent Hashim Thaçi i kilku jego współpracowników zostało oskarżonych przez trybunał w Hadze o zbrodnie wojenne popełnione podczas wojny o niepodległość Kosowa. W rezultacie tych oskarżeń upadły dwa kosowskie rządy.

„My przychodzimy, a oni odchodzą" – skomentował Albin Kurti przed wyborami, a ich wyniki potwierdziły jego słowa. „Oni" to pokolenie polityków, takich jak Thaçi czy były premier Ramush Haradinaj, którzy wywodzili się z Armii Wyzwolenia Kosowa. Jednak wyborcy pokazali, że mają ich dość. Nie z powodu zarzutów trybunału w Hadze, ale dlatego, że Kosowo jest dziś jednym z najbiedniejszych krajów w Europie, z rekordowym bezrobociem i wielkimi nierównościami majątkowymi. To właśnie walka o lepsze warunki życia społeczeństwa zapewniła Kurtiemu zwycięstwo. To także główny – obok zwalczania korupcji – punkt jego programu wyborczego.

Kurti, który w 1997 r. był jednym z liderów protestów studenckich przeciwko prezydentowi Jugosławii Slobodanowi Miloševiciowi, nie poprawi natomiast relacji z Serbią, które od ogłoszenia niepodległości Kosowa w 2008 r. pozostają w złym stanie. Przyszły premier zapowiedział już, że kwestia negocjacji z Belgradem nie jest dla niego priorytetem. Wcześniej zaś stwierdził, że Serbia jest „głównym problemem Bałkanów Zachodnich", ponieważ gra tu rolę „małej Rosji".

Jednym z punktów negocjowanej normalizacji stosunków między Serbią a Kosowem była wymiana terytoriów, w ramach której tereny zamieszkałe głównie przez Serbów wróciłyby pod kontrolę Belgradu, a te gdzie większość stanowią Albańczycy, zajęłaby Prisztina. Plan wymiany terytoriów, którym zainteresowali się Thaçi i były premier Avdullah Hoti, wydaje się jednak zupełnie nieistotny dla Kurtiego. Niewykluczone, że również realizacja porozumienia o zacieśnieniu wzajemnych stosunków gospodarczych, wynegocjowana jesienią zeszłego roku pod auspicjami Donalda Trumpa, zostanie zakwestionowana. Porozumienia z Serbią na razie więc nie będzie.

Goran Andrijanić

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Wolność przez likwidację



Jan Pietrzak

Ciekawą argumentacją w obronie wolności słowa posługują się politycy PO. Najczęściej powtarzanym punktem ich programu jest likwidacja Telewizji Polskiej. Zwracam uwagę, że to przedsiębiorstwo jest fabryką słów. PO chce nam tu zaprowadzić wolność przez likwidację nielubianych słów! Za słowami na ogół kryją się myśli. Czasami jednak – tępa, ciemna bezmyślność. Po prostu nie życzą sobie, by ktoś mówił o ich awariach, nieudolności, bezradności wobec polskich wyzwań.

Kiedy rządzili przez dwie kadencje naszym państwem, trzy największe telewizje nadawały jednakowo obłudne wiadomości, za nimi wszystkie radiostacje i 90 proc. prasy czytanej. Mainstream służył Tuskowi i kolegom z boiska. Jedynie u Sowy & Przyjaciół można było usłyszeć ciekawsze newsy. A także w Kabarecie pod Egidą, dopóki go nie zlikwidowano. Kiedy okazało się, że ówczesna gazeta „Rzeczpospolita" próbuje być samodzielna, Tuskowa władza chytrym manewrem zmieniła ją w swój organ. Kiedy „Wprost" wyskoczyło z demaskatorskim tematem, nasłano na redakcję osiłków.

Ale poczynania likwidatorów mają znacznie bogatszą historię i większy zasięg. Likwidacja przemysłu stoczniowego, cementowni, cukrowni, posterunków policji, lekcji historii Polski, Trylogii, „Pana Tadeusza", linii autobusowych, stacji kolejowych... Tej obsesyjnej likwidacji polskości służyły media, więc je w dużym stopniu oddano w obce ręce, żeby wmawiały społeczeństwu, iż niepotrzebne tu stocznie, bo można pracować w niemieckich, niepotrzebne PGR, bo trzeba zbierać szparagi u bauera, niepotrzebne w Warszawie lotnisko, bo jest w Berlinie, niepotrzebny LOT... itd.

Nie do końca można się zgodzić z opinią, że obecna nagonka totalnej opozycji i jej sponsorów na opodatkowanie mediów jest kłótnią jedynie o kasę! To jest spór o kształtowanie świadomości narodowej, o rozumienie ducha wspólnoty, o szacunek dla historii i odwagę myślenia o polskiej przyszłości, a przyszłość nie kończy się nigdy... Przez lata kłamano, że kapitał nie ma narodowości, żeby nas łatwiej okradać. Teraz pod pozorem wolności słowa prowadzą kampanie dezinformacyjne. Musimy pilnować, by wolność nadawcy nie niszczyła wolności odbiorcy.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Chcieliście radia, no to je macie



Dominik Zdort

Ty możesz zostać mordercą niewinnych ludzi, wystarczą dobre chęci i odrobina niezbędnego okrucieństwa. Możesz dołączyć do komanda, które będzie znacznie skuteczniejsze niż jednostki tego typu z obozów koncentracyjnych.

Tam mordowani Żydzi, Polacy, Cyganie, homoseksualiści też byli bezbronni, ale przynajmniej mogli próbować jakiegoś symbolicznego gestu oporu, który pokazywał oprawcom, że nie zgadzają się na eksterminację. Obecnie ofiary nie mają nawet symbolicznego głosu, a komanda dysponują wielkim medialnym wsparciem. A kiedy ktoś odważy się zaprotestować przeciw chwaleniu oprawców, musi się liczyć z tym, że zaraz zostanie zaszczuty, oskarżony, że jest cenzorem.

Co to by było, gdyby ktoś opublikował tekst, wyemitował audycję chwalącą sonderkommando w obozie Auschwitz, doceniającą działania ich kapo. W końcu to byli wspaniali ludzie, uwalniający swoje ofiary od nieznośnej lekkości bytu...

O tym pomyślałem, gdy przeczytałem, jak zaszczuwa się Radio 357, które nie zgodziło się na audycję promującą działalność kolektywu Cioci Basi – aborcyjnego komanda w Berlinie. Słowo o tej jednostce eksterminacyjnej, bo może nie każdy ją zna. Otóż w Niemczech (podobno też w Czechach i Austrii) zorganizowały się grupy pomagające w zabijaniu polskich dzieci nienarodzonych. Nie chcę nawet pytać, po co i jak, jedno nie ulega wątpliwości – przypomina to działające w obozach koncentracyjnych kolektywy więźniów, które pomagały w mordowaniu współtowarzyszy.

Wracając do radia, 357 jest jedną z resztówek po radiowej Trójce, złożone z dziennikarzy, którzy stamtąd odeszli. Nie mnie – który w życiu miewał podobne dylematy – oceniać, czy mieli rację. Odeszli, ale dziś trzeba napisać o nich ciepłe słowo: potrafili się postawić agresywnej grupce swoich radykalnych fanów i nie zgodzili się na promocję eksterminacji niewinnych ludzi.

Biedne 357, myśleli, że mogą funkcjonować, nie zaprzedając się nikomu, także środowiskom wyznającym totalitarne lewactwo. Teraz sami stali się ofiarą swojej naiwności: skoro nie chcą popierać eksterminacji niesłusznych dzieciaków, to zaraz się ich oskarży o to, że wspierają pisowski faszyzm.

Cóż, sam tego chciałeś, Grzegorzu... (a właściwie Kubo). Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie... Trzeba było zostać w Trójce. Jaka była, taka była, ale na pewno morderczego komanda promować nie kazała.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl d563a9d9f8

BRONISŁAW WILDSTEIN

Nieznośny ciężar balu



Projekt serialu „Osiecka" w TVP od początku budził we mnie rezerwę. Stanowi kolejny akt swoistego solipsyzmu kultury masowej, która żywi się sobą samą i o sobie opowiada. Zjawisko to odsłania karnawalizację współczesnej egzystencji, próbę sprowadzenia jej do permanentnej zabawy, a jej sensu do rozpaczliwego poszukiwania „funu". Dodatkowe wątpliwości budzi okoliczność, że serial taki siłą rzeczy opowiadać musi o PRL, świecie nieprzedstawionym w III RP, a pokazywanie go poprzez życie swoistych celebrytów tamtej epoki utrwala jego zniekształcony obraz.

I rzeczywiście. Pierwsze odcinki serialu, choć sprawnie zrobione, dzieją się nigdzie. Stalinizm był straszny, gdyż można było wylecieć z ZMP. Dalej nie jest lepiej. Szczytem jest obrazek ze spotkania Osieckiej z Giedroyciem, który nakłania ją do małżeństwa, twierdząc, że jako obywatelka francuska, będzie mogła do Polski i z niej wozić, co chce. Tego typu bzdury mówią wyłącznie o naszych czasach.

Nierówny serial robi się jednak coraz lepszy. Spowodować to musiało jego potępienie ze strony strażników ideologicznej poprawności. Idiotka na branżowym portalu grzmi, że historia Osieckiej przedstawiona została jako moralitet o „kobiecie upadłej", podczas gdy winna być apologią „kobiety wyzwolonej".

Robienie poetki z dobrej autorki piosenek jest również symptomem naszej, kwestionującej wszelkie hierarchie epoki, w której blokowana w polityce demokracja ma się objawić w kulturze. Niemniej również masowa kultura bywa mądrzejsza od swoich twórców oraz odbiorców i potraktować ją można jako zwierciadło historii. W tekstach Osieckiej uderza głęboki smutek, żeby nie powiedzieć rozpacz, którą są podszyte wezwania do niekończącej się zabawy. Konieczność nieustającego karnawału staje się śmiertelnie ciężką, obowiązkową mordęgą. Jak słyszymy w chyba najgłośniejszym przeboju Osieckiej „Niech żyje bal": „Na bal, marsz na bal". I dalej: „Pchajmy więc taczki obłędu jak Byron, bo raz mamy bal" itd. No, radości w tym niewiele.

Podobnie dźwięczy kilka lat późniejszy światowy przebój The Queen „Show must go on". Beznadziejne – w granicach obowiązującego światopoglądu – pytania o to, po co żyjemy, czego szukamy, dlaczego pogrążeni jesteśmy w cierpieniu, kwitowane są niezmienną odpowiedzią wokalisty: „Przedstawienie (bal) musi trwać" i nie wolno przestać się uśmiechać. Te dwa przykłady reprezentować mogą nieskończoną liczbę podobnych produkcji.

W powieści „Czyż nie dobija się koni" i jej głośnej ekranizacji maraton tańca ku uciesze widzów prowadzi do skrajnego wyczerpania, a wreszcie śmierci uczestników. Współcześnie nie ma już widzów, tak jak z zasady nie ma ich w karnawale, w którym mamy partycypować wszyscy. Ale maska śmiechu, która przyrasta do naszych twarzy, wygląda coraz bardziej niepokojąco.

Błazen w kulturze masowej stał się dziś podejrzaną figurą. Beztroski wesołek, który miał rozśmieszać dzieci i dorosłych, pod radosnym wizerunkiem ukrywa groźną, jeśli nie straszną, tajemnicę. W „To" Stephena Kinga tajemniczy klaun z zaświatów prześladuje i morduje dzieci. Powieść ta to tylko najbardziej głośny sygnał zmiany skojarzeń związanych z tradycyjnie bezproblemowym trefnisiem.

Szczególnym wcieleniem tego toposu jest Joker z komiksów o Batmanie i, być może, to on stanowi główny pierwowzór współczesnego strasznego klowna. Zaczynał jako morderca obdarzony sadystycznym zmysłem humoru. Ostatnie filmy, w których się pojawia, są coraz bardziej ponure. Wybitny obraz Todda Phillipsa z 2019 r. „Joker" jest przygniatający, a komizm, którym jest nasączony, budzi grozę.

Kultura przekracza nasze indywidualne zdolności poznawcze. Zdarza się to nawet jej bardziej trywialnym, masowym przejawom. Nie sądzę, aby King czy któryś z wykorzystujących wątek strasznego klauna twórców współczesnych zastanawiał się nad jego sensem. Mimo to w świecie, który paradoksalnie stara się karnawalizować naszą codzienność – paradoksalnie, bo karnawał to czas wyłączony, zawieszający funkcjonujące reguły, jeśli stara się je trwale zastąpić, popełnia samobójstwo – przekształcenie rzecznika karnawału, jakim jest błazen, w figurę groźną staje się brzemienne w konsekwencje. Wskazuje, że nasza zbiorowa podświadomość zaczyna niepokoić się kierunkiem, w którym zmierza wesołkowata kultura. Odbierający nam dzieci klown może być wyrazem lęku epoki. Proces edukacji zastąpiła ona masową rozrywką, w efekcie czego wiecznie niedojrzali, skoncentrowani na sobie konsumenci karnawału, z którego nie ma ucieczki, coraz bardziej rozpaczliwie usiłują zabawić się na śmierć.

W epoce, która zakwestionowała wyższy wymiar istnienia, sferę ideału i powinności, normy oraz zasady, pozostaje wyłącznie zabawa. Coraz trudniejsza do udźwignięcia.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d563a9d9f8



Walizka Barbary Włodarczyk

dziennikarki, autorki reportaży, filmów dokumentalnych i książek o Rosji

Na Zachodzie jest tak normalnie, że aż nudno. A w byłym Związku Radzieckim ciągle coś się dzieje. Dlatego od lat podróżuję na Wschód, zwłaszcza do Rosji, która jest dla mnie tematycznym eldorado. W swoich filmach i książkach opisuję historie, jakich nie wymyśliłby scenarzysta z najbardziej wybujałą wyobraźnią. Np. sektę, która wielbi prezydenta Putina jako kolejne wcielenie apostoła Pawła albo milionera, który porzucił rezydencje, limuzyny i pałace, by zamieszkać w wiejskiej chacie i hodować kozy. Rosja to bardzo ciekawy i różnorodny kraj. To Europa i Azja. To nowobogacka Moskwa i „głubinka", którą od stolicy dzieli prawdziwa przepaść. To ludzie tęskniący za Związkiem Radzieckim, lecz również tacy, którzy marzą o integracji z Zachodem.

STAKAN



Granionnyj stakan, czyli gruba graniasta szklanka w zdobionej podstawce, to symbol podróży. Jest mocny, stabilny, nie zbije się i nic się z niego nie wyleje. Zna go każdy, kto jeździ dalekobieżnymi pociągami w Rosji. Podawana w nim herbata ma wyjątkowy smak. A herbata, czyli „czaj", jest w Rosji ważna. Nie mniej niż alkohol. Naprawdę! Wystarczy powiedzieć, że po rosyjsku napiwek to „czajewyje", czyli drobne na herbatę.

MATRIOSZKI

Znajomi często proszą mnie, żeby przywieźć im matrioszki. Największą popularnością cieszą się te tradycyjne stylizowane na wiejskie „baby". Ale znakiem czasu są dziś matrioszki z Putinem. Tak na marginesie kosztują cztery razy drożej (nawet do 100 zł) od lalek z wizerunkiem amerykańskich prezydentów. Kiedy spytałam, skąd taka różnica, sprzedawca odpowiedział mi tak: „Ano stąd, że ta z Putinem ma długi termin ważności. Wiele wiele lat. A ta z Amerykańcami szybko się przedawnia"... Putin przetrwał już czterech prezydentów USA.



eprasa.pl d563a9d9f8



GADŻETY Z PUTINEM



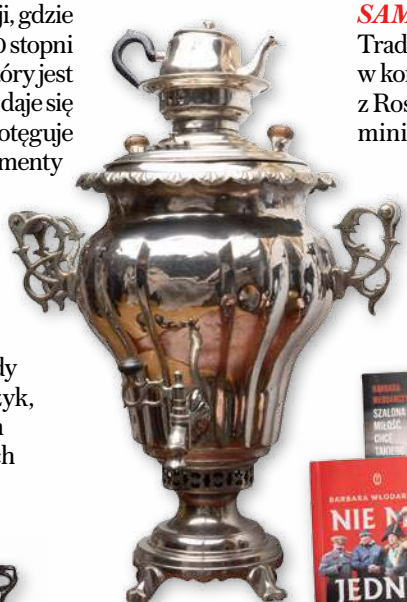
W Rosji kupuję często gadżety z Putinem, bo jest ich pełno. Nie tylko na kalendarzach czy kubkach, ale też na... skarpetkach, na zeszytach szkolnych, bombkach choinkowych i jajkach wielkanocnych. Zapytany o te ostatnie, Putin wymigał się w kpiarskim stylu: „Ja tam nie wiem, co kto sobie na jajkach maluje". Jak powiedział mi aktywista prokremlowskiej młodzieżówki, kiedyś brandem Rosji była matrioszka, wódka i bałałajka, a dziś jest nim Putin...



USZANKA

Bez niej nie da się przetrwać siarczystych rosyjskich mrozów. Zima daje w kość nie tylko na Syberii, zwłaszcza w Jakucji, gdzie temperatura sięga nawet -60 stopni Celsjusza, albo nad Bajkałem, który jest skuty lodem przez pół roku. Chłód daje się we znaki nawet w Petersburgu, bo uczucie zimna potęguje tam wilgoć. Dlatego w Rosji w cenie są futra i argumenty ekologów ze słonecznego Hollywood są mało przekonujące dla mieszkańców Syberii.

SAMOWAR



Tradycyjny, na węgiel. Wypatrzyłam go w komisie w 2004 r. Żeby go wywieźć z Rosji, musiałam zdobyć zgodę ministerstwa kultury.

CHUSTY

W Rosji chusty są bardzo przydatne. Żeby móc wejść np. do cerkwi, które wyrastają jak grzyby po deszczu. Odrodzenie religijne po części wynika z mody lansowanej przez prezydenta Putina, który nosi krzyżyk, ma swojego spowiednika i bierze udział w kościelnych uroczystościach. Chusta przydaje się też w republikach islamskich, zwłaszcza na Kaukazie. W Czeczenii nie można wejść np. do urzędu bez nakrycia głowy.



MOJE KSIĄŻKI



Zabieram swoje książki „Nie ma jednej Rosji" i „Szalona miłość. Chcę takiego jak Putin", bo to mnie nobilituje w oczach rozmówców. W Rosji pisarz to jest ktoś. Czytanie wciąż jest tam powszechnym nawykiem. W inteligenckim domu regały z książkami stoją już w przedpokoju, bo nie mieszczą się w pokojach. Wg danych z 2019 r. ponad 56 proc. Rosjan czyta średnio 20 tytułów rocznie.

WALONKI

Na mrozy nie ma nic lepszego od słynnych filcowych butów. Rosjanie pokonali w nich Niemców pod Stalingradem i Napoleona pod Moskwą. Walonki są lekkie, nie obcierają nóg i grzeją jak piec. Caryca Katarzyna II nosiła je, gdy dokuczał jej reumatyzm, a Piotr I, kiedy miał... kaca i chciał poprawić krążenie. W jednym z zabajkalskich miast wzniesiono nawet pomnik ku czci walonek.



TOREBKA

To mój znak firmowy. Kiedyś Tomek Kammel, zapowiadając reportaż z „Szerokich torów", powiedział o mnie: „Dzielna kobieta z torebką". I rzeczywiście, mam ją na zdjęciach nawet w kopalni czy w oborze. Noszę w niej dokumenty, akredytacje i pozwolenia, bez których w Rosji ani rusz, oraz gotówkę, która na „głubince" wciąż liczy się bardziej niż karta. Plecak nie wchodzi w rachubę, bo wszystko muszę mieć na oku. Nikomu nie życzę zgubienia paszportu na prowincji oddalonej od konsulatu setki, a nawet tysiące kilometrów. Rosja to 11 stref czasowych!



Wysłuchał i zapisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl d563a9d9f8

OGNIEM NA WPROST

W USA o homofobii, a Rosja się zbroi



Kasta sędziowska skupiona w stowarzyszeniu Ręka Rękę Myje (oficjalnie Iustitia) zorganizowała kolejny żenujący spektakl. Tym razem konkurs. Zbliża się bowiem dzień bardzo istotny dla wymiaru sprawiedliwości, mianowicie „dzień solidarności z sędziami Juszczyszynem, Tuleyą i Morawiec". Chętni muszą odnaleźć w swoich miejscowościach nośniki z plakatem poparcia dla tych sędziów i zrobić sobie zdjęcie na jego tle. Można również samemu wydrukować taki plakat i zrobić sobie z nim zdjęcie w miejscu ważnym dla autora tej hecy. Na zwycięzców czeka nagroda. Kalendarz z podpisami Tulei i Juszczyszyna. Rozumiem, że zdjęcia ilustrujące kolejne miesiące są obrazem 12 stacji cierpień tego Wielkiego Męczennika w walce o wolność i niezawisłość polskiej Temidy, a sam kalendarz ma być odzwierciedleniem starej prawdy, że polskie sądownictwo ma twarz Igora Tulei.

We Francji afera. Ujawniono skandale seksualne w dwóch niezwykle prestiżowych instytucjach kultury i edukacji. 51-letni prezes Narodowego Centrum Kina Dominique Boutonnat został oskarżony o napaść na tle seksualnym oraz usiłowanie gwałtu na swoim 22-letnim chrześniaku. Mężczyzna został objęty nadzorem sądowym z zakazem kontaktu z ofiarą. Równolegle do dymisji podał się dyrektor ds. badań prestiżowego Instytutu Nauk Politycznych w Paryżu. Frédéric Mion został oskarżony o „krycie kazirodztwa" swojego współpracownika i znanego socjologa Oliviera Duhamela, który jest prezesem fundacji FNSP, kontrolującej budżet i finanse instytutu. Gość został oskarżony o kazirodztwo wobec swojej pasierbicy. Jakby tego było mało, przez wiele lat miał gwałcić jej brata, a swojego pasierba. Tym razem studenci powiedzieli dość wieloletniemu milczeniu i bierności uczelni wobec pogłosek dotyczących skandalicznych praktyk. Rozpoczęli akcję pod hasłem, które niech posłuży za puentę: #Scienceporcs (Instytut Nauk Politycznych Świń).

Natomiast świeżo wybrany prezydent USA Joe Biden ma ambicje, by zostać królem odmieńców spod znaku tęczy. Agresywne promowanie genderyzmu w jego wydaniu ma nie tylko ograniczać się do Stanów Zjednoczonych. Wszystkie agencje rządowe działające poza granicami USA dostały prikaz promowania praw mniejszości seksualnych. W ciągu najbliższych 180 dni ma powstać strategia dotycząca tych kwestii. Ma powstać również, uwaga!, międzynarodowa koalicja przeciwko homofobii i transfobii. Jakiś urzędas Departamentu Stanu, cytowany przez AFP, zapowiedział, że Stany Zjednoczone przyjrzą się każdemu państwu osobno i zadecydują, czy w każdym konkretnym przypadku dyplomacja publiczna jest najlepszym podejściem w walce o LGBT. A jeśli nie, to co? W Departamencie Obrony dyskutowana jest koncepcja stworzenia jednostki specjalnej z powołanych niedawno do armii transwestytów i wysyłania jej do krajów, w których rządzi homofobia, by groźbami uświadamiali niepokornym przywódcom, że błądzą. W razie oporu mają stosować różne (nawet wyrafinowane) środki przemocy. Aż strach się bać.

W ubiegłym roku Federacja Rosyjska kontynuowała tworzenie nowych dywizji, a także modernizację i rozmieszczenie broni rakietowej na kierunku zachodnim – twierdzi Departament Wywiadu Zagranicznego Estonii (Välisluureamet). Jego zdaniem Rosja przygotowuje się do konfliktu na dużą skalę z NATO. W obwodzie kaliningradzkim w 2019 r. utworzono nowy pułk czołgów, a w zeszłym roku sformowano nową dywizję zmotoryzowaną, która stała się szóstą z utworzonych w ciągu ostatnich siedmiu lat dywizji rosyjskich rozmieszczonych na kierunku zachodnim. Równolegle na wybrzeżu Zatoki Fińskiej rozmieszczane są systemy rakietowe Bał o zasięgu 120 km. Zdaniem wywiadu estońskiego Rosja wcale nie zamierza odpuszczać państwom bałtyckim ani ich sojusznikom na wschodniej flance NATO. W dalszym ciągu zwiększa swoją gotowość do konfrontacji na pełną skalę z krajami Sojuszu Północnoatlantyckiego, zgodnie ze słowami sekretarza Rady Bezpieczeństwa FR Nikołaja Patruszewa z 2 stycznia 2016 r.: „Doprowadzimy do wojny w Europie Środkowo-Wschodniej". Ale USA wydają się ostatnio skupiać bardziej na genderyzmie i homofobii, zamiast się zajmować realnymi problemami, takimi jak ten.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d563a9d9f8

Domy kultury warte wsparcia

„Konwersja cyfrowa domów kultury" to projekt ministerstw Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu oraz Funduszy i Polityki Regionalnej, a także Narodowego Centrum Kultury kierowany do samorządowych domów, centrów i ośrodków kultury. Inicjatywa ta stanowi jeden z elementów działań mających za zadanie wsparcie wymienionych instytucji kultury w związku z kryzysem spowodowanym przez pandemię COVID-19. Celem programu jest przekazanie grantów 200 lokalnym instytucjom służących sfinansowaniu poszerzenia ich kompetencji i umiejętności niezbędnych do prowadzenia i rozwijania działań w zakresie edukacji kulturalnej oraz animacji kultury w społeczności lokalnej, a także wyposażenie w urządzenia niezbędne do prowadzenia działań edukacyjnych i animacyjnych w formie cyfrowej lub online. Opisany projekt stanowi drugą inicjatywę skierowaną do gminnych instytucji kultury, obok programu Dom Kultury+, który funkcjonuje nieprzerwanie od 2009 r.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Według stanu na koniec 2019 r. w Polsce działalność prowadziło 4255 centrów, domów i ośrodków kultury, klubów i świetlic. W trakcie 2019 r. placówki te zorganizowały ponad 240 tys. imprez, w których uczestniczyło 37,5 mln osób. Ośrodki kultury prowadziły aż 27,5 tys. kół, klubów czy sekcji, angażując w ramach tych działań przeszło 600 tys. uczestników.

Ośrodki, centra i domy kultury, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, są jedynymi miejscami, w których inicjowana jest szeroko pojęta działalność kulturalna. Z tego względu ich funkcjonowanie jest kluczowe dla edukacji kulturalnej w Polsce. Następuje w nich zarówno popularyzowanie, jak i tworzenie kultury. Domy kultury to także miejsca o doniosłym znaczeniu społecznym, spajające lokalne środowiska, umożliwiające odkrywanie talentów i rozwijanie pasji. Funkcją lokalnych ośrodków kultury jest w szczególności stwarzanie pola do rozwoju amatorskiego ruchu artystycznego i zainteresowania sztuką oraz rozbudzanie i zaspokajanie potrzeb kulturalnych, integrowanie społeczności lokalnych poprzez współtworzenie warunków do kultywowania i rozwijania narodowych, etnicznych, regionalnych, środowiskowych wartości kulturowych, inicjowanie i promowanie innowacyjnych form uczestnictwa w kulturze.

Globalizacja i kryzys wartości mocno uderzają w tradycyjną tożsamość, powodują zanikanie kultury narodowej, osłabienie znaczenia kultur lokalnych. W najmłodszym pokoleniu tradycyjnie pojęta kategoria „małej ojczyzny" traci na znaczeniu, a według antropologów w przyszłości takie pojęcia jak „ojczyzna" czy „kulturowe korzenie" mogą zostać wyparte przez tożsamość globalną. Wymiar narodowy i kulturowy mają odejść w niepamięć. Wydaje się zatem, że lokalne ośrodki kulturalne, wspierając tradycje przekazywane przez rodzinę, szkołę i Kościół, mogą odegrać kluczową rolę dla rozwoju i wypracowania norm kulturowych więzi w społeczności lokalnej.

Domy kultury, jak wspomniano, są miejscem pozwalającym na odkrywanie talentów i pasji. Zwłaszcza w mniejszych miejscowościach powinny stanowić placówki o różnorodnej ofercie zajęć na wysokim poziomie merytorycznym i w przystępnej cenie, pozwalając młodzieży, jak i seniorom na kreatywne spędzanie czasu. W dobie pandemii potrzeba istnienia takich miejsc jak ośrodki kultury wydaje się jeszcze bardziej niezbędna z uwagi na podtrzymywanie lokalnych więzi i potrzebę kontynuowania kształcenia.

Unowocześnienie tych placówek poprzez umożliwienie im sprawnego funkcjonowania także w przestrzeni wirtualnej to przede wszystkim szansa na zagospodarowanie czasu najmłodszych w sposób uporządkowany i pożyteczny, a być może także stworzenie ogólnopolskiej wirtualnej sieci takich placówek dysponującej chmurą usprawniającą wymianę doświadczeń i współpracę z różnego rodzaju podmiotami zaangażowanymi w działalność społeczną, kulturalną i edukacyjną.

REKLAMA



eprasa.pl d563a9d9f8

RZECZY POSPOLITE

Od Olszynki do niepodległości



Tomasz Łysiak

Rocznica bitwy pod Olszynką Grochowską była zawsze dla Polaków dniem niezmiernie ważnym. Pod zaborami, gdy każdy przejaw polskości był bezlitośnie tępiony, obchody miały szczególny charakter – pokazywały, że nie jest nas łatwo złamać, nie jest łatwo ani nie będzie łatwo odebrać nam kultywowanej o bohaterach pamięci. Gdyż ta pamięć pcha nas do działania i do niestrudzonej walki o ojczyznę. Wykorzenienie tej pamięci równało się więc wycięciu „genu buntowników" z narodowej świadomości i z narodowego ducha.

Co roku 25 lutego na puste pola pod Grochowem ciągnęły tłumy modlących się Polaków. Przez wiele lat widomym „świadkiem" wydarzeń z czasów bitwy była wiekowa olcha. To do niej przyczepiano tabliczki pamiątkowe, to na niej znajdował się napis mówiący o tym, iż jest ona już jedynym pomnikiem bitwy – innego wszak być nie mogło. Gdy w końcu chyliła się ku upadkowi i trzeba ją było wyciąć, zrobiono z niej małe, patriotyczne krzyżyki. „Krzyżyk z Olszynki" stał się symbolem – noszony jako element biżuterii patriotycznej przypominał, że wiara w Polskę niepodległą jest jak wiara w „świętą polską sprawę".

W roku 1861 – w 30. rocznicę bitwy – Moskale postanowili utrudnić uroczysty obchód święta. Aby uniemożliwić przedostanie się warszawiaków na prawy brzeg miasta, na rozkaz namiestnika Michaiła Gorczakowa zdemontowali pontonowy most, który prowadził na Pragę. Jednak to nie tylko nie uspokoiło polskich patriotów, lecz jeszcze wzmogło atmosferę narodową. Doszło do manifestacji na Starym Mieście, podczas której żandarmi konno szarżowali na ludzi. Dalej sprawy potoczyły się szybko – dwa dni później strzelano do cywilów na Krakowskim Przedmieściu, a na początku kwietnia zamordowano kilkaset osób na placu Zamkowym. Krew płynęła ulicami Warszawy.

To znów prowadziło do kolejnego powstania – reakcji na terror, manifestacji zbrojnej. Rok 1863 był konsekwencją powstania wcześniejszego. Wreszcie na tradycji irredenty wykwitła myśl niepodległościowa Piłsudskiego. Wywalczona wolność to sukces kilku pokoleń – w tym także bohaterów Olszynki 1831.

POGAWĘDKA

Nie tylko Kurek

Z aktorem Rafałem Szałajką rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Lubi pan Wieśka Kurka?

Rafał Szałajko: Uwielbiam, choć to nie do końca pozytywna postać. Człowiek uwikłany między lokalnym panem a plebanem. Tzw. miejscowy – za jego sprawą zyskałem taki pseudonim na planie. Wzorowałem go trochę na postaciach sanockich.

Z jakiego powodu?

Urodziłem się w Sanoku – mieście otoczonym pięknymi lasami, w bliskim sąsiedztwie gór, nazywanym bramą Bieszczad. Przyroda jest tu na wyciągnięcie ręki, jak w serialu „Leśniczówka".

Perypetie bohaterów żyjących wśród pięknej zieleni dawały trochę oddechu w czasach licznych ograniczeń...

2020 r. rzeczywiście nas nie rozpieszczał. Dla wielu moich kolegów aktorów był to wyjątkowo trudny czas. Ja przynajmniej grałem w serialu, ale też z utęsknieniem czekałem na otwarcie scen. Teraz wróciłem do Capitolu i przedstawienia „O co biega", a w Teatrze Kamienica do „SPA, czyli Salonu Ponętnych Alternatyw". Równolegle na YouTube można oglądać spektakl, który zrobiłem. Bohaterem „Wywiadu, którego nie będzie" jest pochodzący z Sanoka malarz Zdzisław Beksiński. Tekst napisał Wiesław Banach, dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku, który był depozytariuszem i przyjacielem Beksińskiego. To rozmowa, do której nie doszło z powodu brutalnego morderstwa (21 lutego minęło 15 lat). Po roku od tamtego zdarzenia Banach dostał esemesa z nieczynnego już telefonu: „Zadzwoń do mnie". Metafizyczna sytuacja. W spektaklu (zarejestrowanym w ramach programu „Kultura w sieci") na tego esemesa odpowiada.



Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl d563a9d9f8

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

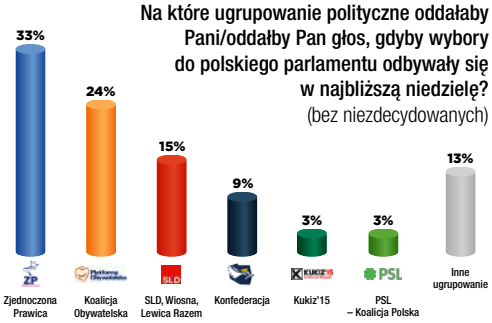
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR 4X, ARTUR WIDAK/NURPHOTO VIA GETTY IMAGE, EASTNEWS, SHUTTERSTOCK

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

nasz sondaż

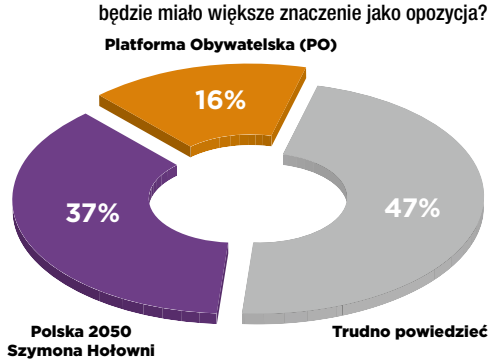
Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)



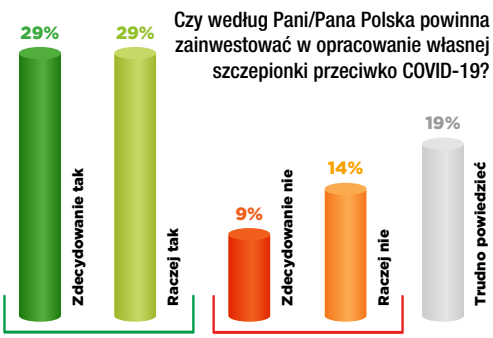
Proszę sobie wyobrazić, że w wyborach startują poniższe partie. Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez niezdecydowanych)



Które ugrupowanie polityczne w najbliższej przyszłości będzie miało większe znaczenie jako opozycja?



Czy według Pani/Pana Polska powinna zainwestować w opracowanie własnej szczepionki przeciwko COVID-19?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1095.

Zakres czasowy badania 12–15 lutego 2021 r.

eprasa.pl d563a9d9f8



Politycy, organizacje pozarządowe, internetowi giganci i media. W tym czworoboku przez wiele miesięcy organizowana była utajniona operacja mająca na celu odsunięcie od władzy Donalda Trumpa. Udało się. Czy w Polsce też są możliwe takie gry? One już się toczą

Spiskiem w prawicę



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Już nikt nie może mówić, że spiski wpływowych sił – polityków, biznesmenów, NGO-sów – nie istnieją, że to wymysł chorych umysłów prawicowych oszołomów. Nie może, bo tygodnik „Time" właśnie potwierdził ich istnienie. Podkreślmy, że chodzi o lewicową amerykańską gazetę sympatyzującą z Partią Demokratyczną, sięgającą właśnie po termin „spisek".

Dzięki tej perspektywie zupełnie inaczej możemy spojrzeć na ostatni protest mediów w Polsce – błyskawicznie i doskonale skoordynowany – ale też szerzej dostrzec elementy łączące „obronę" Polski przed prawicą w wykonaniu naszych liberałów.

„TIME" SYPIE UKŁAD

Przełomowy artykuł zatytułowany „Tajna historia kampanii cieni, która uratowała wybory 2020 r." ukazał się na początku lutego, a w poprzednim numerze „Sieci" opisał go Jan Maria Rokita. Nasz autor zwracał uwagę, że dziennikarka Molly Ball (autorka biografii Nancy Pelosi) zachwalała swój tekst jako „historię spisku, który jest opisany od środka, dzięki dostępowi do wewnętrznych ustaleń grupy i nigdy wcześniej nieoglądanych

Fot. Shutterstock, Drop of Light / Shutterstock



dokumentów, oraz wywiadom z dziesiątkami aktywistów". Kluczowy fragment obszernego materiału z „Time" brzmi: „(...) uczestnicy [spisku – przyp. red.] chcą, aby tajna historia wyborów w 2020 r. została opowiedziana, mimo że brzmi jak sen z paranoicznej gorączki – obficie finansowana koteria potężnych ludzi, z różnych branż, wyznających różne ideologie, współpracujących za kulisami, aby wpływać na percepcję, zmieniać zasady i prawa, sterować mediami i kontrolować przepływ informacji".

To opowieść faktycznie zaskakująca i wstrząsająca. Dowiadujemy się, że zmiana władzy w Waszyngtonie (przedstawiana jako „obrona demokracji") była możliwa dzięki „nieformalnemu sojuszowi między lewicowymi aktywistami a tytanami biznesu". Całość koordynował Michael Podhorzer, dyrektor polityczny AFL-CIO, największej amerykańskiej federacji związków zawodowych. „Time" określa go jako człowieka, który „od prawie ćwierć wieku gromadzi wszelkie dane i opracowuje taktyki, które mają pomóc faworyzowanym przez niego kandydatom wygrać wybory". I tym razem – podobnie jak w 2012 r. – mu się udało.

To on doprowadził do zawiązania Koalicji Obrony Demokracji. Brzmi znajomo? Owszem, ale w amerykańskim wydaniu to dużo poważniejsza, bardziej profesjonalna i zdecydowanie skuteczniejsza – choć nieformalna – organizacja niż ta, która uderzyła ulicznie za czasów rządów premier Beaty Szydło. Od polskiego KOD różni ją niemal wszystko, na czele z tym, że działała w tajemnicy. Podhorzer oparł się na swoich „kontaktach w postępowym wszechświecie", a więc liberalnych analitykach, aktywistach z bardzo wielu organizacji pozarządowych (m.in. ekologicznych, ruchu robotniczego czy Black Lives Matter), prawnikach, fundacjach i biznesmenach sowicie wspierających polityków, a także osobach z kontaktami we wpływowych mediach. Liderzy amerykańskiej KOD co tydzień odbywali dwuipółgodzinne narady na platformie Zoom, regularnie rozsyłany był newsletter wskazujący kierunki działania i szczegóły obranej taktyki.

To była precyzyjnie zaplanowana operacja, z gigantycznymi środkami (sama fundacja należąca do żony właściciela Facebooka przekazała 300 mln dol. na finansowanie administracji wyborczej). Zainwestowano tam, gdzie miało się to opłacić. Wszystko pod szyldem „ochrony demokracji", ale tylko w tych stanach, które mogły dać zwycięstwo Bidenowi. Dlatego „wzmocniono" głosowanie korespondencyjne tylko w 37 stanach. Wybrano je po bardzo kosztownych i żmudnych badaniach mających wskazać, dokąd kierować „pomoc".

> To opowieść wstrząsająca. Dowiadujemy się, że zmiana władzy w Waszyngtonie (przedstawiana jako „obrona demokracji") była możliwa dzięki „nieformalnemu sojuszowi między lewicowymi aktywistami a tytanami biznesu"

Kluczową rolę w tajnej organizacji odegrali giganci internetowi, zwani Big Tech (m.in. Google, Facebook) i właściciele innych platform społecznościowych. Zaczęło się od kolacji w domu szefa FB Marka Zuckerberga, na którą zaproszono dziewięciu ważnych działaczy praw obywatelskich. Naciski na koncerny internetowe koordynowała Vanita Gupta, szefowa Konferencji Liderów zrzeszającej amerykańskie organizacje zajmujące się prawami człowieka i obywatelskimi. Odniosła wielki sukces, jakim była złożona przez właścicieli społecznościówek obietnica zastosowania w odpowiednim momencie cenzury i blokowania treści, które mogły zagrozić ich celowi – odsunięciu od władzy Trumpa. Jak obiecali, tak zrobili, najpierw blokując konta wciąż urzędującego prezydenta USA, a później je likwidując. Dziś w administracji Bidena pani Gupta jest zastępcą prokuratora generalnego.

Molly Ball w swoim artykule o tym nie wspomina, ale w tej koalicji musiało się również znaleźć miejsce dla szefostwa farmaceutycznego koncernu Pfizer. Informację o gotowości szczepionki na COVID-19 zachował on na pierwszy dzień pracy po wyborach, bo przecież poinformowanie o tym sukcesie przed elekcją z pewnością byłoby korzystne dla Donalda Trumpa. Ten zabieg pokazuje, jakie znaczenie miał każdy element układanki, której celem była zmiana gospodarza Białego Domu.

ULICA W GOTOWOŚCI

Długi fragment artykułu w „Time" dotyczący gotowości lewicowych organizacji do ruszenia na ulice w masowych demonstracjach i na jedno hasło z tajnej centrali wycofujących się z tego zamierzenia, każe zapytać o realną „oddolność" protestów. Zupełnie jak w Polsce po 22 października. Gdy się okazało, że manifestacje zwoływane przez Martę Lempart i jej koleżanki nie przynoszą sukcesu opozycji, bo coraz więcej osób zaczyna się odwracać od ich brutalnych metod, „spontaniczne" protesty wygasły. Czy sami obywatele nagle stracili ochotę do demonstrowania przeciw władzy, czy też ktoś ich zatrzymał?

Tuż po wyborach Trump się cieszył, że wiele wskazuje na jego zwycięstwo. I dodawał, że jeśli ostateczny wynik elekcji okaże się inny, będzie można mówić o fałszerstwach. Ale i druga strona był spokojna o rezultat. Dlaczego? Dzięki





wielomiesięcznej operacji, olbrzymim nakładom finansowym i odpowiedniej kampanii w kluczowych stanach tak pokierowano wyborcami, że fundamentalne znaczenie zyskały głosy oddane korespondencyjnie. Dlatego największe amerykańskie media wskazywały, że szala zwycięstwa przechyli się na korzyść Joego Bidena.

Dziś, dzięki tekstowi w „Time", wiemy już, że gdyby wówczas nie dało się prognozować zwycięstwa kandydata demokratów, gotowy był scenariusz wyprowadzenia na ulice setek tysięcy ludzi w ok. 400 dokładnie zaplanowanych manifestacjach. Wciśnięciem jednego guzika powstrzymano je. Nie było potrzeby korzystania z tego narzędzia. Gdyby takowa zaszła, zapewne słyszelibyśmy o „buncie społecznym", „oddolnym powstaniu", „spontanicznych protestach" czy „zaangażowaniu zwykłych Amerykanów w obronę demokracji".

Za to wszystkie siły przerzucono do naciskania na lokalne władze, które miały odegrać najważniejszą rolę w rozpatrywaniu wątpliwości dotyczących przebiegu głosowania. Ten wątek doskonale opisał Jan Maria Rokita:

„Ball koncentruje się na kazusie stanu Michigan, w którym rozstrzygnięcia były kluczowe dla ogólnego wyniku wyborczego. Kiedy komisja w Detroit 17 listopada miała się odnieść do protestów sztabu Trumpa, to tam skierowano aktywistów, aby (jak pisze Ball) »zalali komisję swoimi zeznaniami zgodnymi z prawdą«. A kiedy prezydent zaprosił na rozmowę stanowych liderów republikanów, to masowa akcja została uruchomiona na lotniskach w Lansing i Waszyngtonie, tak by zastraszyć wsiadających i wysiadających z samolotu polityków. Przygotowany był także wybitny profesor nauk prawnych, który wydał ekspertyzę, iż należy wszcząć śledztwo przeciw politykom spiskującym z Trumpem przeciw wyborom, natychmiast ogłoszoną przez przygotowane na to centralne media. Efekt? Zamiast fali lewicowych rozruchów kolejne dobrze przygotowane przez »stolik do walki« media, ośrodki opiniotwórcze, organizacje biznesowe proklamowały Bidena zwycięzcą, choć realne wyniki były jeszcze mocno niepewne".

> U nas też spotkała się grupa bardzo wpływowych osób i narzuciła innym udział w „spontanicznym" proteście mediów. Mniejszych uczestników stawiano pod ścianą: „Jeśli tego nie zrobicie, staniecie w jednym szeregu z Jackiem Kurskim"

ZADYMY ZE WSPARCIEM Z TV

Okazuje się więc, że lewackie inicjatywy uliczne mogą mieć bardzo niewiele wspólnego ze spontanicznymi działaniami obywatelskimi, a być zadaniowane i na zimno wykorzystywane w węzłowych momentach politycznych wydarzeń.

Jaki inny cel mogły mieć władze polskiej stolicy, które pomagały finansować instytucję Biennale Warszawa (kwotą 3,5 mln zł), organizującą szkolenia pod hasłem „Społecznej Szkoły Antykapitalizmu", w ramach której odbywały się zajęcia o tak wdzięcznych nazwach jak „Własność prywatna to kradzież. Własność wspólna to bogactwo", „Taktyki miejskie/uliczna gimnastyka, czyli techniki działania grupowego"? Środowiska lewicowe i liberalne nie mają zahamowań przed wspieraniem tego typu bojówkarskich działań. Dlatego na ich wsparcie może liczyć jawnie wzywający do anarchii i destabilizacji państwa Bartosz Kramek, szef rady Fundacji Otwarty Dialog, który wzywał do realizacji swojego manifestu „Niech państwo stanie: wyłączmy rząd".

Dlatego z taką otwartością witano zadymy przed parlamentem w grudniu 2016 r., gdy opozycja bawiła się w sejmowy pucz, a Wojciech Diduszko udawał martwego/rannego, dzięki czemu trafił nawet do spotu Platformy Obywatelskiej.

Każdy niepokój społeczny działa na niekorzyść obozu sprawującego władzę. Dlatego amerykańska lewica i liberałowie tak wspierali ruch Black Lives Matter i machali ręką na krwawe zamieszki, do których doprowadziła rasowa histeria. Dlatego polska lewica i liberałowie trzymają kciuki za panią Lempart, nawet jeśli się z nią nie zgadzają. Dlatego też grające

eprasa.pl d563a9d9f8

w tej orkiestrze media z taką emfazą relacjonują wszystkie protesty Strajku Kobiet, udając ślepotę na łamanie prawa: agresję, niszczenie mienia, wezwania do fizycznych ataków na kościoły, biura poselskie, policję czy polityków.

Bez wielkich telewizji, najpotężniejszych portali internetowych, mediów społecznościowych i opiniotwórczych gazet żadna rewolucja się nie odbędzie. Wiadomo też, że nawet zwykłych wyborów opartych na demokratycznych zasadach nie da się obecnej polskiej opozycji wygrać tylko programem politycznym i udaną kampanią. Potrzeba zmasowanej akcji medialnej, często służącej kompletnemu odwróceniu rzeczywistości.

Jak wiosną ub.r., gdy rozpętano histerię wokół planowanych wyborów korespondencyjnych stanowiących rzekome zagrożenie dla zdrowia i życia. Cel był prosty – uniemożliwić powtórne zwycięstwo Andrzejowi Dudzie, z którym nikt nie miał wówczas szans. Operacja udała się połowicznie – wymieniono szybko skompromitowaną kandydatkę i przesunięto głosowanie o półtora miesiąca. To nie wystarczyło.

Z dzisiejszej perspektywy jeszcze szerszego kontekstu nabiera ówczesne zachowanie Jarosława Gowina, który nie tylko protestował przeciw zdalnej elekcji, ale – jak wiemy z relacji działaczy PSL – nawet podejmował rozmowy z opozycją dotyczące kształtu list w ewentualnych wcześniejszych wyborach.

POROZUMIENIE PONAD PODZIAŁAMI

Gdy przed kilkoma dniami dowiadywaliśmy się, jak zapadały decyzje o proteście mediów przeciw podatkowi od reklam, nasuwało to naturalne skojarzenia z relacją Molly Ball z „obrony demokracji" w USA.

U nas też spotkała się grupa bardzo wpływowych osób i narzuciła innym udział w „spontanicznym" proteście. Mniejszych uczestników stawiano pod ścianą: „Jeśli tego nie zrobicie, staniecie w jednym szeregu z Jackiem Kurskim (...) Tylko wy i TVP będziecie włączeni" – takimi słowami, jak ujawnił portal wPolityce.pl – szantażowano opornych i wymuszano udział w akcji „Media bez wyboru". Później swoje dołożyli politycy, opowiadając o skojarzeniach ze stanem wojennym i zamachu na wolność słowa.

Bzdura, ale jaka malownicza! Ta szybka, świetnie zorganizowana akcja zmusza do zastanowienia, jak daleko mogą się posunąć demiurgowie świata mediów? Jeśli byli w stanie zaryzykować swoje interesy ekonomiczne (miliony z niewyemitowanych reklam) i w jeden wieczór przy jednym stoliku uzgodnić wyłączenie kilkudziesięciu stacji telewizyjnych, to czy nie są w stanie zawiązywać takich sojuszy częściej w o wiele poważniejszych sprawach niż tylko zyski ich właścicieli? O tym, że nie ma dla nich granic nie do przekroczenia, wiemy nie od dziś.

Media są zaangażowane w politykę, to oczywiste. Ich działalność nie ogranicza się tylko do obserwacji zachodzących procesów i opisywania ich. Ale są takie zachowania, które nie mają prawa się zdarzyć. A jednak się zdarzają.

W 2006 r., po rozpadzie koalicji rządowej zawartej między Prawem i Sprawiedliwością, Ligą Polskich Rodzin oraz Samoobroną pozostał rząd mniejszościowy. Partia Jarosława Kaczyńskiego rozpoczęła więc rozmowy z posłami niedawnych sojuszników, by jednak większość skompletować. Do wiceszefa Samoobrony Janusza Maksymiuka z propozycją nagrania takich spotkań zgłosili się dziennikarze TVN. Ten skontaktował ich z Renatą Beger. Kamery, własność stacji telewizyjnej, zamontowano w pokoju posłanki w hotelu sejmowym. Wyemitowane nagrania miały zamknąć kwestię ewentualnych koalicjantów PiS i doprowadzić do rozwiązania Sejmu, do czego nawoływali przewodniczący PO Donald Tusk i szef SLD Wojciech Olejniczak. Po wielotygodniowym epatowaniu tematem w mediach powrót do rozmów PiS-LPR-Samoobrona okazał się niemożliwy. W listopadzie 2007 r. premier Jarosław Kaczyński podał kierowaną przez siebie Radę Ministrów do dymisji. Zastąpił go Donald Tusk, a przez kolejne osiem lat Polską rządziła koalicja PO-PSL.

PRAWDA, PÓŁPRAWDA, KŁAMSTWO

Z prostego podsumowania wynika, że te zakulisowe działania prawie zawsze skierowane są przeciwko prawicy. Być może dlatego, że to strona przeciwna ma narzędzia, by w ten sposób konkurować, a może to po prostu ich sposób działania.

O tym, że w walce z rządem PiS należy zejść do najniższych instynktów i odrzucić wszelkie zahamowania, pisze na swoim blogu były poseł Janusz Palikot. „Tematów jest mnóstwo, ale potrzebna jest konsekwencja, nawet najbardziej absurdalna" – pisze prekursor hejterskich kampanii w polskiej polityce. Jako wzór podaje Amerykę, gdzie „Biden wygrał złymi informacjami o przeciwniku", ale za to „podanymi bardzo elegancko". Taka kampania kłamstwa marzy mu się na naszym podwórku. „Złe informacje rozprzestrzeniają się 10 razy szybciej niż dobre. Po kilku dniach ma to charakter geometryczny. Żadna pozytywna i programowa ofensywa nie ma szans z tym mechanizmem. Jeśli do tego dojdzie, nic nie przebije ilości złych informacji, a także fake newsów" – pisze były współpracownik Donalda Tuska. I podaje przykładowe – niemające nic wspólnego z prawdą – pytania, które publicznie powinni zadawać przeciwnicy Zjednoczonej Prawicy: „Kaczyński zaszczepił się jako pierwszy?", „Trwają rozmowy Macierewicza z ludźmi Putina ws. polexitu?", „Powstaje szpital tylko dla działaczy PiS?".

Nie jest przypadkiem, że w tych sugestiach stawia m.in. na tematykę covidową. To nas dziś zajmuje najbardziej i dotyczy wszystkich. Według Palikota słuszne jest więc podsycanie niepokoju, którego jest w nas i tak dużo. Zwraca się do posłów KO: „PiS poległ w sprawie szczepionek, ale nie można tego odpuścić aż do obsesji, hasło jest proste – nie kupiliście szczepionek – zabiliście ludzi. Jesteście mordercami!"

To wypisz wymaluj realizacja wywrotowego planu narzędziami służb sowieckich, o których pisze w książce „Montaż" Władimir Wołkow, oficer wywiadu francuskiego, pisarz, analityk technik dezinformacyjnych i propagandowych. Gdy się temu przyjrzeć, naprawdę sporo z nich można odnaleźć w mediach, które chcą zaszkodzić prawicy. Najważniejsze jest mieszanie prawdy i fałszu. Gdy zależy komuś na przemyceniu jakiejś nieprawdziwej informacji, powinna być ona tylko dodatkiem do prawdziwej całości.

eprasa.pl d563a9d9f8

JAK TO SIĘ ROBI W TVN

Podajmy przykład, w TVN24 pokazano historię 74-letniego pana Stanisława: „Chciał zaszczepić się na koronawirusa. Kiedy się zarejestrował, dostał odpowiedź, że ma się stawić w punkcie oddalonym o ponad 850 km od jego domu". Szokujące, prawda? Ale to nie koniec. Czas na kolejne opisywane przez Wołkowa techniki, chodzi o „selekcję szczegółów" i „zmianę kontekstu". Podane informacje są prawdziwe, ale niepełne, a dokładniej – uzupełnienie jest na samym dole artykułu, jest szansa, że czytelnik do niego nie dotrze. Wcześniej trafi na jeszcze jeden zabieg – „mnożenie szczegółów". Opis kuriozalnego przypadku jest połączony z innym, gdzie kobieta dostała skierowanie na szczepienie „zaledwie" 600 km do domu. Wszystko w sosie pretensji i niezrozumienia: „To chyba nie powinno tak wyglądać. Nie pojadę przez całą Polskę, nie mam już 20 lat". I gdzieś na końcu wyjaśnienie, jak działa system. Rejestrując się w internecie, pacjenci zaznaczyli zapewne datę szczepienia, która ich interesuje, ale nie zaznaczyli miejsca zamieszkania, aplikacja wskazała więc dostępną szczepionkę w żądanym terminie. A więc kto popełnił błąd? I jak zmienia to kontekst?

No i wreszcie koronna technika „generalizacja". Polega ona na szczegółowym komentowaniu wybranego przypadku, przy jednoczesnym pomijaniu przeciwnych, nawet jeśli jest ich przytłaczająco więcej. Na temat tych dwóch, powtórzmy – dwóch – historii, przedyskutowano na antenie TVN24 wiele godzin. Zadowolonych ze szczepień seniorów nie było. To bardzo prosta droga do wysnucia wniosku, że „pisowski system szczepień leży". Tak to się robi.

Ze wszystkich badań wynika, że obywatele od państwa wymagają przede wszystkim zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa. Zadaniem opozycji jest zaś wykazanie, że rząd z tym zadaniem sobie nie radzi. Dla kogo grają więc takie media? Dlaczego powtarzają kłamliwą narrację o chaosie i zawaleniu się systemu szczepień, choć nawet szefowa Komisji Europejskiej stawia Polskę za wzór?

OPERACJA: HOŁOWNIA

To dzięki mediom i poparciu wielkiego biznesu rośnie znaczenie Szymona Hołowni. Sam o sobie mówi, że jest jedyną siłą, która może obalić PiS. Powoli ewakuują się do niego politycy Platformy Obywatelskiej, która pomysłu na odrodzenie nie ma. Już w maju 2020 r. pisaliśmy w tygodniku „Sieci" o otoczeniu byłego prezentera TVN i powiązaniach jego najbliższych współpracowników z firmami finansowanymi przez George'a Sorosa. Miało wówczas dochodzić do spotkań w centrum Warszawy, na których wpływowi biznesmeni wręcz przesłuchiwali początkującego polityka i sondowali, czy jego poparcie może im się opłacić.

> Okazuje się, że lewackie inicjatywy uliczne mogą mieć bardzo niewiele wspólnego ze spontanicznymi działaniami obywatelskimi, a być zadaniowane i na zimno wykorzystywane w węzłowych momentach politycznych wydarzeń

Warto było też przejrzeć rejestr wpłat na konto komitetu wyborczego kandydata na prezydenta. I nie chodzi nawet o ich wysokość, ale o osoby, które stanęły wówczas za Hołownią, a byli to magnaci branży nieruchomości, funduszy inwestycyjnych czy banków. Majętni, wpływowi ludzie.

Szymon Hołownia, choć opowiadał o sobie jak o jakieś kompletnie nowej i oderwanej od polityki sile, od razu otoczył się osobami w tej dziedzinie naprawdę doświadczonymi i często jednoznacznie kojarzonymi z rządami Donalda Tuska. Wystarczy wspomnieć Jacka Cichockiego, byłego szefa MSWiA, Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, byłą ambasador w Moskwie, czy byłego dowódcę generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych gen. Mirosława Różańskiego.

Gdy poskładać te klocki i dodać, że zręby programu, którymi chciał uwieść wyborców Szymon Hołownia, powstały podczas drogich i szczegółowych badań focusowych, to można odnieść wrażenie, że to naprawdę misterna operacja. Zainwestowała w nią, także finansowo, grupa ludzi, których kariery i biznesy nie mogły toczyć się już tak beztrosko, jak przed zwycięstwami Andrzeja Dudy oraz PiS. Niech treningiem wyobraźni będzie pytanie, ile byliby w stanie położyć na stół, by sytuacja powróciła do stanu sprzed 2015 r.? Czyż nie mają się oni za „obóz postępu", który stara się odzyskać Polskę?

Wróćmy jeszcze na chwilę do siły „postępowych" mediów. Warto zauważyć, że przeciwnikom prawicy więcej uchodzi na sucho. Owszem, z pewnym niesmakiem odnotowano przejście do Polski 2050 Szymona Hołowni posłanek KO Joanny Muchy i Pauliny Hennig-Kloski oraz Hanny Gill-Piątek z Lewicy, ale należy uznać to za niewinne pieszczoty w porównaniu z piekłem, jakie zgotowano śląskiemu radnemu Wojciechowi Kałuży, który wystartował z listy KO, ale na pierwszej sesji poparł PiS. W mniemaniu „obozu postępu" wybrał zły kierunek, grożono mu za to nawet pobiciem, nękana była jego rodzina – to realizacja punktu 8. manifestu Bartosza Kramka, który mówi o „konieczności konsekwencji personalnych dla czołowych polityków i funkcjonariuszy PiS, których celem jest społeczny ostracyzm". A posłanki przechodząc do niby-konkurencji... No, cóż. Taka zdrada to nie zdrada.

PRAWICA NA CELOWNIKU

We wspomnianym rewolucyjnym manifeście szefa rady Fundacji Otwarty Dialog jest też mowa o „środowiskach zaangażowanych, w szczególności biznesie, samorządach, ale też ogóle protestujących, którzy powinni składać się na specjalny fundusz obywatelski służący finansowaniu ww. działań". Kramek zaznacza, że „to kluczowe!", ponieważ „mając odpowiednie zasoby, możemy nieomal wszystko". To prawda, pieniądze dają w polityce

eprasa.pl d563a9d9f8



Kilka tygodni po rozmowie Grasia z Kulczykiem, w której przyboczny Tuska żalił się biznesmenowi, że „Fakt" atakuje rząd i premiera, bo „pisiorem jest naczelny", szef dziennika stracił posadę

wielkie możliwości, a ci, którzy płacą, mają tego świadomość.

Środowiskom i mediom konserwatywnym często wylicza się wsparcie, które uzyskują z reklam spółek skarbu państwa. Jest też druga strona tego medalu, której wiele osób stara się nie widzieć. Wielki biznes prywatny i płynące przez domy mediowe gigantyczne pieniądze omijają prawicę szerokim łukiem. Plannerzy reklam nie są zainteresowani faktycznymi zasięgami mediów, z których powinni korzystać ich klienci. Wyjątkiem jest tu telewizja publiczna – lider rynku, z którego po prostu nie można zrezygnować. Wielkie koncerny muszą się w niej reklamować. Ale mniejszych – znajdujące się poza mainstreamem portale internetowe czy prasę drukowaną – mogą już beztrosko ignorować, de facto głodzić.

Teraz cofnijmy się do czasu sprzed 2015 r. i przypomnijmy, jak wyglądał wtedy ten rynek. Jak był hermetyczny, jak bardzo zamknięty dla konserwatystów. Z taśm nagranych w restauracji Sowa & Przyjaciele dowiedzieliśmy się np., co Paweł Graś i Jacek Krawiec, ówczesny prezes Orlenu, mówili o Andrzeju Klesyku, prezesie zarządu państwowego ubezpieczyciela PZU.

JK: *Chłopaki są sprytne, ku...wa, albo mają więcej czasu, albo mniej przyzwoitości, mi nie wpadło do głowy przez sześć lat, a tu ku...wa, je...ani, jeszcze Klesyk [prezes PZU] sku...wiel, wiesz, że on „wSieci" ogłoszenia daje?*

PG: *No widziałem właśnie.*

JK: *Ja mówię, co ty, ku...wa, odpi...lasz? A on, że to klienci potencjalni. Wiesz, już się ustawiają, ku...wa, media, już widać.*

W innej nagranej rozmowie na oburzenie Jerzego Mazgaja publikacjami „Gazety Polskiej" ks. Kazimierz Sowa miał jedną radę: „Jurek, nie polemizować... zniszczyć, naprawdę, tu uważam, że nie ma się wiesz żadnych...". Ktoś powie, że to tylko takie przesiąknięte żółcią opowieści frustratów, którym kończy się polityczna passa. Ale jak potraktować rozmowę Pawła Grasia i Jana Kulczyka, w której przyboczny Tuska żali się, że „Fakt" atakuje rząd i premiera, bo „pisiorem jest naczelny". Biznesmen obiecuje, że umówi się na kolację z wdową po Axlu Springerze i porozmawia na temat dziennika. Kilka tygodni po rozmowie Grzegorz Jankowski po ponad 10 latach przestał być naczelnym „Faktu" i odszedł z wydawnictwa.

MŁODZI: NA LEWO, MARSZ!

Lewicowa inżynieria społeczna ma dziś wymarzone warunki do rozkwitu. Ma za sobą segment Big Tech, którego władza rośnie w geometrycznym tempie i nie ogranicza się do dominacji na swoim rynku internetowym. Coraz częściej sięga po wpływy polityczne. Do najgłośniejszej w ostatnim czasie blokady Twittera Donalda Trumpa dochodzi przypadek z Australii i decyzja Facebooka o zablokowaniu na portalu artykułów mediów w Australii. Był to protest przeciwko ustawie zmuszającej gigantów, takich jak Facebook i Google, do płacenia za rozpowszechniane na ich stronach treści wydawców. Premier Scott Morrison mógł tylko publicznie wyrazić oburzenie.

Zablokowany na jakiś czas został także anglojęzyczny profil Instytutu Pamięci Narodowej. Powodem był wpis sprzed siedmiu miesięcy dotyczący historycznych niemieckich planów germanizacji polskich dzieci. Ostatecznie koncern odwiesił konto i przeprosił, ale warto zwrócić uwagę, że lewicowe treści nie są tak szczegółowo analizowane. Wiedząc, jak masowo młodzież korzysta z mediów społecznościowych, nie można nie doceniać ich roli „wychowawczej". To stamtąd czerpią wiedzę, to tymi treściami się sycą. Jednym z tego efektów jest zapewne wynik badania opublikowanego przez CBOS. Wskazuje on, że w 2020 r. aż 30 proc. młodzieży w wieku 18–24 deklarowało poglądy lewicowe, to największy wzrost rok do roku (+17 pp.) od kiedy przeprowadzane jest to badanie.

Konserwatyści mają kłopot, bo ich propozycje spotykają się z natychmiastowym i brutalnym atakiem. Wojnę, w której naprzeciw stoi tak zmasowane, zasobne i karne wojsko, niezwykle trudno jest wygrać. Dobrze jednak, że strona lewicowo-liberalna przyznała, iż „spisek" nie zawsze jest obelgą, lecz często opisem prawdziwych, dziejących się na naszych oczach operacji. Może to pomóc bronić się przed agresją przeciw wolności i demokracji.

Fot. Karol Serewis / East News, Andrzej Wiktor

eprasa.pl d563a9d9f8

Niemcy są szczególnie wyczuleni na jakąkolwiek krytykę



Kiedy rozmawiam z moimi odpowiednikami z krajów UE – czy to ze Szwecji, czy z Hiszpanii – a są to rozmowy szczere i często serdeczne, najczęściej dochodzimy do wniosku, że mówimy o różnych społeczeństwach. Rozmówcy, reprezentanci socjalistycznych rządów, są pod wrażeniem informacji, że naszą konstytucję z zapisami silnie chroniącymi życie uchwalono bez udziału prawicy

eprasa.pl d563a9d9f8



Zdjęcia: Andrzej Wiktor

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Zbigniewem Rauem, ministrem spraw zagranicznych

W Sejmie trwają prace nad ustawą o służbie zagranicznej. Ma ona zmienić zasady funkcjonowania polskiej dyplomacji, m.in. poprzez wyraźne rozdzielenie funkcji politycznych od technicznych, urzędniczych. Czy do tej pory taki podział nie funkcjonował?

Zbigniew Rau: Problem sięga korzeniami do czasów komunistycznych, gdy państwo i partia miały być jednością. Dyplomaci byli oceniani i awansowani na podstawie kryteriów politycznych. Chcę, by tak jak w całej administracji rządowej wyraźnie rozróżnić sferę urzędniczą, merytoryczną, apolityczną, od sfery zdominowanej przez politykę. Po wyborach, które przynoszą zmianę władzy, w MSZ pojawia się nowy minister i jego zastępcy, którzy chcą realizować swój program polityczny. Powinni im w tym pomagać ambasadorowie, którzy realizują politykę państwa polskiego w stosunku do państw trzecich.

To ma być coś podobnego do modelu amerykańskiego, w którym prezydent wysyła na placówki pewną liczbę swoich politycznych przyjaciół? Taki był klucz powołania pani ambasador Mosbacher.

To jest rzeczywiście dobra amerykańska tradycja. Przed tak powołanym ambasadorem stawia się szczególne zadania polityczne. To także wyraz osobistego zainteresowania przywódcy danym krajem.

Wynika z tego, że ambasadorami mają być osoby wyraziste, spoza „korporacji" dyplomatycznej, z dorobkiem w innych dziedzinach, które będą obejmowały placówki nie po to, by robić karierę w dyplomacji, ale by zrealizować cele związane z polityką danego rządu?

Taki mniej więcej jest zamysł. Chodzi o to, żeby te osoby mogły wykorzystywać swoje doświadczenia czy to z biznesu, czy z instytucji międzynarodowych, analitycznych, czy ze świata nauki. Chodzi o ludzi, którzy będą dawali gwarancję, że są w stanie wykonać określone zadanie, a jednocześnie będą się cieszyli zaufaniem politycznym. Pomagać im będą zarówno zawodowi dyplomaci zatrudnieni w konkretnych ambasadach czy konsulatach, jak i centrala w Warszawie.

Z pewnością zawodowi dyplomaci nie cieszą się taką perspektywą.

Rzeczywiście, dziś jest tak, że część kariery spędza się w centrali, czekając na atrakcyjny z wielu względów wyjazd. To, co proponuję, nie wyklucza, że zawodowy dyplomata nie zostanie ambasadorem. Oczywiście, później będzie musiał wrócić do pracy w MSZ.

eprasa.pl d563a9d9f8

Czy funkcjonujące od lat pojęcie „gmachu", czyli swoistej kasty dyplomatycznej, realnie rządzącej polską służbą zagraniczną niezależnie od zmian politycznych, odpowiada rzeczywistości?

Na podstawie mojej dość krótkiej pracy w tym miejscu mogę stwierdzić, że widzę duże zaangażowanie wielu urzędników na różnych szczeblach. Wykorzystują oni swoje doświadczenie, a jednocześnie starają się odczytać nasze rozumienie racji stanu. To jest coś, co naprawdę doceniam. Ale chciałbym też doprowadzić do radykalnego otwarcia się tego środowiska na nowe kadry. Akademia Dyplomatyczna tej funkcji nie spełnia, ponieważ dostarcza zaledwie od 10 do 20 absolwentów rocznie, a w sferze obsługi naszych relacji z zagranicą pracuje prawie 5 tys. osób. Faktycznie więc służbę dyplomatyczną zasilały dotychczas osoby z zewnątrz.

Pytanie, czy ten obóz polityczny, który pan reprezentuje, ma wystarczające, jak to się niefortunnie mówi, „zasoby kadrowe", by móc tego typu politykę realizować? Wśród ambasadorów z zewnątrz, powołanych po 2015 r., część okazała się trafiona, ale część nie.

Tak było. Z czego to wynikało? Z faktu, że zabrakło całościowej, przemyślanej koncepcji. Ambasadorowie ze świata akademickiego, do którego sam należę, często mieli ograniczone doświadczenia pozazawodowe, nie radzili sobie z administracją, z prawem pracy, z finansami. Zdarzali się i tacy z nawykami urzędniczymi pracowników MSZ, z hermetycznością i chęcią obrony własnego interesu przywołanego już „gmachu". Nie raz i nie dwa kończyło się to źle.

Jak wyjść z tej pułapki? Nowi nie mają technicznych kompetencji, a starzy nie chcą realizować koncepcji politycznych rządu.

Trzeba zmienić parę elementów. Np. do tej pory pracowników ambasady – włącznie z ambasadorem – oceniała głównie centrala w Warszawie. A powinno być tak jak w urzędach wojewódzkich, gdzie to wojewoda ocenia szefów wydziałów i to on dostosowuje pracę podległych mu komórek do postawionych przed nim zadań. A nie odwrotnie. Teraz będzie tak, że jeden z zawodowych dyplomatów będzie odpowiadał za wszystkie sprawy administracyjne danej placówki, a ambasador polityczny zajmie się swoimi zadaniami. Szefem całości będzie oczywiście ten drugi.

Ta ustawa przesunie także zasoby archiwalne MSZ z okresu komunistycznego do IPN, czyli zostaną one udostępnione badaczom. Nie ma tam już tajemnic, które trzeba chronić?

To rzecz absolutnie konieczna, jesteśmy ostatnim ministerstwem, które podjęło taką decyzję. Od upadku PRL minęło już ponad 30 lat, czas, by historycy mieli dostęp do tych dokumentów.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych mocno się zaangażowało w walkę o życie ciężko chorego Polaka, któremu w Wielkiej Brytanii odmówiono pożywienia, skazując go na śmierć głodową. Nie dało się tej bitwy wygrać?

Zrobiliśmy wszystko, a może nawet więcej, walcząc o ponowne podłączenie chorego do pożywienia i picia. Służby konsularne były w stałym kontakcie z rodziną, ze szpitalem, nasi przedstawiciele pojawiali się na rozprawach przed sądami brytyjskimi w tej sprawie. Skierowałem notę dyplomatyczną do swojego brytyjskiego odpowiednika Dominica Raaba. Działaliśmy w sposób niekonwencjonalny, chwilami praeter legem, obok prawa. To była mobilizacja wielkiej części polskiej opinii publicznej, ale także wielu ośrodków władzy, w tym prezydenta, pani marszałek Sejmu, Ministerstwa Sprawiedliwości.

Dlaczego nie udało się uzyskać zgody na przewiezienie pacjenta do kraju?

To wynika z wielkiej różnicy w kulturze moralnej i społecznej aksjologii między naszymi państwami. To inna wizja naszej wspólnej cywilizacji. Wzdłuż tej osi podzielona była także rodzina pacjenta, co jeszcze bardziej zwiększało dramatyzm całej sytuacji.

To jest chyba szerszy problem. Dla wielu lewicowych polityków samo polemizowanie z postulatami środowisk mniejszości seksualnych to naruszenie tabu, uderzenie w sacrum. Agenda lewicy stała się swego rodzaju zastępczą religią. Jak sobie z tym radzić na arenie międzynarodowej?

Kiedy rozmawiam z moimi odpowiednikami z krajów Unii Europejskiej – czy to ze Szwecji, czy z Hiszpanii – a są to rozmowy szczere i często serdeczne, nie tak agresywne jak np. debaty w Parlamencie Europejskim, to najczęściej dochodzimy do wniosku, że mówimy o różnych społeczeństwach. Rozmówcy, reprezentanci socjalistycznych rządów, są np. pod wrażeniem informacji, że naszą konstytucję z zapisami silnie chroniącymi życie uchwalono bez udziału prawicy.

Jeśli już wspomnieliśmy o Hiszpanii. Czy możliwe jest swego rodzaju przekonfigurowanie europejskich sojuszy, właśnie o relacje Madrytu z Warszawą? Słychać, że tamtejszy lewicowy rząd chciałby się wyrwać spod duszącego uścisku tandemu niemiecko-francuskiego.

Nie użyłbym takich słów jak pan, ale rzeczywiście Hiszpania szuka nowych punktów odniesienia i na pewno Polska jest jednym z nich. To wynika z tego, że na wschodniej flance Unii jesteśmy najsilniejszym państwem, a na flance południowej bardzo aktywna jest Hiszpania. Gdy w Unii jest mowa o sprawach wschodnich, to najpierw wysłuchuje się ministrów z naszej części Europy, a gdy dochodzimy do spraw Morza Śródziemnego czy Maghrebu, to mówią inni, w tym Hiszpanie.

Na ile możliwe jest jakieś otwarcie z Francją? To kraj, który przed wojną był wręcz „opiekunem" całego regionu, od Jugosławii poprzez Rumunię, Czechosłowację, a także Polskę. Obecnie Paryż właściwie nie prowadzi aktywnej polityki w na-

eprasa.pl d563a9d9f8

szej części świata, co najwyżej kibicuje Berlinowi, który rozdaje karty.

Po upadku komunizmu wszystkim z naszej części Europy było bliżej do Niemiec, a Niemcy też dbały i zabiegały o swoje wschodnie sąsiedztwo. Do tego dochodzi francuska tradycja szczególnych relacji z Rosją oraz osłabienie sentymentu do Francji, który przez wieki pielęgnowały elity naszego regionu. Ale myślę, że i w relacjach z Paryżem możemy się spodziewać jakiejś nowej dynamiki.

Czy Niemcy pogodziły się już z faktem, że w Polsce rządzi Zjednoczona Prawica, czy nadal próbują przeczekać te rządy? Bardzo ciekawa nominacja na ambasadora w Warszawie, świadcząca o wadze relacji z Polską. Ale i tradycyjna podwójna gra: teoretycznie dobre relacje polityczne, ale równocześnie inspirowanie i wspieranie niekorzystnych dla nas działań instytucji unijnych.

Nominacje ambasadorskie Niemiec w Polsce są rzeczywiście przemyślane, to nie są decyzje przypadkowe. Są pewne problemy, np. z naszej perspektywy traktat o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy mógłby być dużo lepiej realizowany. Z drugiej strony widać pewną troskę o to, by wyjść naprzeciw polskiej wrażliwości. Nowy ambasador pan Arndt Freytag von Loringhoven wykonał kilka znaczących, ważnych dla nas gestów, upamiętniając ofiary niemieckich zbrodni w Polsce. Z kolei w deklaracji Bundestagu w sprawie stosunków polsko-niemieckich przywołano krzywdy nie tylko wynikające z paktu Hitler–Stalin czy Ribbentrop–Mołotow, lecz również rozbiory i germanizację. To jest duży krok naprzód.

Czy pogodzono się z rządami Zjednoczonej Prawicy?

To wygląda różnie w różnych sferach. Na pewno ciekawy jest fakt, że strona niemiecka doskonale słyszy, co mówią moi wiceministrowie czy też inni politycy prawicy. Jest tu pewne szczególne wyczulenie na jakikolwiek głos krytyki. Ale uważam, że musimy rozmawiać szczerze, bez obrażania się. To jedyna droga.



My, Polacy, często porównujemy to, co się dzieje na Białorusi, z polską Solidarnością. W Sierpniu się wydawało, że komuniści już przegrali, ale zdołali jednak wprowadzić stan wojenny i przedłużyć swoją władzę o niemal dekadę. Postawmy jednak pytanie, czy sytuacja na Białorusi z punktu widzenia obecnych władz wygląda obiecująco?

W Stanach Zjednoczonych władzę objęła nowa administracja. To chyba najważniejsze obecnie pytanie: jak zmiana prezydenta w USA wpłynie na pozycję międzynarodową Polski?

Są poważne obawy, że skoro byliśmy blisko Trumpa, skoro korzystaliśmy z tej wyjątkowej koniunktury, to teraz będziemy mieli bardzo pod górkę.

Doceniam ten argument, ale uważam, że jest on przerysowany. Rozmowy ze stroną amerykańską wyglądają obiecująco. Minister Mariusz Błaszczak miał bardzo dobrą rozmowę z szefem Pentagonu gen. Lloydem Austinem. Rozmowy prowadzili także ministrowie Krzysztof Szczerski i Paweł Soloch, ja też mam zaplanowaną rozmowę z sekretarzem stanu Antonym Blinkenem. Te kontakty nie wskazują na jakąś zmianę. Obóz demokratyczny jest bardzo zróżnicowany, ale wydaje się, że za stosunki międzynarodowe odpowiadają demokraci starej daty. Oczywiście, lewe skrzydło Partii Demokratycznej jest bardzo zideologizowane i będzie próbowało wprowadzić do polityki zagranicznej swoje rozumienie praw człowieka. Jak daleko zajdzie ten proces? Tego nie wiemy.

Rozumiem, że nie wyklucza pan, że pojawią się i trudne chwile?

Z pewnością chęć promowania pewnych uniwersalistycznych wizji jest częścią tradycji amerykańskich demokratów. Czasem było to dla nas niezwykle korzystne, wystarczy przywołać

eprasa.pl d563a9d9f8

14 punktów prezydenta Wilsona czy ofensywę w prawach człowieka prezydenta Cartera. Ale pamiętajmy, to w Stanach Zjednoczonych doszło do zmiany prezydenta. My mamy dość świeży mandat wyborczy, prezydent Duda też wygrał ledwie parę miesięcy temu.

Spadek notowań partii rządzącej zapewne nie ułatwia zadań polskiej dyplomacji?

To są w mojej ocenie wahania przejściowe. Jesteśmy społeczeństwem pluralistycznym, choć bardziej konserwatywnym niż większość społeczeństw zachodnich.

Czy Trójmorze ma szansę przetrwania bez mocnego, szczerego wsparcia ze strony władz amerykańskich? Czy tej inicjatywie nie grozi atrofia?

Trójmorze to przede wszystkim projekt cywilizacyjny, stwarzający duże możliwości gospodarcze także dla podmiotów zewnętrznych dla Stanów Zjednoczonych, ale nie tylko. To także wschodnia flanka NATO, te wszystkie połączenia komunikacyjne mają przecież i wojskowy wymiar. W pewnym sensie Trójmorze to inicjatywa o znaczeniu absolutnie fundamentalnym dla świata zachodniego, dla jego spójności. Tej spójności nie będzie bez silnych relacji transatlantyckich.

Jak to się ma do Trójmorza?

Bardzo prosto: to jest ta część Europy, w której przywództwo amerykańskie jest doceniane. To bardzo ważny element w kontekście konkurencji amerykańsko-chińskiej. Jeśli nie ma amerykańskiego przywództwa, wszystko się rozprzęga i tutaj, i w Europie Zachodniej. Zaczynają dominować pozorne, własne interesy. Platformą tego przywództwa jest właśnie Trójmorze. To nie jest sprawa ważna tylko dla nas czy Rumunów; nie, ona jest ważna dla całej architektury światowej.

Można się jednak obawiać, że w walce o dominację z Chinami Stany Zjednoczone tak bardzo będą potrzebowały wsparcia ze strony Rosji, że zapłacą Kremlowi w ten sposób, że porzucą nasz region.

Mamy konkretne doświadczenia i tego typu pytania zawsze mamy z tyłu głowy. Pytanie, czy Ameryka rzeczywiście tak bardzo będzie potrzebowała Rosji w zmaganiach z Chinami? Przecież ta rywalizacja nie ma charakteru militarnego – tu Rosja byłaby użyteczna – ale ekonomiczny i technologiczny, skupiający się w cyberprzestrzeni, co nie czyni z niej partnera.

Bardzo często tego typu rywalizacje dochodzą, wcześniej czy później, do etapu konfliktu militarnego.

W polityce wszystko jest możliwe, ale ten scenariusz uważam za mało prawdopodobny. Dlatego wartość Rosji w tym kontekście wydaje mi się mocno umiarkowana.

> W pewnym sensie Trójmorze to inicjatywa o znaczeniu absolutnie fundamentalnym dla świata zachodniego, dla jego spójności. Tej spójności nie będzie bez silnych relacji transatlantyckich

Spoglądając na Wschód: czy zaskoczyło pana to, że Aleksander Łukaszenka jednak przetrwał?

My, Polacy, często porównujemy to, co się dzieje na Białorusi, z polską Solidarnością. W Sierpniu się wydawało, że komuniści już przegrali, ale zdołali jednak wprowadzić stan wojenny i przedłużyć swoją władzę o niemal dekadę. Postawmy jednak pytanie, czy sytuacja na Białorusi z punktu widzenia obecnych władz wygląda obiecująco?

Pana pokolenie ma tendencję do odtwarzania matrycy Solidarności, a przecież nie jest powiedziane, że to będzie podobny scenariusz.

Tak, to zapewne coś, co mocno w nas siedzi. Na pewno czas biegnie inaczej w naszej części Europy, ale jedno jest pewne – białoruska strona społeczna nie powiedziała ostatniego słowa. Istotą sprawy jest to, że czynnik decydujący o wielu kwestiach leży poza granicami Białorusi. Gdyby tej „opieki" zabrakło, wszystko przebiegałoby inaczej. Jedno jest optymistyczne – w ostatnich miesiącach zobaczyliśmy, że społeczeństwo białoruskie należy do naszej cywilizacji, że ma podobne wyobrażenia o normalnym, dobrym życiu. Okazało się, że to społeczeństwo bardzo otwarte, współczesne, dynamiczne, asertywne, kreatywne i bez kompleksów.

Można się jednak zastanawiać, czy Polacy nie poszliby jednak w pewnym momencie o krok dalej, gdyby była szansa na zmianę.

Będę ostatnią osobą, która doradzałaby jakiemukolwiek sąsiadowi w takich sprawach. To są sprawy, które muszą być zgodne z temperamentem narodowym.

Jak pan ocenia wypowiedź prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera, który zasugerował, że upór Niemiec w związku z budową gazociągu Nord Stream2 wynika ze swego rodzaju zobowiązań Niemiec wobec Rosji. Czy nie pobrzmiewał w tych słowach strach i swoisty szacunek wobec zwycięzcy z 1945 r.?

Ten niemiecki szacunek dla zwycięzców jest sprawą oczywistą dla tych, którzy interesują się tą problematyką. To widać także w sposobie przedstawiania Rosjan w popkulturze dotykającej tematyki II wojny światowej. To przeciwnik, który wzbudza respekt. Natomiast trudno się nie zgodzić, że państwo niemieckie ma pewne zobowiązania wynikające z historii. Jedyny spór dotyczy tego, czy są to wyłącznie zobowiązania moralne. Jeśli Niemcy ten fakt uznają, to można się tylko cieszyć. Wypełnianie tych zobowiązań treścią powinny jednak rozpocząć od Polski, a nie od Rosji.

Reklama | 33/0221/F

eprasa.pl d563a9d9f8

Energa
Obrót
GRUPA ORLEN



Wybierz instalację słoneczną Energa Grupa ORLEN

Postaw na własną instalację słoneczną z Energą, produkuj własny prąd i obniż swoje rachunki. Zyskaj aż 25 lat gwarancji na panele oraz roczne ubezpieczenie instalacji w wybranym wariancie.

Zadzwoń pod **555 555 505** lub wypełnij formularz na www.energa.pl.

Koszt połączenia wg stawek Twojego operatora telefonicznego.

eprasa.pl d563a9d9f8

Reset Zjednoczonej Prawicy

Już na wiosnę 2021 r. mają zostać wygaszone wszelkie wojny wewnętrzne prowadzące do wykrwawiania się obozu rządzącego



STANISŁAW JANECKI

We współczesnej motoryzacji obowiązuje zasada, że aby oszczędnie zahamować albo zwolnić, jedzie się „na biegu", bez naciskania pedału sprzęgła. Podczas hamowania silnikiem (technologicznie mniej więcej po 1997 r., gdy przy hamowaniu silnikiem odcinany jest dopływ paliwa) nie zużywa się bowiem nawet kropli benzyny. W przeciwieństwie do jazdy na luzie. Efekt jest ten sam, a oszczędność i efektywność ewidentna. Ale to nie jest wstęp do tekstu o motoryzacji, lecz o sytuacji w Zjednoczonej Prawicy (ZP).

Wiosną 2020 r., w związku z wyborami prezydenckimi planowanymi na 10 maja, ZP zaczęła hamować, ale nie silnikiem, tylko na luzie, bezsensownie zużywając paliwo. Wtedy Porozumienie Jarosława Gowina zablokowało wybory w formie korespondencyjnej. I wszystko, co się działo po 10 maja, było hamowaniem na luzie. Obejmuje to przesunięte wybory prezydenckie (ostatecznie 28 czerwca i 12 lipca), piątkę dla zwierząt (projekt zaprezentowano 8 września, wywołał on sprzeciw Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry), sprawę aborcji (po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r., które weszło w życie 27 stycznia 2021 r.), planowane zmiany składki zdrowotnej czy najnowszy projekt ratyfikacji unijnego funduszu odbudowy (obiekcje zgłasza Solidarna Polska).

Politycznie Zjednoczona Prawica jedzie na jałowym biegu. A to oznacza, że niemal przy każdym nowym projekcie nie ma większości zgodnej ze stanem posiadania w Sejmie (234 mandaty). Dlatego kierownictwo Prawa i Sprawiedliwości postanowiło to przeciąć, proponując reset.

KONIEC HAMOWANIA

To, co się dzieje w Zjednoczonej Prawicy od marca 2020 r., nie oznacza, że gabinet Mateusza Morawieckiego nie rządzi. Działa, i to bardzo efektywnie. Przyjęto kolejne tarcze łagodzące skutki pandemii, a łącznie pomoc przekroczyła już 182 mld zł (docelowo, z filarem finansowym, ma to być nawet 312 mld zł). Przygotowano Narodowy Plan Szczepień sytuujący nas w czołówce państw szczepiących najwięcej i najefektywniej. Rząd porozumiał się (najpierw na poziomie Rady Europejskiej, a potem zaakceptował to Parlament Europejski) w sprawie budżetu UE na lata 2021–2027 oraz w sprawie funduszu odbudowy – Polsce przypadnie z obu tych tytułów 159 mld euro. Polska gospodarka znajduje się w czołówce tych z najmniejszymi stratami (spadek o 2,8 proc.), a polski eksport osiągnął w 2020 r. poziom 237,5 mld euro (dodatnie saldo obrotów wynosi 12 mld euro). Nie zrezygnowano z żadnych programów socjalnych, mimo że budżet miał mniejsze dochody i dodatkowe wydatki. Niebezpiecznie nie wzrasta ani zadłużenie Polski, ani deficyt, a jednocześnie rekordowe są aktywa rezerwowe zarządzane przez Narodowy Bank Polski (na koniec stycznia 2021 – 129,8 mld euro). Reset ZP jest potrzebny właśnie dlatego, że wewnętrzne konflikty i tarcia w jej obrębie nie pozwalają zdyskontować bardzo dobrych (na tle świata i innych państw UE) wyników gospodarczych oraz utrzymania zdobyczy socjalnych.

Przy takich wynikach oraz przy dobrym radzeniu sobie w walce z pandemią poparcie dla Zjednoczonej Prawicy nie powinno spadać. A jednak spada, i to głównie za sprawą tego, że do opinii publicznej trafia obraz skłóconego, zajmującego się sobą obozu władzy, co wykorzystuje opozycja i popierające ją media. Nawet wewnętrzny konflikt w Porozumieniu przekłada się na wizerunek całej ZP. Skutek jest taki, że opozycja chce wdrukować Polakom przekonanie, iż Zjednoczona Prawica nie jest w stanie rządzić, a właściwie to nie ma już w Sejmie większości. Stąd propozycje tworzenia rządu technicznego. Stąd kuszenie Jarosława Gowina fotelem premiera w rządzie technicznym bądź takim, który zostałby stworzony przez opozycję razem z Porozumieniem. Stąd wmawianie opinii publicznej, że nie ma innego wyjścia niż przedterminowe wybory. Reset Zjednoczonej Prawicy ma być nie tylko sposobem opanowania tych wszystkich problemów, lecz także uspokojenia sytuacji, zmierzającym do odwrócenia tendencji

eprasa.pl d563a9d9f8



Fot. Andrzej Wiktor

sondażowych i umocnienia szans na przedłużenie rządzenia na kolejną kadencję.

Kurs na jałowym biegu spowodowany przez wewnętrzne konflikty sprawia, że przede wszystkim kierownictwo PiS jest świadome tego, iż bez resetu fundamentalnych spraw w Sejmie się nie przeprowadzi. Zwłaszcza kiedy ma się zdominowany przez opozycję Senat i prezydenta chcącego odgrywać samodzielną rolę. Gdyby obecne zapętlenie miało trwać, sprzeciw koalicjantów PiS i niektórych własnych posłów miałby pełzający charakter, to do wyborów w 2023 r. nic istotnego nie dałoby się zmienić, co właściwie niwelowałoby szansę wygranej.

Paradoksalnie resetowi sprzyja to, że z powodu pandemii od kilku miesięcy przesuwany jest termin kongresu programowego PiS. Kongres ma przedstawić plan dla Polski na najbliższe lata oraz uregulować funkcjonowanie Zjednoczonej Prawicy. Wykorzystane będzie to, co od grudnia 2020 r. znamy pod nazwą „Sprawne i nowoczesne państwo 2030", ale jest to przede wszystkim program rządu. Na przełomie lutego i marca 2021 r. ma być ponadto przedstawiony Nowy Polski Ład, czyli program „nowego impulsu gospodarczego i inwestycyjnego", który ma zasadniczo poprawić los wielu rodzin w Polsce. Plan ma się opierać na inwestycjach i innowacjach. A pandemia pokazała, że w wielu dziedzinach można dokonać skoku technologicznego i cywilizacyjnego, jaki w normalnych czasach byłby trudniejszy. Przede wszystkim z powodu zniknięcia wielu przewag konkurencyjnych państw bardziej od Polski rozwiniętych.

Nowy Polski Ład ma być lokomotywą (a właściwie pociągiem wielkich prędkości) Zjednoczonej Prawicy w sferze gospodarki. I ma sprawić, że przed wyborami w 2023 r. znacząco poprawią się nastroje, za co ZP odbierze premię. Nie da się jednak tego w pełni wykorzystać bez politycznego resetu, czyli (mówiąc językiem marksistów) bez dostosowania nadbudowy do bazy. Reset ma być takim właśnie dostosowaniem. Pierwsza jego wersja ma się pojawić nawet jeszcze przed kongresem programowym PiS.

DYSCYPLINA I SAMOOGRANICZENIE

Obecny stan, gdy pojawiają się projekty ustaw i rozwiązań, które od razu są bojkotowane przez część koalicji rządzącej, jest nie do przyjęcia. Powoduje coraz większe wykrwawianie się ZP bez osiągnięcia czegokolwiek. Efekt jest taki, że po wielotygodniowych, a nawet wielomiesięcznych bojach przegranych wskutek wewnętrznych konfliktów nie osiąga się status quo ante, ale sytuacja jest gorsza, niż była na starcie. A jałowe konflikty pochłaniają siły i środki, które można by przeznaczyć na projekty pozytywne, możliwe do zrealizowania.

Opozycja każdą taką sytuację wykorzystuje do ataków na rządzących, także ataków z zagranicy, w tym przez instytucje UE. I te ataki przynoszą skutek w postaci wycofywania się z kontrowersyjnych projektów przy wielkich stratach własnych i spadku poparcia. Dlatego ma powstać wspólny pakiet minimum, który zagwarantuje, że obóz rządzący nie będzie prowadził wewnętrznych wojen o niemożliwe do przeforsowania projekty, bo nie stać go na takie wojny. Ma zostać ustanowiona agenda do wyborów samorządowych w 2023 r., której sygnatariusze muszą bezwzględnie przestrzegać i sami we własnych szeregach dbać o lojalność i współpracę.

Rząd i lider Zjednoczonej Prawicy nie mogą się zajmować prawie wyłącznie kryzysami wewnętrznymi, tym bardziej

eprasa.pl d563a9d9f8

w czasie walki z pandemią i przy wyjątkowych wyzwaniach gospodarczych. Za przeciwdziałanie wszelkim tendencjom rozłamowym i generującym konflikty mają solidarnie odpowiadać koalicjanci, szczególnie liderzy koalicyjnych partii. Żeby kontrola była efektywna, jak najszybciej powinna zostać zawarta umowa bezwzględnie zakazująca spiskowania kogokolwiek z obozu rządzącego z opozycją, nawet obwarowana zgodą na zrzeczenie się mandatu przez tych, którzy się wyłamią. Jeden ośrodek, najprawdopodobniej zlokalizowany w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, ma koordynować wszelkie projekty ustaw i akty niższego rzędu, żeby w Sejmie nie pojawił się żaden projekt niemający z góry poparcia wszystkich koalicjantów. Jeśli ktoś zgłosi zastrzeżenia, mają być one rozstrzygnięte przed przesłaniem projektu do marszałka Sejmu. A szefowie koalicyjnych ugrupowań powinni zagwarantować (może nawet pisemnie), że nie dopuszczą do kwestionowania przez swoich posłów uzgodnień na etapie pracy nad projektem w komisjach sejmowych i na sali plenarnej.

Żeby ustalenia dyscyplinujące i scalające poszczególne elementy Zjednoczonej Prawicy nie wisiały w próżni, powinien zostać przyjęty wspólny kodeks etyczny. Przede wszystkim zakazujący działania przeciw interesom ZP, gdy nie chodzi o kwestie sumienia czy najbardziej fundamentalne wartości. Buntownicy wielokrotnie odwołują się do kwestii etycznych, więc taki kodeks uregulowałby wykorzystywanie tych spraw do uzasadniania sprzeciwu.

Reset nie jest sprawą łatwą do przyjęcia dla Solidarnej Polski ani Porozumienia. Zgoda na jego przeprowadzenie oznacza bowiem w jakimś sensie podporządkowanie się wspólnym interesom, a to prowadzi do ograniczenia politycznej samodzielności mniejszych ugrupowań. Tak to przynajmniej będzie przedstawiane przez tych (wewnątrz ZP, w opozycji i przez media), dla których reset jest niewygodny. Przyjęte wskutek resetu samoograniczenia mogą wpływać nie tylko na wyrazistość programową, lecz także na odrębność i specyfikę mniejszych koalicjantów. A to jest traktowane jako wartość w kontekście ewentualnego samodzielnego startu w wyborach w przyszłości. Mniejsze partie muszą zakładać zdolność do występowania samodzielnie, jeśli chcą funkcjonować w dłuższej perspektywie. Jest właściwie pewne, że radykałowie we własnych szeregach oraz opozycja będą podpuszczać, że akceptując reset, koalicjanci staną się przystawkami, czyli spotka je los Nowoczesnej w obrębie Koalicji Obywatelskiej. Przestaną się samodzielnie liczyć.

Reset Zjednoczonej Prawicy ma jednak uświadomić mniejszym koalicjantom, co jest ważniejsze: iluzja samodzielnego dostania się do parlamentu czy zasiadanie w Sejmie i wpływ na rządzenie i bieg spraw w Polsce. I to w stopniu nieproporcjonalnie większym, niż wynikałoby to z własnej pozycji i sił. A jest właściwie pewne, że zarówno w przypadku Porozumienia, jak i Solidarnej Polski samodzielnie ten wpływ byłby znikomy, o ile jakikolwiek. Mimo że lokalnie mogłyby nawet odnosić jakieś spektakularne sukcesy. To z kolei wywołuje sprawę gwarancji na wybory w 2023 r. Gwarancji dla mniejszych koalicjantów znalezienia się na wspólnych listach oraz przyznanej im puli miejsc, w tym tzw. biorących. Na razie nie ma zgody, czy reset powinien już to uwzględnić, czy sprawa powinna zostać odłożona, żeby nie wywoływać dodatkowych konfliktów.

> Reset Zjednoczonej Prawicy jest potrzebny właśnie dlatego, że wewnętrzne konflikty i tarcia w jej obrębie nie pozwalają zdyskontować bardzo dobrych (na tle świata i innych państw UE) wyników gospodarczych oraz utrzymania zdobyczy socjalnych. Bez resetu trudno też będzie wygrać kolejne wybory

GRA O PRZYSZŁOŚĆ

Jeśli Zjednoczona Prawica nie dokona resetu ani samoograniczeń, czego wszyscy uczestnicy są już świadomi, realną alternatywą jest rząd mniejszościowy, a potem przedterminowe wybory, gdyż rząd mniejszościowy może wprawdzie trwać, ale im dłużej, tym bardziej zmniejsza szanse wyborczego zwycięstwa. Tak przecież było z rządami AWS oraz SLD. Koalicja wspierająca premiera Jerzego Buzka rozpadła się w czerwcu 2000 r. i przez ponad rok do wyborów roztrwoniła wszystkie atuty, AWS zaś przestała istnieć. To doprowadziło do odzyskania władzy przez postkomunistów. Od 2 maja 2004 r. mniejszościowym rządem (a właściwie dwoma rządami) SLD kierował Marek Belka i przez prawie półtora roku doprowadził do tego, że Sojusz w październiku 2005 r. zdobył zaledwie 11,31 proc. poparcia, choć cztery lata wcześniej było ono na poziomie 41,04 proc.

Trwanie z mniejszościowym rządem jest zatem nieopłacalne, jeśli myśli się o zwycięstwie w kolejnych wyborach. Scenariusz z rządem mniejszościowym mógłby sprawić, że ZP i tworzące ją partie mogłyby na dekadę, jeśli nie na zawsze, stracić władzę i szanse jej odzyskania. A tego uczestnicy Zjednoczonej Prawicy na pewno są świadomi. Oczywiście mniejsze ugrupowania koalicyjne mogą liczyć na przyłączenie się do opozycji (szczególnie kuszone i podpuszczane jest tu Porozumienie) i odegranie jakieś roli w rządzie technicznym, ale długofalowo to się nie opłaca. Partie po takiej wolcie raczej się nie podnoszą i w następnym rozdaniu nie uczestniczą. Dlatego reset jest opłacalny dla wszystkich, tym bardziej gdy ma być przyjęty Nowy Polski Ład, który będzie podstawą skoku gospodarczego i odbudowy po pandemii. Jeśli to się uda, a wszystko na to wskazuje, Zjednoczona Prawica dostanie wyborczą premię w 2023 r. Dlatego politycy obozu rządzącego chcą resetu, a to oznacza, że już na wiosnę 2021 r. mogą być wygaszone wszelkie wojny wewnętrzne i wzajemne wykrwawianie się. A realizowane mają być wyłącznie projekty rozwojowe i przyszłościowe.

eprasa.pl d563a9d9f8

Gra pandemią



Pandemia to dla opozycji szansa na polityczne przesilenie. Jednak przeszkodą mogą się okazać szczepienia. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to rząd poprawi swoje notowania. Dlatego są rozpowszechniane kłamstwa o słabym tempie szczepień i o tym, że Polska wlecze się w ogonie Unii Europejskiej



KONRAD KOŁODZIEJSKI

W krótce minie rok od chwili, gdy do Polski dotarła pandemia koronawirusa. Choć przez ten czas międzynarodowym wysiłkiem opracowano szczepionki, a rząd wdrożył narodowy program szczepień, to do normalności jeszcze długa droga. Ze względu na ogromną skalę tego przedsięwzięcia zaszczepienie 60 proc. populacji (minimum zapewniającego zbiorową odporność) potrwa wiele miesięcy. Nie jest też jasne, na ile stosowane dziś szczepionki będą chronić przed możliwymi nowymi mutacjami koronawirusa. Odpowiedzi na te pytania są na razie nieznane. A to właśnie od nich zależy, kiedy będziemy mogli wrócić do dawnego życia.

Nic więc dziwnego, że Polacy – podobnie jak chyba wszyscy na świecie

Fot. Tomasz Jastrzębowski/Reporter

eprasa.pl d563a9d9f8

– są coraz bardziej zmęczeni przedłużającą się niepewnością i restrykcjami. Według niedawnego badania pracowni Social Changes dla portalu wPolityce.pl aż 50 proc. ankietowanych uznało, że rząd powinien „zmniejszyć obostrzenia, nawet jeśli doprowadziłoby to do wzrostu zakażeń" (jedynie 19 proc. było za zaostrzeniem ograniczeń, a 31 proc. uważało, że powinno się utrzymać dotychczasowe restrykcje).

50 proc. to bardzo dużo. Oznacza to, że połowa Polaków – co zresztą wynika też z innych badań – nie obawia się choroby lub nie przejmuje się losem tych, którzy są najbardziej narażeni na ciężkie następstwa zakażenia: ludzi starszych i przewlekle chorych. W tej grupie niespecjalnie liczy się solidarność z innymi, choć uczciwie też trzeba przyznać, że trudno jej wymagać od tych, którzy stoją w obliczu zapaści finansowej spowodowanej lockdownem.

To właśnie tych ludzi chce dziś wziąć „pod opiekę" antypisowska opozycja. Stosowane są tu różne chwyty – niekiedy zresztą wzajemnie sprzeczne – z jednej strony pojawiają się bowiem apele o luzowanie obostrzeń, a z drugiej narzekania na rzekomą nieudolność w walce z koronawirusem i złe tempo szczepień. Ludzie jednak nie dostrzegają w tych zarzutach sprzeczności, bo chcą jak najszybciej powrócić do normalności, bez względu na to, czy można to osiągnąć rezygnacją z restrykcji, czy przyspieszeniem – i tak przecież wysokiego – tempa szczepień.

DESKA RATUNKU

Opozycja, ustawiając się w roli wyraziciela społecznych frustracji, wchodzi tu niejako w buty dawnego PiS. W tym sensie, że przed 2015 r. to właśnie PiS – choć z innych przyczyn – było rzecznikiem społecznego niezadowolenia. Antypisowcy, pomstujący przez lata na sukcesy rządowych programów społecznych z 500+ na czele i podważający każdy udany krok rządu na rzecz poprawy warunków życia, mogli jedynie pomarzyć o tak szerokim poparciu ze strony zwykłych ludzi. Dowodem ówczesnej bezradności środowisk antypisowskich były choćby snute przez Sławomira Sierakowskiego pomysły „przelicytowania PiS" w transferach socjalnych czy całkiem już desperackie nadzieje Jana Hartmana na wielki krach gospodarczy, który wywoła upragniony bunt przeciwko „reżimowi". Dopiero pandemia dała opozycji nadzieję na odwrócenie nastrojów. Nic więc dziwnego, że antypisowcy chętnie korzystają z nadarzającej się okazji, nadając całkiem neutralnemu przedsięwzięciu, jakim jest walka z koronawirusem, wymiar polityczny. I mają już tu pewne „osiągnięcia".

> Opozycja ma nadzieję na powtórkę w Polsce scenariusza amerykańskiego, gdzie szok wywołany pandemią doprowadził do perturbacji gospodarczych i mocno zaostrzył sytuację polityczną, co ostatecznie stało się jednym z powodów upadku Donalda Trumpa

Z przytoczonych wcześniej badań pracowni Social Changes wynika bowiem, że frustracja wywołana pandemią ma wpływ na poglądy polityczne. Bo oto wśród zwolenników poluzowania restrykcji jest aż 58 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej (w przypadku wyborców prawicy wskaźnik ten wynosi zaledwie 27 proc.). Można to jednak czytać również tak, że im bardziej restrykcje stają się męczące, tym szybciej rośnie skłonność do obarczania rządzącej prawicy winą za wszelkie niedogodności i – co za tym idzie – do deklarowania poparcia dla opozycji. Wzrost tego poparcia wskazują zresztą sondaże badające sympatie polityczne. Obóz rządzący, którego wyniki oscylują dziś wokół 30 proc., stracił w ciągu ostatniego roku większość swoich „nieideowych" wyborców.

Opozycja ma więc nadzieję na powtórkę w Polsce scenariusza amerykańskiego, gdzie szok wywołany pandemią doprowadził do perturbacji gospodarczych i mocno zaostrzył sytuację polityczną, co ostatecznie stało się jednym z powodów upadku Donalda Trumpa. Inna rzecz, że – w odróżnieniu od rządzącej Polską prawicy – Trump sam pomógł swoim przeciwnikom, ostentacyjnie lekceważąc zagrożenie wywołane pandemią.

„NOC WYZWOLENIA"

W tym kontekście zrozumiała staje się radość „Gazety Wyborczej" z powodu najazdu turystów na Zakopane w weekend 13–14 lutego, gdy rząd – na dwa tygodnie – pilotażowo poluzował restrykcje i otworzył w reżimie sanitarnym hotele oraz stoki narciarskie. W rezultacie miasto zostało wręcz zalane tysiącami ludzi. Na filmach i zdjęciach umieszczonych w internecie ujrzeliśmy tłumy na Krupówkach, tasiemcowe kolejki do wyciągów, przy czym wiele osób nawet nie miało na twarzach maseczek, nie mówiąc już o zachowaniu jakiegokolwiek dystansu. Doszło do ponad 200 interwencji policyjnych, przy czym niektóre z nich skończyły się awanturami.

Zachwycony tym publicysta „Wyborczej" Jerzy Sawka napisał, że w Zakopanem „ludzie dali upust swojej potrzebie radości życia [...]. Tam było zero polityki. Tam polityka była totalnie zignorowana. Tam była potrzeba normalności". Przy czym owa „normalność" – zdaniem Sawki – to coś więcej niż tylko brak obostrzeń. To przede wszystkim wyrzucenie rządzącej prawicy na margines społeczeństwa. „Zabawowa noc na Krupówkach to najmocniejszy od 2015 r. akord buntu wobec obecnej władzy. To był bunt mocniejszy od Strajku Kobiet, od marszów KOD, od manifestacji pod sądami. Był najmocniejszy dlatego, że absolutnie lekceważący obecną władzę. Jakby nie istniała" – podniecał się Sawka. Publicysta „Wyborczej" zachwyca się więc tym, że – jego zdaniem – po raz pierwszy przeciwko władzy opowiedzieli się nie aktywiści, lecz zwykli ludzie, tacy, którzy dotąd stali z boku, a być może część z nich wspierała wcześniej PiS. To właśnie oni mają się stać języczkiem u wagi, który przechyli szalę na rzecz antypisu. Oczywiście, jeśli tego rodzaju „bunty" uruchomią kolejną falę

eprasa.pl d563a9d9f8

zakażeń, to również nic złego. Bo może władza sobie z nią nie poradzi, a przecież im gorzej, tym lepiej.

Z podobnym cynizmem mieliśmy już do czynienia podczas fali protestów na rzecz aborcji, których szczyt zbiegł się z kulminacją drugiej fali pandemii. Tłumy ludzi wychodziły na ulice, a usłużni (lub ubezwłasnowolnieni umysłowo przez opozycję) eksperci wyjaśniali, że nie powoduje to zwiększonego ryzyka zakażeń, choć jeszcze latem bili na alarm, gdy rząd trochę poluzował restrykcje. I choć na szczęście protesty aborcyjne nie wywołały katastrofy zdrowotnej, to niejako „zalegalizowały" lekceważenie obostrzeń. To właśnie tym ekscytuje się dzisiaj „Wyborcza", że oto nikt już nie słucha się władzy ani „jej" służb. Nawet gdy stawką są ludzkie zdrowie i przyszłość państwa.

FAŁSZYWA TROSKA

Opozycja i jej medialni funkcjonariusze nic nie ryzykują, nawołując ludzi do „buntu" w środku pandemii. Przeciwnie, dzięki temu znienawidzony pisowski rząd może mieć poważne kłopoty. Trudno więc – przykładowo – z dobrą wolą przyjąć troskę Katarzyny Lubnauer (KO) o przedsiębiorców, którzy nie mogą już znieść przedłużających się restrykcji. Bo – choć niektórzy z tych przedsiębiorców rzeczywiście mają problemy – to z pewnością nie rozwiąże ich nakręcenie pandemii, wręcz przeciwnie – jeszcze je spotęguje.

Jeszcze bardziej faryzejskie były rady, aby rząd przyspieszył szczepienia, zużywając od razu dwie dawki szczepionek. Gdyby rząd uległ wtedy presji, to dziś opozycja mogłaby z triumfem ogłosić klęskę programu szczepień. Bo z powodu zawinionych przez koncerny farmaceutyczne opóźnień w dostawach osoby zaszczepione pierwszą dawką nie miałyby teraz szans na terminowe wstrzyknięcie kolejnej. W rezultacie nie nabrałyby one pełnej odporności i wszystko trzeba byłoby pewnie powtórzyć. A to kosztowałoby cenny czas i pieniądze.

Generalnie opozycja ma duży problem ze szczepieniami. Bo jeśli wszystko się uda, to szanse na wybuch wielkiego kryzysu spadną. Dlatego rozpowszechniane są kłamstwa o słabym tempie szczepień i o tym, że Polska wlecze się w ogonie Unii Europejskiej. Wystarczy jednak zajrzeć do najnowszych statystyk, aby się przekonać, że to wierutna bzdura. Według międzynarodowego portalu statista.com (dane z 16 lutego) wskaźnik liczby zaszczepionych na 100 osób wyniósł w Polsce 5,70, czyli więcej niż np. w Szwecji (5,01), Niemczech (5,11), Francji (4,62), Holandii (3,64) czy stawianych dotąd za wzór Włoszech (5,16) i Hiszpanii (5,61). Oczywiście Polska nie tylko nie jest ze szczepieniami w ogonie Unii Europejskiej, lecz ich liczba znacząco przewyższa unijną średnią wynoszącą 5,02. Takie informacje nie przebijają się jednak w opozycyjnych tytułach i przeciętny Polak nie dowie się o nich, dopóki nie zajrzy do mediów sprzyjających rządowi. Jeśli jednak został zainfekowany antypisem, to raczej do nich nie zajrzy, więc pozostanie mu jedynie biadolić i dzielić się swoją niewiedzą z podobnymi mu nieszczęśnikami.

> Protesty aborcyjne „zalegalizowały" lekceważenie obostrzeń. „Gazeta Wyborcza" ekscytuje się dzisiaj tym, że nikt nie słucha się władzy ani „jej" służb. Nawet gdy stawką jest ludzkie zdrowie

Tego rodzaju manipulacji jest więcej. Na przykład w sprawie 15 mln szczepionek, których nie zakontraktował rząd. Borys Budka zarzucał rządowi, że z tego powodu trzeba było ograniczyć szczepienia, choć w rzeczywistości było to spowodowane czasowym zmniejszeniem dostaw przez koncerny farmaceutyczne. Poza tym szczepionki, których nie chciał rząd, miały dotrzeć dopiero za rok, więc ich zakup w sytuacji, gdy Polska zakontraktowała już 85 mln dawek (przy liczbie osób do zaszczepienia szacowanej na ok. 22 mln), byłby zwykłym marnotrawstwem. Równie dziwne były nalegania, aby kontraktować dodatkowe szczepionki poza systemem zakupowym Unii Europejskiej. Gdyby rząd zdecydował się na to, usłyszelibyśmy zapewne, że „reżim" łamie ustalenia unijne i w ogóle, że to kolejny krok do polexitu.

Zresztą Borys Budka, krytykując narodowy program szczepień, sam niechcący przyznał, że idzie on całkiem sprawnie. Domagał się bowiem jego decentralizacji i przekazania szczepień w gestię rzekomo skuteczniejszych władz samorządowych. Można być jednak absolutnie pewnym, że gdyby szczepienia szły tak źle, jak twierdzi Budka, to na pewno nie chciałby on obciążać nimi swoich partyjnych kolegów z samorządów.

ZACHOWAĆ ZIMNĄ KREW

W tej chwili gra toczy się zatem głównie wokół szczepień. Jeżeli rząd zdoła sprawnie zaszczepić najbardziej zagrożone grupy wiekowe i zawodowe, zachowując przy tym pełną transparentność i bezwzględnie eliminując wszelkie nadużycia, to będzie mógł stopniowo przywracać upragnioną przez wszystkich normalność, a tym samym pozbawić opozycję amunicji. Szczęśliwie rządzący – po dość pochopnym odtrąbieniu końca pandemii podczas wakacji i przedwczesnym poluzowaniu obostrzeń na jesieni (co ostatecznie skończyło się lawinowym wzrostem zakażeń) – wyciągnęli chyba wnioski z błędów i postępują teraz ostrożniej.

Jeśli jednak rząd znów ulegnie presji, posłucha fałszywych rad albo zdarzy się jakaś zupełnie dziś nieoczekiwana sytuacja, np. pojawi się odporna na szczepionki mutacja wirusa, to szybko znajdzie się w bardzo niebezpiecznym miejscu, z którego trudno będzie mu wrócić do punktu wyjścia.

Warto tu znów sięgnąć do przykładu amerykańskiego. Pierwsze decyzje nowej ekipy w Białym Domu dotyczyły zaostrzenia poluzowanych przez Trumpa restrykcji. Gdyby dziś – teoretycznie – władzę w Polsce przejęła antypisowska opozycja, natychmiast zrobiłaby to samo. Dlatego jej „troska" o zamrożone gałęzie gospodarki brzmi wyjątkowo fałszywie.

Stłumienie pandemii nie jest dziś wyłącznie kwestią ekonomiczną czy zdrowotną. To również pytanie o polityczną przyszłość Polski.

eprasa.pl d563a9d9f8



Wyścig do ratusza

W Rzeszowie szykuje się polityczna batalia roku. Wybory nowego prezydenta stolicy Podkarpacia będą poligonem o znaczeniu ogólnopolskim

JAROMIR KWIATKOWSKI

Reset w rzeszowskim ratuszu. 10 lutego, po ponad 18 latach sprawowania urzędu, rezygnację z funkcji prezydenta Rzeszowa – bez jakichkolwiek konsultacji ze swoim zapleczem w mieście – ogłosił Tadeusz Ferenc, były członek SLD. Wskazał także, że w roli swojego następcy najchętniej widziałby posła Marcina Warchoła z Solidarnej Polski, wiceministra sprawiedliwości, z którym wystąpił wspólnie na konferencji prasowej. Zawrzało zarówno w PiS, jak i w antypisu.

To koniec pewnej epoki – słychać w Rzeszowie. I nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Tadeusz Ferenc był prezydentem nieprzerwanie od 2002 r. i każde kolejne wybory – poza pierwszymi – wygrywał bez problemu w pierwszej turze. Był też uwielbiany przez rzeszowian, którzy uważali go za znakomitego gospodarza.

Decyzję o rezygnacji Ferenc, najstarszy prezydent w Polsce, ogłosił w dniu swoich 81. urodzin. Jako główną przyczynę podał względy zdrowotne. I jest to zapewne powód prawdziwy. O poważnych kłopotach prezydenta słyszało się na mieście od dość dawna. Na to nałożył się przebyty ostatnio COVID-19. Choroba sprawiła, że Ferenc trafił do szpitala. Podczas wspólnej konferencji z wiceministrem Warchołem trudno było nie zauważyć, że jest w nie najlepszej kondycji.

Prezydent zachwalał zalety wiceministra. – Marcin Warchoł pragnie kandydować, a jest jedynym gwarantem rozwoju Rzeszowa. W dodatku doskonale porusza się po pokojach rządowych, wiele może dla miasta załatwić – podkreślał Ferenc. I dodawał: – Panie ministrze, bardzo mi zależy, aby to pan został kolejnym prezydentem Rzeszowa. Popieram pana bezwzględnie.

Marcin Warchoł nie pozostał Tadeuszowi Ferencowi dłużny. Długo wymieniał zasługi prezydenta dla rozwoju Rzeszowa. – To koniec epoki, która zapisze się w dziejach naszego miasta złotymi zgłoskami – podkreślił.

Namaszczenie Warchoła przez Ferenca okazało się kłopotem zarówno dla podkarpackiego PiS, jak i antypisie. Świadczyły o tym już pierwsze reakcje po wspomnianej konferencji.

Elżbieta Łukacijewska, europosłanka PO, wyraziła na Facebooku zdziwienie, że Ferenc poparł człowieka Zbigniewa Ziobry. „Żegnając się z urzędem, Prezydent Ferenc poświęcił sobie i mieszkańcom 1 minutę, a przez 21 zachwalał Ministra Warchoła na swojego następcę. Szok!" – napisała.

„Jest coś dziwacznego w tym, że prezydent ze środowisk, delikatnie mówiąc, dalekich od obozu rządowego, rekomenduje na swojego następcę

eprasa.pl d563a9d9f8



Tadeusz Ferenc (z prawej) do Marcina Warchoła: – Panie ministrze, bardzo mi zależy, aby to pan został kolejnym prezydentem Rzeszowa. Konferencja prasowa, na której Ferenc ogłosił swoją rezygnację

Fot. Polska Press/Krzysztof Kapica

ministra rządu Zjednoczonej Prawicy, a ten się zgadza i oświadcza, że nic nie zmieni [to zapewne aluzja do deklaracji Warchoła, że nikogo z dotychczasowych pracowników nie zwolni – przyp. JK], choć Rzeszów zmiany potrzebuje. Pytanie, komu ma to służyć?" – skomentował na Twitterze europoseł PiS Tomasz Poręba.

Marszałek województwa Władysław Ortyl (PiS) nie ukrywał zniesmaczenia tym, że Marcin Warchoł nie konsultował z jego partią swojego startu w wyborach. – W cywilizowanym świecie wśród koalicjantów są uzgodnienia – powiedział portalowi Rzeszów News.

WARCHOŁ UWIÓDŁ FERENCA SKUTECZNOŚCIĄ

Aby zrozumieć sytuację, jaka powstała w Rzeszowie, przypatrzmy się obu głównym bohaterom.

Tadeusz Ferenc do swojej obecności w życiu publicznym miał zawsze podejście pragmatyczne. Był członkiem SLD (zasiadał nawet w Radzie Krajowej), ale nigdy nie starał się tych związków eksponować. Wręcz przeciwnie – wraz ze wzrostem swojego znaczenia w Rzeszowie raczej je rozluźniał, aż w końcu w 2019 r. złożył partyjną legitymację. Powtarzał, że jego jedyną partią jest Rzeszów. Coraz to jednak puszczał oko do lewicy. Na przykład wtedy, gdy jako jeden z 12 prezydentów miast latem 2017 r. zadeklarował chęć przyjęcia uchodźców i powtarzał, że kto jest przeciw nim, „ten tuman". Albo – jak z końcem czerwca 2018 r. – kiedy udostępnił ratusz uczestnikom I Marszu Równości w Rzeszowie na debatę „Jak być sojusznikiem osób LGBT". Nie przeszkadzało mu to być w dobrej komitywie z wieloma ważnymi przedstawicielami rzeszowskiego duchowieństwa. „Dla dobra Rzeszowa" starał się dogadać z każdą władzą na szczeblu krajowym. Także pisowską.

Marcin Warchoł pochodzi z Niska, odległego od Rzeszowa 60 km. Podczas konferencji z Tadeuszem Ferencem starał się jak najmocniej wyeksponować swoje związki ze stolicą Podkarpacia – podkreślał, że z Rzeszowem wiąże się jego dzieciństwo, że tu przyjeżdżał z rodzicami na różne wydarzenia czy na słynne lody U Myszki oraz że w tym mieście poznał żonę. Gdy w 2019 r. został posłem, startując z ostatniego miejsca listy Zjednoczonej Prawicy w okręgu rzeszowskim, kupił mieszkanie w Rzeszowie.

Obserwatorzy lokalnej sceny politycznej szybko zauważyli chemię, jaka powstała między oboma panami. Jej wytłumaczenie jest proste. Ferenc zawsze był człowiekiem czynu (jego ulubione powiedzonko brzmi „Robota ma się robić"), a Warchoł urzekł go właśnie skutecznym działaniem. Najlepiej było to widoczne w sprawie przejęcia przez miasto rzeszowskiego zamku, w którym dotąd mieścił się sąd okręgowy. Prezydent walczył o to ponad dekadę – bez powodzenia. Pojawił się wiceminister Warchoł i akt notarialny został podpisany. Miasto przejmie zamek (Ferenc chciał tam umieścić instytucje kultury), a budynek dla sądu zostanie wybudowany w innym miejscu.

Marcin Warchoł postanowił też wejść w buty Tadeusza Ferenca i schować do kieszeni swoje partyjne związki. Zadeklarował, że złoży legitymację partyjną. – W wyborach na prezydenta Rzeszowa wystartuję jako kandydat obywatelski. Moją partią jest od dzisiaj Rzeszów – zapewnił.

Co do tego, czy to się uda, sceptyczny jest dr Paweł Kuca, politolog z Uniwersytetu Rzeszowskiego: – Marcin Warchoł

eprasa.pl d563a9d9f8

nie może liczyć na to, że nikt nie będzie pamiętał, iż wywodzi się z Solidarnej Polski. Wyborcy raczej nadal będą go utożsamiać z tym, że jest (czy był) politykiem partii Zbigniewa Ziobry.

KTO JEST CZYM ZASKOCZONY

Konrad Fijołek, wiceprzewodniczący Rady Miasta i szef lewicowego, proprezydenckiego klubu radnych Rozwój Rzeszowa, przyznaje, że był zaskoczony rezygnacją Tadeusza Ferenca. – Kłopoty zdrowotne, które miał w międzyczasie, są naturalne w pewnym wieku – podkreśla. – Zawsze jednak wychodził z nich obronną ręką, nawet szybciej niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

Nie zaskoczyło go natomiast poparcie Ferenca dla Marcina Warchoła, choć trudno mu je zaakceptować z powodów politycznych. – Pracowałem z prezydentem przez wiele lat i wiem, że dla niego kluczową sprawą w patrzeniu na Rzeszów było to, żeby mieć dobre relacje z obozem rządzącym – podkreśla Fijołek. I dodaje: – Problem polega na tym, że o ile rozumieliśmy budowanie przez prezydenta dobrych relacji z innymi ekipami rządowymi, o tyle zupełnie niezrozumiałe, i tu się z nim fundamentalnie różnimy, jest udzielenie na koniec poparcia przedstawicielowi obecnego obozu rządzącego, który oceniamy bardzo negatywnie, bo ten rząd ma problemy ze standardami demokratycznymi, a to jest dla nas sprawa fundamentalna. My z tymi rządzącymi nie chcemy mieć dobrych relacji.

– Ten wybór jest zaskoczeniem – komentuje Paweł Kuca. – Minister Warchoł na rzeszowskiej scenie politycznej funkcjonuje od niespełna dwóch lat. Przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi w 2019 r., kiedy była mowa o tym, że Tadeusz Ferenc mógłby kandydować do Sejmu [proponowała mu to Koalicja Obywatelska – przyp. JK], prezydent wskazywał, że jego następcą w ratuszu powinien być wiceprezydent Marek Ustrobiński. Przy prezydencie wykrystalizowała się grupa jego najbliższych współpracowników i raczej w tym gronie szukałbym następcy. Myślę jednak, że jest to większe zaskoczenie dla zwykłych mieszkańców Rzeszowa niż dla polityków, bo informacja, że Tadeusz Ferenc ma bardzo dobre relacje z Marcinem Warchołem, była już od jakiegoś czasu znana w rzeszowskim świecie politycznym.

WOJEWODA PREZYDENTEM?

Kwaśne reakcje polityków PiS nie pozostawiają złudzeń: na pewno dojdzie do bratobójczego pojedynku pomiędzy Marcinem Warchołem a kandydatem tej partii. Paweł Kuca nie spodziewa się, by PiS poparło kandydata szerokiego obozu prawicowego, którego de facto wskazał prezydent Ferenc.

Kto zatem nim będzie? Najczęściej wymieniana jest Ewa Leniart, która jako wojewoda podkarpacka w 2019 r. dostała się do Sejmu, ale szybko wróciła do urzędu wojewódzkiego, ustępując miejsca w parlamencie Andrzejowi Szlachcie, prezydentowi Rzeszowa w latach 1999–2002, posłowi PiS od kilku kadencji, który ma na koncie dwie wyborcze porażki z Tadeuszem Ferencem – w 2002 i 2014 r.

– Na dziś pani wojewoda wydaje się najpoważniejszym kandydatem PiS – przyznaje Paweł Kuca. – Jest tam dobrze oceniana i uważana za sprawnego urzędnika.

Również Konrad Fijołek potwierdza, że „radni z PiS przez ostatnie dwa lata utrzymywali nas w przekonaniu, iż pani wojewoda jest bardzo poważnie rozważana w tym kontekście".

– Pani wojewoda przewija się na giełdzie nazwisk najczęściej i jest to nazwisko najmocniejsze. Jednak w kwestii, kogo PiS wskaże w tej rywalizacji, prosiłbym jeszcze o cierpliwość – sugeruje Marcin Fijołek, szef klubu PiS w Radzie Miasta [niespokrewniony z Konradem Fijołkiem – przyp. JK].

Nie jest wykluczone, że swojego kandydata wystawi także Porozumienie. – A dlaczego nie, biorąc pod uwagę sytuację w obozie Zjednoczonej Prawicy oraz to, że swojego kandydata w Rzeszowie będą miały PiS i Solidarna Polska? – uważa Paweł Kuca.

– Wierzę w mądrość polityków prawicy – przekonuje Marcin Fijołek. – Nawet gdyby do takiej sytuacji doszło, mam głęboką nadzieję, że nie wpłynie to negatywnie na funkcjonowanie koalicji na szczeblu centralnym.

KTO NA KOMISARZA

Do wyborów nowego prezydenta (powinny się odbyć w ciągu 90 dni) Rzeszowem będzie rządził komisarz miasta, wskazany przez premiera. Raczej nie będzie to Marcin Warchoł, skoro jego namaszczenie przez urzędującego prezydenta wywołało na twarzach polityków PiS tyle kwaśnych min.

Choć np. Konrad Fijołek nie wyklucza tego, że Warchoł zostanie komisarzem. Jego zdaniem wszystko będzie zależało od rachunku zysków i strat, którego dokona Jarosław Kaczyński. Wiadomo bowiem, że gdyby Warchoł wygrał prezydenturę w Rzeszowie, prezes zyskałby posła – miejsce polityka Solidarnej Polski zajęłaby w Sejmie Krystyna Wróblewska z PiS.

– Pan prezes musi rozstrzygnąć, czy bardziej mu się opłaca mieć w Sejmie więcej szabel kosztem znacznego politycznego umocnienia się pana Ziobry w postaci zdobycia Rzeszowa – uważa Konrad Fijołek. I dodaje: – Jeśli pan Ziobro przekona pana Kaczyńskiego, że Rzeszów to nic wielkiego, to prezes PiS pozwoli Marcinowi Warchołowi zostać komisarzem.

Wiceprzewodniczący Rady Miasta zaznacza jednak, że nie jest pewien, czy Warchoł chce tym komisarzem być. Jeśli nim zostanie, musi złożyć mandat poselski i posadę w ministerstwie. A jeżeli nie zdobędzie prezydentury w Rzeszowie, to znajdzie się na lodzie.

– Myślę, że tego scenariusza pan minister się obawia, bo jest człowiekiem inteligentnym – zauważa Konrad Fijołek. I dodaje: – Myślę też, że grę z komisarzem pozoruje, a tak naprawdę jest przekonany, że dzięki poparciu prezydenta Ferenca wjedzie w lektyce do Rzeszowa.

W ten wjazd wątpi Paweł Kuca. – Zwolennicy dotychczasowego prezydenta wcale nie muszą zagłosować na Marcina Warchoła, choć wskazał go Tadeusz Ferenc – przekonuje politolog. – Zaczęła się nowa gra. W obozie politycznym, który popierał prezydenta, widać duże emocje związane z tym, że poparł kandydata z innego obozu.

Dla tych ludzi Marcin Warchoł jest i pewnie pozostanie ciałem obcym.

Konrad Fijołek wspomina, że Tadeusz Ferenc już w 2011 r., kiedy pierwszy

eprasa.pl d563a9d9f8

raz kandydował do Senatu [przegrał wtedy z Kazimierzem Jaworskim z PiS – przyp. JK], właśnie jego widział jako swojego następcę. Później obsadzał w tej roli m.in. szefa PO na Podkarpaciu Zdzisława Gawlika, wiceprezydenta Rzeszowa Marka Ustrobińskiego, aż w końcu Marcina Warchoła.

– A przecież to chyba mieszkańcy powinni decydować o tym, kto zostanie prezydentem Rzeszowa – podkreśla szef klubu radnych Rozwój Rzeszowa.

Zdaniem Pawła Kucy wybór komisarza będzie zależał od strategii, jaką przyjmie PiS: czy będzie to komisarz jedynie techniczny, który ma administrować miastem do czasu wyboru nowego prezydenta, czy komisarz, który będzie później także kandydatem. – Jednak decyzja w tej sprawie na pewno nie zapadnie w Rzeszowie – nie ma wątpliwości politolog.

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę powiedzieć, że przedstawimy kandydata na komisarza w przyszłym tygodniu [między 22 a 26 lutego – przyp. JK], kiedy proces uprawomocnienia się decyzji o rezygnacji Tadeusza Ferenca będzie dobiegał końca – zaznacza Marcin Fijołek, szef klubu radnych PiS.

JEDEN KANDYDAT ANTYPISU?

Kto wystartuje po stronie antypisu? Jednym z kandydatów może być Konrad Fijołek.

– Stawiam swoją osobę do dyspozycji – zapewnia szef klubu Rozwój Rzeszowa. – Jestem gotów wystartować, tym bardziej że jestem stąd, jestem przygotowany, mam wiedzę oraz doświadczenie wielu lat współpracy z panem prezydentem.

Ambicji prezydenckich nie ukrywa Marta Niewczas, była rzeszowska radna i była mistrzyni świata w karate tradycyjnym. Tak chyba trzeba rozumieć opublikowanie przez nią na Facebooku własnego zdjęcia w prezydenckiej pozie z podpisem, w którym czytamy m.in.: „Zaczyna się walka o tron... Oddajmy władzę w naszym mieście ludziom młodym. Stara ekipa powiedziała już wszystko. I ciągle mówi to samo...". Hmm, młodym... Marta Niewczas to rocznik 1974.

Część działaczy Koalicji Obywatelskiej namawiała do kandydowania europosłankę Elżbietę Łukacijewską, ale bezskutecznie. W tym obozie pojawiła się jednak kandydatura z pierwszej ligi. Nie jest wykluczone, że do walki stanie pochodzący z Rzeszowa Paweł Kowal, były polityk PiS, a obecnie Koalicji Obywatelskiej. Na Instagramie umieścił swoje zdjęcie, na którym wskazuje pomnik Czynu Rewolucyjnego, uważany za symbol Rzeszowa. Pod zdjęciem opublikował wpis: „Kto zna to miejsce? Palec pod budkę! Rzeszów stanie się niedługo widownią najważniejszej batalii politycznej w Polsce. Wszystkie ręce na pokład! To jest nasza wspólna sprawa, dobrze trzeba to przemyśleć".

> Marcin Warchoł postanowił wejść w buty Tadeusza Ferenca i również schować swoje partyjne związki. Zadeklarował, że złoży legitymację partyjną. – W wyborach na prezydenta Rzeszowa wystartuję jako kandydat obywatelski. Moją partią jest od dzisiaj Rzeszów – zapewnił

Na giełdzie dziennikarskiej pojawiły się także nazwiska posłów Grzegorza Brauna (Konfederacja) i Wiesława Buża (Lewica) oraz Macieja Masłowskiego, byłego posła Kukiz'15. O prezydenturę w Rzeszowie, choć miasta nie zna, chce się ubiegać także transpłciowy Norbert Bobin, przedstawiający siebie jako Sabina.

Paweł Kuca uważa, że obóz antypisu powinien wystawić w tych wyborach jednego wspólnego kandydata. Podobnie myśli Konrad Fijołek. – Tylko wtedy nasz kandydat będzie miał szansę spotkać się w drugiej turze z kandydatem PiS, bo myślę, że ta partia nie wystawi tu nikogo, kto będzie aż tak słaby, że nie wejdzie do drugiej tury. W przeciwnym razie kandydat PiS spotka się z panem Warchołem, czego byśmy nie chcieli – przekonuje wiceprzewodniczący Rady Miasta. I dodaje: – W tym kontekście stawiam swoją kandydaturę. Nie upieram się, że jestem najlepszy. My jako Rozwój Rzeszowa, który był zapleczem prezydenta Ferenca w Radzie Miasta i odgrywa tam kluczową rolę, uważamy, że byłoby dobrze, żeby z naszej strony stanął ktoś, kto się dobrze kojarzy z obozem pana prezydenta i przez prawie 20 lat rzeczywiście współtworzył z nim to miasto.

POLITYCZNY WYŚCIG ZBROJEŃ

Paweł Kuca podkreśla, że ponieważ w najbliższym czasie nie ma żadnych innych wyborów, elekcja nowego prezydenta Rzeszowa sprowadzi się w ostateczności do pojedynku PiS i antypisem. Spodziewa się najazdu na Rzeszów politycznych liderów szczebla krajowego oraz dużego zainteresowania wyborami ze strony mediów ogólnopolskich.

– Dla PiS będą to trudne wybory, bo przez kilka kadencji jego kandydaci nie byli w stanie wygrać z Tadeuszem Ferencem – twierdzi politolog. I dodaje: – Pytanie, czy PiS przy nowym otwarciu w ratuszu i przy wzroście nastrojów antypisowskich, widocznym choćby na różnych internetowych forach, jest w stanie sięgnąć w Rzeszowie po prezydenturę. Bo jeżeli nie, to przekaz pójdzie taki, iż PiS w swoim bastionie nie był w stanie wygrać wyborów na prezydenta stolicy Podkarpacia. Poza tym oczy wszystkich będą zwrócone na to, kto wygrał w mateczniku PiS.

Politolog z Uniwersytetu Rzeszowskiego podkreśla, że nie wszystko jest polityką. – Byłoby dobrze – przekonuje – żebyśmy jako mieszkańcy Rzeszowa usłyszeli od kandydatów ich wizje rozwoju miasta w perspektywie, powiedzmy, 20 lat. Bo to miasto ma problemy, choćby z polityką przestrzenną. Boję się jednak, że skończy się na wielkim politycznym wyścigu zbrojeń PiS i antypisu.

eprasa.pl d563a9d9f8

Zwątpienie w Platformę

Zwątpienie w Platformę Obywatelską jest dzisiaj w dobrym tonie. Jeśli czytać gazety, to trudno się oprzeć wrażeniu, że jak jakiś szef działu krajowego nie ma pomysłu na bieżący komentarz, to zawsze może po raz n-ty wylać swoje rozczarowanie kondycją PO



JAN ROKITA

Niewątpliwie do tego rozczarowania przyczynił się trochę jeden z założycieli Platformy – Andrzej Olechowski, który z dużą regularnością wytacza ostatnio kolejne zarzuty wobec swej dawnej partii. A skoro współtwórca partii oskarża ją np. o to, że przez osiem lat rządów „zostawiła państwo otwarte na drapieżników", albo z góry boleje nad złymi skutkami jej hipotetycznego sukcesu wyborczego w przyszłości – to rzecz taka odbijać się musi zwielokrotnionym społecznym echem. Ale zjawisko zwątpienia w Platformę ma rzecz jasna swoje głębsze powody.

BUDKA POD OSTRZAŁEM

Po pierwsze – PO nie udało się odsunąć od władzy ani PiS, ani prezydenta Dudy, a to odsunięcie było przez samych liderów partyjnych uznane za główny sens i rację bytu partii na polskiej scenie. Po drugie – niezłe notowania ma nowa partia Polska 2050, której pomysł na życie polega na politycznym pasożytowaniu na organizmie Platformy i wysysaniu zeń energii, działaczy i elektoratu. Wreszcie po trzecie – dość powszechne jest przekonanie, że wieloletni szef partii i premier z jej ramienia Donald Tusk przestał stawiać na PO, kombinując, jakby tu stworzyć konstelację ewolucyjnie lepiej dostosowaną do dzisiejszej polityki, oczywi-

Fot. Andrzej Wiktor

60/0121/F

eprasa.pl d563a9d9f8

ście kosztem Platformy w jej obecnym kształcie.

Ofiarą tego zwątpienia musiał się stać z natury rzeczy prezes partii, skądinąd całkiem niedawno wybrany w atmosferze „odnowy, młodości i energii". Zarzut wobec Borysa Budki jest jeden: że nie sprawił wcale cudu, w efekcie którego partia podążałaby jasną drogą do pokonania PiS i przejęcia władzy. Odchodząca do Polski 2050 lubelska posłanka melancholijnie zwierza się mediom, iż „żałuje" swego głosowania w wyborach partyjnych na Budkę. Ci, których prezes pokonał w partyjnych wyborach, tworzą „platformę w Platformie", a choć się zarzekają, że Budka jest ich najlepszym przyjacielem, wszyscy wiedzą, jaki jest polityczny sens tego rodzaju wewnątrzpartyjnych konstrukcji. Szefa Platformy z sarkazmem dezawuuje niedawny kampanijny doradca lidera Polski 2050 prof. Rafał Matyja, mówiąc: „Nie chcę się znęcać nad Budką, ale on nie wnosi nic do wizerunku PO".

Rzecz nie w pytaniu, czy Budka musi się dopracować bardziej autorytatywnej reputacji pośród wyborców opozycji, jeśli chce na serio stać się liderem opozycji. Bo oczywiście musi. Rzecz w tym jednak, iż moda na dezawuowanie Budki nie bierze się wcale z jakichś widocznych ułomności jego partyjnego kierownictwa, ale jest z jednej strony efektem zjawiska „zwątpienia w Platformę", z drugiej zaś celowym osłabianiem przywództwa PO po to, by pozbawić partię wewnątrzsterowności i na jej gruzach wznieść inną polityczną konstrukcję. To, że z Budką, liderem głównej partii opozycyjnej, walczy codziennie PiS i media związane z obozem rządowym, to demokratyczna normalność. Ale to, że na różne sposoby próbuje pozbawić go autorytetu wielu polityków opozycyjnych i gros spośród antyrządowych mediów – nie wynika bynajmniej z ich troski o kondycję Platformy, lecz raczej z zamiaru rozchwiania partii, po to by móc przejąć jej polityczne aktywa. Powiedzmy wprost: każdy szef Platformy napotkałby w dzisiejszych warunkach na dokładnie taki sam problem.

PRÓBY WROGIEGO PRZEJĘCIA

Liczni po stronie opozycji mniej lub bardziej otwarci przeciwnicy Platformy zakładają możliwość powtórki scenariusza z 2001 r. Dokładnie dwie dekady temu świeżo powstała PO z premedytacją zaczepiła się na sposób pasożytniczy na dwóch istniejących wcześniej organizmach: Unii Wolności i Stronnictwie Konserwatywno-Ludowym, zręcznie wysysając z nich energię, działaczy i elektorat. Czyli zrobiła z sukcesem to, co teraz planuje przede wszystkim Szymon Hołownia i jego ekipa w stosunku do starej i trochę zmęczonej już (podobnie jak UW w 2001 r.) Platformy. Tyle tylko, że polityczne okoliczności, które umożliwiły ówczesne „wrogie przejęcie", dziś w ogóle nie występują. I tu właśnie tkwi

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

ANTY-COVIDOWA TARCZA UBEZPIECZENIOWA

Chroni na wypadek: utraty życia, utraty pracy, problemów ze zdrowiem

- **Ubezpieczenie Optimum Max:** pomaga bliskim w sytuacji zgonu z powodu COVID
- **Ubezpieczenia Twoja Promesa, Twoja Linia, Twój Duet i Twój Bonus:** ułatwiają bliskim spłatę zadłużenia z pożyczki w chwili śmierci Pożyczkobiorcy
- **Ubezpieczenie Twoja Posada:** umożliwia spłatę pożyczki kiedy Pożyczkobiorca straci pracę
- **Ubezpieczenia Na Zdrowie i Kuracja:** łatwiejszy i szybszy dostęp do lekarzy i badań

OFERTA DOSTĘPNA W PLACÓWKACH SPÓŁDZIELCZYCH KAS

www.saltus.pl



Na szczęście są ubezpieczenia

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

eprasa.pl d563a9d9f8

pierwsza i kto wie czy nie zasadnicza przewaga dzisiejszej Platformy nie tylko nad Polską 2050, ale nad wszystkimi politykami opozycji (z Tuskiem włącznie), którym się marzy rychłe zagospodarowanie aktywów osłabionej Platformy wedle własnego planu. Rok 2001 to faktyczna data narodzin współczesnego polskiego systemu partyjnego. Rok, w którym z hukiem waliły się fundamenty dawnych partii, powstałych krótko po odzyskaniu niepodległości. A w ich miejsce tworzyły się partie nowego typu, kompletnie do tamtych niepodobne: sprofesjonalizowane, zdyscyplinowane, wodzowskie i raczej słabo bądź całkiem bezideowe. Kiedy walił się cały stary system partyjny, gdy upadały AWS i UW, łatwo było przejmować aktywa tych tworów.

Dziś już tak nie jest. Profesjonalizacja partii stała się faktem, ze wszystkimi swymi dobrymi i złymi konsekwencjami. I nikt z rzekomych partyjnych innowatorów, z Hołownią włącznie, nie ma innego pomysłu na partię jak tylko: jeszcze bardziej marketingowo, jeszcze bardziej wodzowsko, jeszcze bardziej zdyscyplinowanie i jeszcze bardziej bezideowo. Aby naprawdę przejąć aktywa Platformy, trzeba by znów jakiejś sytuacji przełomowej albo punktu zwrotnego niesionego przez polityczne wydarzenia. Czyli czegoś, co znów wywołałoby w Polsce efekt masowego i emocjonalnego odrzucenia starych partii.

Mają tego świadomość najbardziej inteligentni analitycy polityki. Wspomniany już prof. Matyja od Szymona Hołowni chciałby więc widzieć ów przełom w radykalnym ruchu feministycznym, który jego zdaniem licznie zaangażował młodzież i z tej racji ma być pokoleniowym game changerem. Ale Matyja uprawia Hołowniowe „wishful thinking". Ta fala rozruchów – owszem – może być współodpowiedzialna za przyszłe przesunięcie młodszego elektoratu w stronę lewicy, ale w żadnym razie nie przyczyni się do rekonstrukcji systemu partyjnego. Nie pojawią się też żadne nowe idee z Zachodu, które (jak wyczekuje Matyja) „można by zaimportować do naszego półperyferyjnego kraju". Dlatego właśnie to stara, szeroko rozsiadła, bogata i nieco znużona Platforma jest ciągle zdecydowanym faworytem w konfrontacji z powstałymi już czy wykluwającymi się dopiero w głowach polityków nowymi organizmami, które rzekomo miałyby się okazać od niej bardziej żywotne i ewolucyjnie dostosowane.

Jak każde duże i znużone zwierzę Platforma potrzebuje oczywiście czasu, aby opędzić się od intruzów. I tu tkwi właśnie druga kluczowa przewaga PO. Najprawdopodobniej bowiem partia ten czas ma. I ma go nawet dość sporo, aż do roku 2023, kiedy mają się odbyć rozstrzygające o przyszłej władzy wybory. Intruzi są w pośpiechu: muszą już dziś sami sobie i całej Polsce udowodnić, że Platforma będzie dla nich dostępnym i bogatym żerowiskiem. To pod presją tej psychologicznej konieczności Polska 2050 idzie do Sejmu na rozdobędę, polując tam na jakieś trzeciorzędne posłanki, choć jej długofalowym interesem byłoby odcięcie się i odizolowanie od obecnego parlamentu niczym od jakiejś politycznej zarazy.

> Jak każde duże i znużone zwierzę Platforma potrzebuje czasu, aby opędzić się od intruzów, którzy chcą już dziś udowodnić, że PO będzie dla nich dostępnym i bogatym żerowiskiem

Tymczasem Platforma jest partią status quo, służy jej długie trwanie, a nagłe ostre kryzysy mogą się okazać niszczące. Czasem istotnie można odnieść wrażenie, że pod tym kluczowym względem Platforma niekoniecznie dobrze rozumie samą siebie. Aby zapanować nad niepewną dziś dla niej sytuacją, PO potrzebuje bowiem jak powietrza dłuższego okresu stabilności kraju, by nie powiedzieć nawet – politycznej flauty, bo wtedy dopiero może się naocznie okazać, jak mało warte są nadaktywność i nerwowy arywizm tych, którzy starają się ją osłabić, osaczyć i zassać. To paradoks, ale tu taktyczny interes Platformy zbiega się z taktycznym interesem PiS, który też wycieńczony rządzeniem w czasie zarazy, dla swego bezpieczeństwa potrzebuje dziś przede wszystkim stabilności i choćby jakiego takiego politycznego spokoju.

SILNY GRACZ

W każdym razie zmęczona Platforma jest dziś nadal najpoważniejszym kandydatem do przejęcia w Polsce władzy po jeszcze bardziej zmęczonym PiS. O ile tylko jakiś nagły i gwałtowny kryzys nie pozbawi jej podmiotowości, zmuszając do roztopienia się w opozycyjnym jednolitym froncie. Tu niegdysiejsza strategia Schetyny służyła partii w przeszłości i służyć może nadal. Wspólne fronty, wspólne listy i koalicje przedwyborcze wyłącznie ze zwasalizowanymi wcześniej przystawkami (jak Nowoczesna po upadku Petru), nigdy zaś z młodymi i żarłocznymi organizmami, planującymi pasożytowanie na aktywach Platformy.

Inny fatalny dla PO rozwój zdarzeń to jakaś nagła katastrofa obozu rządowego, niosąca konieczność szybkich wyborów. W warunkach licznych, toczących partię rozdźwięków wewnętrznych i kwestionowanego przywództwa Budki, utrzymanie wewnątrzsterowności partii pod presją układania list wyborczych, zawierania koalicji i samej kampanii musiałoby być bardzo trudne, o ile w ogóle możliwe dla obecnego kierownictwa. Perspektywa prześcignięcia przez Polskę 2050 zaś najzupełniej realna. Los Platformy finalnie rozstrzygnie się w polskich metropoliach, czyli tam, gdzie partia ma swój najprawdziwszy matecznik. To jeszcze jedna potencjalna przewaga PO nad resztą opozycji. Jeśli bowiem należący do niej, albo co najmniej sympatyzujący z nią, popularni prezydenci metropolii zaczną otwarcie bronić swojej starej partii przed nawałą intruzów, to jej los wcale nie musi być taki zły, jak by wynikało z dość powszechnego teraz zwątpienia w Platformę.

eprasa.pl d563a9d9f8

Nie czas na radykalne zmiany

Chcę, by KRS w jak najmniejszym stopniu zajmowała się sobą, a w jak największym zakresie przeprowadzała konkursy na wolne stanowiska sędziowskie. Za kilka lat będziemy bowiem rozliczeni z tego, w jaki sposób pomogliśmy sądom, a nie z tego, kto był członkiem prezydium czy kto był przewodniczącym Rady

Z sędzią Pawłem Styrną, nowym przewodniczącym Krajowej Rady Sądownictwa, rozmawia Wojciech Biedroń



W Krajowej Radzie Sądownictwa mówi się, że pana wybór na przewodniczącego jest wielkim kompromisem. Podobno głosowali na pana nawet przedstawiciele opozycji w KRS.

Paweł Styrna: Nie wiem, jak dokładnie rozłożyły się głosy, gdyż głosowanie odbywało się w sposób tajny. Do samego rozpoczęcia posiedzenia, na którym zostałem wybrany na przewodniczącego, nie wiedziałem, że będę kandydował. Tuż przed posiedzeniem sędzia Leszek Mazur [poprzedni przewodniczący KRS – przyp. red.] zapytał mnie, czy nie chcę kandydować. Po krótkiej rozmowie zgodziłem się. Potem wypadki potoczyły się same. Nie organizowałem żadnej koalicji, a po posiedzeniu nie dopytywałem kolegów, czy głosowali na mnie.

W KRS zasiadają także politycy. Czy widzi pan możliwość dobrego kompromisu, rozmowy między sędziami a politykami? Są tacy, którzy przekonują, iż jest to niemożliwe.

Widzę taką możliwość. Taka rozmowa i współpraca istnieje. Współpracujemy w KRS zarówno z senatorami, jak i posłami. Z żadnej strony nie zauważyłem obstrukcji. Nie dostrzegam chęci do politycznego rozgrywania Rady.

Nawet ze strony polityków opozycji i tych, którzy reprezentują obóz rządowy?

Politycy pracują tak samo jak inni przedstawiciele Rady. Poza posiedzeniami, w przerwach, toczą się normalne rozmowy i dyskusje między posłami i senatorami zasiadającymi w KRS. Nie widzę tu niechęci czy walki politycznej. Tak samo jest w trakcie posiedzeń plenarnych. Politycy rozumieją istotę funkcjonowania Rady i nie przenoszą politycznych waśni na jej forum.

Mówi się, że w KRS działają dwie grupy – „jastrzębi" i „gołębi". Do której grupy pan należy? A może to tylko podział medialny?

Takiego podziału nie dostrzegam. Nie ma wyraźnej linii między jakimiś grupami. Dyskutujemy z sobą, spieramy się na argumenty. Oczywiście niektórzy koledzy w pewnych kwestiach zajmą takie stanowisko, a nie inne, ale w innych

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl d563a9d9f8

sprawach głosowania są bardzo spójne. Mocna dyskusja dobrze świadczy o Radzie. Widać, że KRS przepracowuje pewne tematy, nie przyjmuje ich bezrefleksyjnie.

Czy te dyskusje bywają ostre?

Czasem są bardzo mocne i emocjonalne. Nie wykraczają jednak poza standardy dobrej dyskusji.

Duch demokratyczny?

Tak, taki duch w Radzie istnieje. Wystarczy prześledzić relacje wideo z posiedzeń.

KRS zakończyła dyskusję personalną. Został pan wybrany na jej przewodniczącego. Jak będzie teraz funkcjonowała Rada? Co się zmieni?

Jeśli chodzi o funkcjonowanie samej Rady, to uważam, że powinniśmy się skupić na tym, co stanowi istotę naszej pracy. Chodzi o sprawne i merytoryczne przeprowadzenie konkursów na stanowiska sędziowskie. Zupełnie poboczną kwestią jest dyskusja na temat funkcjonowania prezydium czy kompetencje przewodniczącego.

Ale z Rady płyną też głosy o problemach w pracach komisji.

To są te problemy, które będziemy rozwiązywali. Priorytetem są dla nas konkursy sędziowskie, reagowanie na zagrożenia dotyczące niezawisłości sędziowskiej, jeśli takie się pojawią. Komisje to wydzielone zespoły osób, które zajmują się sprawami problemowymi. Komisje są potrzebne do sprawnej i merytorycznej dyskusji. Mają one przygotowywać stanowiska dla Rady. Nie są to byty oddzielne. Kwestia funkcjonowania komisji stała się publicznym zagadnieniem, które doprowadziło do pewnego kryzysu.

I w efekcie do zmiany przewodniczącego KRS.

Tak, na tym etapie dokonujemy analiz, czy nie doszło tutaj do jakichś nadużyć, czy raczej mieliśmy do czynienia z niedoskonałościami organizacyjnymi. Zdecydowaliśmy się na przygotowanie raportu, który przedstawi funkcjonowanie Rady w tym aspekcie.

Kiedy taki raport może powstać?

Liczę na to, że powstanie on w marcu.

Warto, by ten raport został upubliczniony. Sprawa diet i komisji wzbudziła wiele kontrowersji.

Tak, będziemy chcieli, by osoby zainteresowane zapoznały się z tym raportem.

Miejmy nadzieję, że sędziowie zapoznają się z nim w pierwszej kolejności.

Jako przewodniczący będę pilotował ten raport i będzie on prezentowany na posiedzeniu plenarnym. Jeżeli koledzy będą chcieli, to raport będzie przedmiotem dyskusji. Raport nie powstaje po to, by przewodniczący ukrywał go przed członkami KRS lub posługiwał się nim przeciwko Radzie.

Raport nie trafi do szuflady?

Absolutnie nie. Drugie zagadnienie, które wywołało sporo kontrowersji, to finansowanie prac członków KRS. Ta sprawa trafiła do komisji budżetowej i ona analizuje ten aspekt działalności.

Budziła ona olbrzymie kontrowersje. W mediach pojawiły się kwoty.

Sprawdzamy, czy nie doszło tam do jakichś nieprawidłowości. Komisja podjęła już działania i dokonuje analiz. Chcemy przygotować ten raport bardzo rzetelnie.

Kwestie wewnętrzne Rady są bardzo istotne, ale nie mniej ważna jest sprawa działań i obecności polskiej KRS na arenie międzynarodowej. Krytycy poprzedniego kierownictwa Rady podnosili, że ta działalność była niewystarczająca.

W pierwszej kolejności należy podnieść, że Rada nie prowadzi samodzielnej polityki zagranicznej. To, co możemy na tej arenie robić, musi być prowadzone we współdziałaniu z resortem spraw zagranicznych, z polskim rządem. Jednak w tym zakresie, w którym możemy prowadzić samodzielne działania, chcemy wzmocnić naszą aktywność. Członkiem KRS jest wiceprzewodniczący Rady Europy poseł Arkadiusz Mularczyk. Będziemy więc mieli możliwość zaprezentowania naszej działalności na arenie międzynarodowej, w szczególności na arenie europejskiej. Jest tu sporo do zrobienia. Liczymy, że wzmocnimy współpracę z europejskimi stowarzyszeniami sędziowskimi.

A co ze sprawą ENCJ (Europejska Sieć Rad Sądownictwa)? KRS została zawieszona w prawach członka tego gremium.

Mamy nadzieję, że będzie możliwość nawiązania szerszej współpracy, ale została ona ograniczona przez pandemię. Przed epidemią dochodziło do wymiany pism między nami a ENCJ. Nasz status jest niejasny. Zostaliśmy wprawdzie zawieszeni, ale nie wykluczeni z ENCJ. Potrzebna jest aktywność z naszej strony.

Ta sprawa jest o tyle ważna, że ze strony europejskich środowisk sędziowskich, a także ze stron różnych instytucji padają wyolbrzymione zarzuty wobec KRS. Często są to skrajne manipulacje lub nawet kłamstwa. Czy Rada nie powinna odpowiadać na tego typu zarzuty?

Jeżeli chodzi o wypowiedzi polityków, to jest to przestrzeń zarezerwowana dla MSZ. Rada nie może wchodzić w spory polityczne bez porozumienia z polską dyplomacją. Natomiast jeżeli chodzi o wypowiedzi innych osób, spoza gremiów politycznych, to Rada powinna wydawać swoje stanowiska. Nie możemy się jednak wdawać w polemikę z przypadkowymi osobami. Rada musi wydawać swoje oświadczenia w sposób odpowiedzialny i merytoryczny.

Warto też zwrócić uwagę na kontakty KRS z Trybunałem Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE). Członkowie Rady ujawnili, że poprzednie kierownictwo KRS nie potrafiło sobie z tym problemem poradzić.

eprasa.pl d563a9d9f8

Doszło do pewnego nieporozumienia, gdyż jedno z pism TSUE nie zostało w porę przedstawione członkom Rady. Jest oczywiste, że wpływające do KRS pisma z sądów europejskich będą poddawane analizie. Mamy dobrze orientujących się w meandrach prawa europejskiego członków Rady, mówię tutaj o pani sędzi Dagmarze Pawełczyk-Woickiej, sędzim Jarosławie Dudziczu lub sędzim Jędrzeju Kondku. Doskonale orientują się w tej dziedzinie. Od kwestii zagranicznych, szczególnie związanych z TSUE, nie będziemy uciekali.

Kolejnym problemem wydaje się też aktywność Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która podejmuje się kontroli uchwał KRS.

To sytuacja bardzo specyficzna. Dotyczy ona relacji między dwoma konstytucyjnymi organami. Zawsze trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z Izbą Sądu Najwyższego i ostateczne stanowisko w tego rodzaju sprawach należy do SN. Trudno sobie wyobrazić, by KRS kontestowała orzeczenia czy uchwały jakiegokolwiek sądu, a już szczególnie Sądu Najwyższego. Trzeba też pamiętać, że cały skład tej Izby został przedstawiony prezydentowi przez obecny skład KRS. To bardzo delikatna kwestia. Rzeczywiście można dyskutować nad zakresem kompetencji Izby, ale ostateczne zdanie należy do SN. Inaczej moglibyśmy doprowadzić do chaosu prawnego. Ta kwestia jest oczywiście przedmiotem dyskusji kolegów w Radzie, którzy uważają, że Izba poszerza swoje kompetencje, ale trudno jest polemizować z Sądem Najwyższym. Nie chcemy doprowadzić do kolejnego kryzysu konstytucyjnego.

Może ten problem powinien przeciąć Trybunał Konstytucyjny?

Była taka propozycja i będzie ona rozważana w naszym gronie. Z orzeczeń Izby wynika, że i ona w swych działaniach opiera się na rozstrzygnięciach Trybunału Konstytucyjnego. To kwestia skomplikowanych analiz prawnych. Nie mają one charakteru politycznego, społecznego czy też personalnego. Pamiętajmy jednak, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych została powołana w całości poprzez uchwałę KRS.

To swoisty paradoks.

Rzeczywiście, szczególnie że Rada wybrała tę Izbę dosyć jednomyślnie.

W mediach oraz w środowisku prawniczym toczy się dyskusja związana z sędzią Łukaszem Piebiakiem, który chce wejść w skład KRS.

To kompetencja Sejmu, który będzie dokonywał oceny formalnoprawnej i merytorycznej tej kandydatury. Uważam, że ze względu na funkcję, którą pełnię, nie powinienem się wypowiadać na temat kandydatur do KRS. Mogę jednak zapewnić, że bez względu na to, kogo wybierze Sejm, z każdą z tych osób będę współpracował i nie ma mowy o usuwaniu takiej osoby na margines.

O kwestiach politycznych nie może się pan wypowiadać, ale opozycja zapowiada głębokie zmiany w KRS po ewentualnym przejęciu przez nią władzy. Padają nawet takie zdania, że Radę trzeba powołać zupełnie na nowo.

Docierają do nas tego typu informacje, ale te hipotetyczne rozwiązania są tak szerokie, że są to jedynie dywagacje. Odnoszę wrażenie, że tego typu pomysły są zgłaszane jedynie na potrzeby walki politycznej.

> Senacki projekt dotyczący Krajowej Rady Sądownictwa przywraca poprzednią wersję KRS. Nie sądzę, by ktoś dziś był na poważnie zainteresowany taką zmianą

Prawnik musi znać jednak podstawę prawną.

Tak, dlatego obecne przepisy, które regulują sposób wyboru członków KRS, są na tyle stabilne i przejrzyste, że trudno dywagować i przewidywać. Senacki projekt dotyczący Rady przywraca poprzednią wersję KRS. Nie sądzę, by ktoś dziś był na poważnie zainteresowany taką zmianą. Po trzech latach widzimy, że nowe przepisy dobrze się przyjęły. Większość społeczeństwa ma możliwość przypatrywania się posiedzeniom Rady, może krytykować i wyciągać wnioski. Dopuszczam pomysł dotyczący drobnych korekt, ale nie czas dzisiaj na radykalne zmiany.

Pandemia wymusiła zmiany w polskim sądownictwie. Co jest dzisiaj największym wyzwaniem?

Wydaje mi się, że wymiar sprawiedliwości pomimo problemów związanych z pandemią funkcjonuje i pracuje. Podstawowym zadaniem dla wymiaru sprawiedliwości jest sprawne i szybkie prowadzenie spraw przed sądem. Przekaz musi być jasny – trzecia władza pomimo trudności funkcjonuje. A zadaniem dla KRS jest to, by zapewnić sprawny wybór sędziów, którzy ułatwią realizację tego zadania.

Czy chcecie ten proces przyspieszyć?

Tak, chcę, by Rada w jak najmniejszym stopniu zajmowała się sobą, a w jak największym zakresie przeprowadzała konkursy na wolne stanowiska sędziowskie. Będę starał się zagospodarować aktywność członków Rady w zakresie konkursów sędziowskich, a nie w sprawie dywagacji na temat innych, nieistotnych spraw. Za kilka lat będziemy bowiem rozliczeni z tego, w jaki sposób pomogliśmy sądom, a nie z tego, kto był członkiem prezydium, czy kto był przewodniczącym Rady.

eprasa.pl d563a9d9f8

Kto się boi plakatów z nienarodzonym dzieckiem?

Billboardowa akcja pokazująca nienarodzone dziecko w łonie matki, które przybrało kształt serca, wzbudza wściekłość lewicowych polityków i aktywistów



DOROTA ŁOSIEWICZ



Fot. Krzysztof Kotowski

Akcja wystartowała w listopadzie ub.r. i chyba nie ma nikogo, kto nie znałby lub nie widział tych plakatów. Fundacja Nasze Dzieci – Edukacja, Zdrowie, Wiara, której prezesem jest Mateusz Kłosek, dosłownie zalała Polskę plakatami. Wizerunek nienarodzonego dziecka w macicy w kształcie serca pojawił się na billboardach małych, średnich i dużych. Na słupach reklamowych i przystankach. Fundacja rozpowszechniła ok. 1,5 tys. plakatów, które pojawiły się w 11 miastach. Początkowo nie towarzyszyły im żadne hasła. Można było sądzić, że mamy do czynienia wyłącznie z akcją antyaborcyjną. Na plakatach stopniowo zaczęły się ukazywać jednak także hasła, np. „Jestem, ufam". Wieszano również nowe plakaty ze zdjęciem USG twarzy nienarodzonego dziecka i podpisem „Mam 5 miesięcy". Aż wreszcie na billboardach pojawiły się duże napisy „Hospicja perinatalne". Okazało się więc, że oprócz promocji życia mamy do czynienia z bardzo kosztowną i potrzebną promocją idei hospicjów perinatalnych, czyli miejsc, w których szerokie wsparcie mogą otrzymać rodzice spodziewający się narodzin dzieci z wadami letalnymi.

Obok tej akcji nie mogą przejść spokojnie lewicowi politycy i aktywiści.

„Fundacja prowadzi kampanię wymierzoną w prawo do przerywania ciąży, pewnie kojarzycie billboardy, które są niestety wszędzie" – oburzał się w sieci poseł Lewicy Maciej Gdula.

Polityk wrzucił do sieci zdjęcie jednego z plakatów i stwierdził, że reklamy Fundacji Nasze Dzieci powinny zniknąć z krakowskich autobusów. Gdula ma w tej sprawie interweniować z lewicowymi aktywistami Tomaszem Leśniakiem i Magdą Dropek.

Kobiety z gliwickiego Strajku Kobiet uważają, że plakaty są wszechobecne, nachalne i cynicznie grają na emocjach. Na profilu „Nic o Nas bez Nas – To jest Strajk" na Facebooku czytamy: „W wielkim skrócie, to podprogowa reklama katolickich fanatyków i profaszystowskich, antydemokratycznych i antyunijnych środowisk na czele z Kają Godek, Robertem Bąkiewiczem i jego Strażą Narodową oraz Grzegorzem Braunem. Skierowana nie tylko przeciw kobietom, ale także wrogo nastawiona wobec WOŚP. Serce

to był zawsze symbol Wielkiej Orkiestry. Królował w styczniu na billboardach w całej Polsce, teraz orkiestrę wymiotły sentymentalne serca z płodem. W okolicy jest ich 45!!!" – piszą feministki.

Ich zdaniem „wiele kobiet skarży się na emocje, które wywołuje skala i natarczywość obrazów tej kampanii w przestrzeni publicznej". „To przemoc emocjonalna na wielką skalę" – grzmią.

Protesty polityków Lewicy i feministek przypominają historię z Francji związaną z niechęcią wobec publikacji uśmiechniętych wizerunków dzieci z zespołem Downa. Kilka lat temu najwyższy organ sądownictwa administracyjnego we Francji – Rada Stanu – uznał, że zezwolenie na publikacje uśmiechniętych twarzy osób z trisomią 21 jest niewłaściwe, ponieważ takie wyrażanie szczęścia „prawdopodobnie narusza spokój sumienia kobiet, które legalnie dokonały innych osobistych wyborów". Awantura o uśmiechnięte dzieci wybuchła w 2014 r. Wówczas w kilku francuskich stacjach telewizyjnych ukazał się klip pod tytułem „Dziękuję ci, mamo". Materiał nakręcony był z okazji Światowego Dnia Osób z Zespołem Downa i był podziękowaniem chorych dzieci za życie. Francuskie władze, powołując się na skargi telewidzów o rzekomo szokującym charakterze klipu, zdecydowały o zakazie jego emisji. Po odwołaniu od zakazu Rada Stanu utrzymała go. Podobny zakaz wobec akcji marzy się pewnie także posłowi Gduli.

Głos w sprawie plakatów zabrał także inny poseł Lewicy – Krzysztof Śmiszek. Polityk wrzucił na Twittera zdjęcie plakatu z dopisanymi hasłami. Do słowa „Jestem" dodano „LGBT", do „Ufam" dopisano „że mnie zaakceptujesz". Całość życiowy partner Roberta Biedronia opatrzył komentarzem: „Po napisaniu kilku słów na tych paskudnych billboardach okazują się nie być takimi złymi :)".

Czego paskudnego dopatrzył się w wizerunku ukształtowanego dziecka w łonie matki poseł Śmiszek? Trudno zgadnąć, choć sam przecież dostał się na świat właśnie tą drogą. Podobnie niezrozumiała jest agresja i furia uczestników demonstracji popierających aborcję, głównie młodych mężczyzn, w reakcji na wspomniane plakaty. Wszyscy chyba pamiętamy, z jaką złością niszczono w centrum Warszawy nośniki z wizerunkiem nienarodzonego dziecka.

– Ten plakat powinien generalnie wzbudzać pozytywne emocje, ponieważ jest ciepły, metaforyczny (mam na myśli macicę w kształcie serca) i pokazuje rzeczywistość, która po prostu istnieje – tłumaczy dr Sabina Zalewska, psycholog rodziny, pedagog, terapeuta z warszawskiej Poradni Dewajtis. – A skąd te agresywne uliczne reakcje? One wynikają ze sprzeciwu wobec idei, którą plakat ze sobą niesie, przecież nie z powodu widoku dziecka w łonie matki. Ten widok jest po prostu piękny. Możliwe też, że te reakcje związane są z jakąś traumą, u niektórych ludzi tak rozładowywana jest frustracja – dodaje dr Zalewska.

> Czego paskudnego dopatrzył się w wizerunku ukształtowanego dziecka w łonie matki poseł Krzysztof Śmiszek? Trudno zgadnąć, choć sam przecież dostał się na świat właśnie tą drogą

Ataki na akcję Fundacji Nasze Dzieci dotyczą także samego plakatu i sposobu jego pozyskania. Autorką tej grafiki jest Rosjanka Jekaterina Głazkowa, która po starcie akcji ogłosiła, że jest przeciwna idei, do promocji której wykorzystano jej grafikę. „Obrazek został narysowany jako uosobienie radości macierzyństwa, ale nie macierzyństwa przymusowego, w którym nie ma mowy o żadnej miłości i radości. Te zakazy są bezsensowne, szkodliwe i naruszają prawa człowieka; krzywdzą zarówno kobiety, jak i niechciane dzieci. Jeśli to zaczęłoby się w moim kraju (co, jestem pewna, może się wydarzyć), zaczęłabym działać, aby zmienić ten kraj. Wydaje się, że temat zakazu aborcji przepracowała już postępowa ludzkość, wszystko zostało wytłumaczone, udowodnione. Czy to znowu średniowiecze?" – napisała Głazkowa na Facebooku.

Jednak Fundacja Nasze Dzieci miała prawo z tej grafiki skorzystać, ponieważ kilka lat temu artystka udostępniła swoją pracę do sprzedaży na tzw. mikrostocku. Każdy może w ten sposób swoją pracę udostępnić i każdy może, za niewielkie pieniądze, taką pracę kupić, a następnie wykorzystać ją przy publikacji tekstu w prasie, w internecie czy w postaci plakatu. I wcale nie jest do tego potrzebna zgoda twórcy na wykorzystanie jego dzieła. Choć pewnie w przypadku tak szerokiej akcji lepiej byłoby posłużyć się projektem przeznaczonym specjalnie na ten cel. Jednak to, czy autorka grafiki zgadza się z ideą akcji, w żaden sposób nie wpływa na jej powszechny odbiór.

– Te plakaty pomagają kształtować normalność – uważa pisarka i vlogerka Magdalena Wołochowicz. – A pokazanie dziecka w łonie matki jest czymś normalnym. To może być ważne szczególnie dla tych, którzy są gdzieś „pomiędzy", dla tych, którym brakuje pewności, że życie w łonie matki to dziecko właśnie. Oni muszą to zobaczyć, a te obrazy w nich, w nas wszystkich muszą pozostać. To szczególnie ważne dla młodych ludzi, których światopogląd dopiero się kształtuje – nie ma wątpliwości Wołochowicz.

Według „Dziennika Zachodniego" idea zapewnienia każdej kobiecie, która wie, że nosi w łonie dziecko, które umrze tuż po porodzie albo w krótkim czasie, miejsca w hospicjum perinatalnym wyszła od posłów Solidarnej Polski. Projekt ustawy w tej sprawie koordynować ma minister Michał Wójcik z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, wcześniej wiceminister sprawiedliwości, poseł do Sejmu z okręgu katowickiego.

Hospicja perinatalne istnieją w Polsce od wielu lat. Dotychczas trafiały tam kobiety w ciąży, które zdecydowały, że urodzą chore dziecko. To nie tyle instytucje, ile sposób myślenia i działania, tak by wesprzeć rodziców oczekujących narodzin poważnie chorego dziecka. Zapewniają kompleksową pomoc (medyczną, psychologiczną, socjalną) od momentu diagnozy, przez całą ciążę, aż do porodu. Zapewniają też pomoc w opiece nad urodzonym chorym dzieckiem.

eprasa.pl d563a9d9f8

Jest nas coraz więcej

Akcja #NiewNaszymImieniu pokazuje, że nie brakuje kobiet, które mają odwagę być po stronie życia i nie boją się tego zademonstrować


Małgorzata Polak



DOROTA ŁOSIEWICZ


Dorota Bojemska, przewodnicząca Rady Rodziny przy Premierze RP


Marcelina Chądzyńska, architekt


Beata Kempa, eurodeputowana


Katarzyna Tomala-Wach


Magdalena Cirkot


Martyna Łuszczek


Hanna Wojtkowska

Przedstawicielki tzw. Strajku Kobiet zbierają siły, zbroją się i zapowiadają kolejne akcje skierowane przeciw życiu, popierające aborcję. Kulminacja działań ma nastąpić w czerwcu. Według zapowiedzi liderki protestów ma się wówczas w Polsce wydarzyć coś, czego jeszcze nie było. Nawet boję się pomyśleć, jakie diabelskie pomysły mogą wykwitnąć w głowach zwolenników aborcji.

W obliczu tych zapowiedzi niezwykle budujące jest to, że nas, kobiet i mężczyzn opowiadających się za życiem, jest tak dużo. Nasi czytelnicy chętnie poparli akcję #NiewNaszymImieniu, w której odcinamy się od agresywnych i wulgarnych awantur Strajku Kobiet, pokazując, że jego liderki i działaczki nas nie reprezentują.

Dziękuję za zdjęcia i maile ze słowami wsparcia, które do nas nadesłaliście. Nie sądziłam, że będzie ich aż tak dużo. Budująca jest wiedza, że wciąż są kobiety, które mają odwagę być po stronie życia i nie boją się tego powiedzieć ani zademonstrować. Pamiętajmy, że choć jesteśmy gorzej słyszane, bo nie demolujemy kościołów, nie bluzgamy, nie krzyczymy, to jednak jesteśmy i w nas jest siła. Pamiętajmy o tym zwłaszcza w kolejnych tygodniach nasilonych działań tzw. Strajku Kobiet, który, co udowodnili nasi czytelnicy, może wypowiadać się tylko w interesie części kobiet. Całej reszty po prostu nie reprezentuje.

eprasa.pl d563a9d9f8

PONIŻEJ KILKA MAILI OD CZYTELNIKÓW:

Szanowni Państwo,
Droga Pani Doroto,

Z całego serca dziękujemy za tę wspaniałą akcję! Bardzo nam brakuje takich inicjatyw, dlatego tym bardziej doceniamy! Popieramy!!!!

Dominika Nieniewska
Wanda Wysocka

***

Popieram w pełni tę akcję. Jako mama dwóch cudownych dziewczynek nie wyobrażam sobie, jak można tak po prostu usunąć ciążę i zabić to maleństwo, które w nas się rozwija i które od pierwszych chwil czuje z nami więź. Skoro to głupi płód, to czemu od urodzenia uspokaja się tylko przy biciu serca swojej mamy? Druga rzecz jest taka, że nie znoszę chamstwa i wulgarności, jaka przemawia przez te młode kobiety – szok. Gdzie są ich mamy, że pozwalają na takie zachowanie? To jest skandal.

Oby więcej takich akcji, pozdrawiam Panią Dorotę i wszystkie mądre kobietki, w nas siła. Dziękuję za odwagę i organizację akcji, to budujące.

Pozdrawiam serdecznie
Hanna Wojtkowska

***

Dziękuję, że moje ulubione i poważane Panie z bliskich mi mediów podjęły taką akcję, z którą utożsamia się większość z nas, niezależnie od środowiska, w którym się znajdujemy. Mogę to z całą pewnością powiedzieć w imieniu moich koleżanek ze środowiska medycznego, jak i wspaniałych kuzynek z dalekich wiosek, prawdziwych i mądrych kobiet. Niech Duch Święty wspiera Wasze dalsze inicjatywy!

Elżbieta

***

Jesteście plastrem miodu na moim sercu. Kobiety czułe, oddane dzieciom, rodzinie, szanowane i kochane to, na szczęście, nie przeszłość. Macierzyństwo zmienia dziewczyny w kobiety. Widziałem to nieraz, gdy młoda, czupurna, najczęściej nieporadna w kontaktach z dziećmi, po urodzeniu własnego dziecka odnajduje w sobie dla tego okruszka miłość do końca i bez warunków. Ale czasy są jakieś dziwne. Robert Biedroń i Marta Lempart, osoby chętnie mówiące o swoim homoseksualizmie, stają na czele obrony prawa do czegoś, czego nigdy nie doświadczyli i nie doświadczą. Smutne.

Marek Purzycki

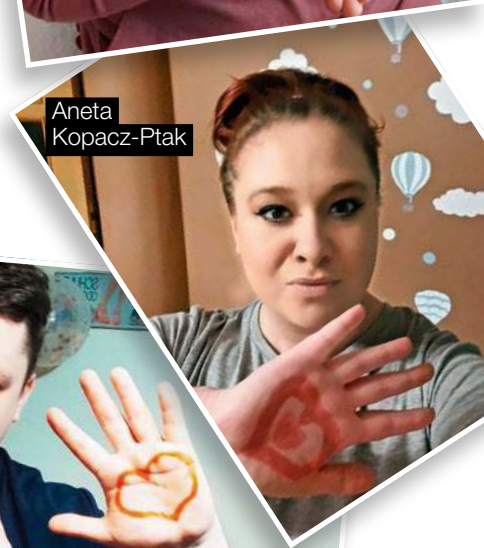
***

Szanowna p. Dorotko!

Jestem babcią trójki wnucząt i matką dwóch synów. Serce się raduje, gdy dobrzy i prawi ludzie mężnie odpowiadają na marsze demoralizacji. Pozwala to ocalić wiarę w człowieka. Niech Duch Święty obdarzy wszystkich inicjatorów akcji #NiewNaszymImieniu męstwem i siłą.

Pozdrawiam
Barbara Kreft-Maruszak

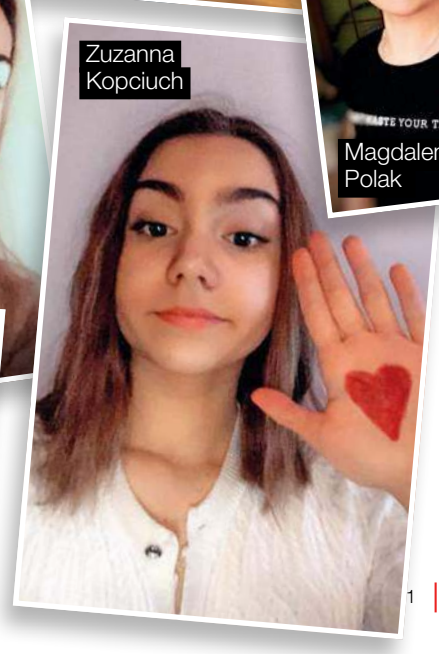

Barbara Całka, nauczycielka


Aneta Kopacz-Ptak


Klaudia Król i Michał Krakowiak


Wiktoria Kopciuch


Magdalena Polak


Zuzanna Kopciuch


Eva von Borne

eprasa.pl d5[illegible]a9[illegible]



Badanie tragedii smoleńskiej – co się dzieje?

„Na publiczne zabranie głosu decyduję się po latach prób naprawy sytuacji poza zasięgiem mediów, odkąd wyraźnie widzę, że sprawa ważna dla Polski, której poświęciłem – podobnie jak inni zaangażowani w badanie – osiem lat życia, zmierza w złym kierunku” – ***pisze Glenn Jorgensen****, były członek podkomisji smoleńskiej. Publikujemy w całości jego tekst, który w naszej ocenie jest cennym głosem w debacie nad tak ważną dla nas, naszych czytelników i wszystkich Polaków sprawą. Redakcja jest otwarta na inne wypowiedzi i polemiki*

Na bolesną prawdę nigdy nie jest dobry czas: wybory, kolejne niepokoje społeczne, troska, by nie osłabiać rządzących, dla których trudno dostrzec lepszą alternatywę w Polsce – wszystko to nie sprzyja ujawnianiu kłopotów. Jednak jest coraz mniej czasu, a problem narasta. Wsparcie organów państwa w badaniu i śledztwie, a może przede wszystkim w działaniach naprawczych, które muszą być podjęte po opublikowaniu raportu, jest skutecznie stopowane przez przewlekanie i blokowanie prac. Czy chodzi o przeciągnięcie tych prac do czasu zmiany ekipy rządzącej, tak żeby nie można było podjąć tych działań? Na publiczne zabranie głosu decyduję się po latach prób naprawy sytuacji poza zasięgiem mediów, odkąd wyraźnie widzę, że sprawa ważna dla Polski, której poświęciłem – podobnie jak inni zaangażowani w badanie – osiem lat życia, zmierza w złym kierunku.

Wielu z państwa szczerze zainteresowanych prawdą o tragedii smoleńskiej prawdopodobnie już się domyśliło, że w badaniu pod kierownictwem Antoniego Macierewicza dzieje się coś złego.

Po ponad dziesięciu latach od katastrofy, po ponad pięciu latach, odkąd rządzi PiS, pojawiają się pytania o przewlekłość działań i brak raportu końcowego dokumentującego kompletne, ukończone badanie, raportu, który ma posłużyć do naprawy bezpieczeństwa państwa oraz stanowić narzędzie do niezbędnych działań w Polsce i za granicą. Raport końcowy dokumen-

Fot. SPUTNIK/EAST NEWS

eprasa.pl d563a9d9f8

tujący, co się wydarzyło 10 kwietnia 2010 r., w jaki sposób i dlaczego, to dopiero pierwszy krok w maratonie, który musi podjąć państwo polskie, by być bezpieczne. Brak dostępu do wraku nie jest prawdziwym usprawiedliwieniem tego stanu rzeczy, wiele dochodzeń zakończyło się sukcesem przy znacznie mniejszej ilości materiału dowodowego niż ten, który jest nam dostępny.

Wbrew publicznym zapewnieniom przewodniczącego podkomisji, że raport końcowy jest gotowy od lipca ubiegłego roku – z tego, co mi wiadomo – członkowie podkomisji deklarują, iż nie znają jego finalnej wersji. Polska po pięciu latach ma kolejny komunikat medialny, materiał filmowy, kolejne opracowanie przekonujące przekonanych, a wciąż nie ma sprawnego narzędzia, raportu końcowego spełniającego podstawowe wymogi takiego dokumentu, którym mogłaby naprawiać swoje bezpieczeństwo. W dodatku w sprawie Smoleńska otwiera się nowe pole chaosu, część ludzi jest przekonana, że raport istnieje, część pyta, gdzie on jest. I tak to się kręci.

WIELKIE NADZIEJE I ZDUMIEWAJĄCE DZIAŁANIA

Pięć lat temu polskie państwo powołało Podkomisję ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego pod kierownictwem Antoniego Macierewicza, której efektem miało być zbadanie katastrofy smoleńskiej, udokumentowane raportem końcowym nie do podważenia w rozsądny sposób. Podkomisja rozpoczynała prace w sytuacji ataku medialnego i dezinformacji spotęgowanej przez opublikowanie dwóch niewiarygodnych raportów – rosyjskiej komisji MAK i polskiej komisji Millera, która powieliła główne rosyjskie tezy, ignorując istotne dowody i pozostając w sprzeczności z prawami fizyki. Wszystko to powodowało ból, zmęczenie i zniechęcenie części społeczeństwa.

Jedyną drogą w tej sytuacji było sprawne, kompetentne działanie ucinające wszelkie wątpliwości, które budowałoby wiarygodność w oczach zainteresowanej prawdą opinii publicznej w Polsce i na świecie, a także poważnych międzynarodowych partnerów badawczych, o ile udałoby się takich pozyskać.

Przewodniczący otrzymał pełną władzę w podkomisji, budżet, czas i wolną rękę w doborze zasobów – wszystkie atuty w ręku – by w rozsądnym czasie z powodzeniem zakończyć misję. Teraz mija pięć lat.

Antoni Macierewicz miał nie tylko nadzorować i politycznie torować drogę badaniu wobec ewentualnych przeszkód, a następnie jako przedstawiciel strony politycznej odbierać raport końcowy. Miał jednoosobowo decydować o zakresie badań technicznych, kadrze, a także narzędziach pracy badawczej. W efekcie ręcznie ingeruje w kwestie, w których brakuje mu kompetencji, często doprowadzając sprawy do absurdu na niekorzyść badania.

> Wbrew publicznym zapewnieniom przewodniczącego podkomisji, że raport końcowy jest gotowy od lipca ubiegłego roku – z tego, co mi wiadomo – członkowie podkomisji deklarują, iż nie znają jego finalnej wersji

Kiedy Antoni Macierewicz zostaje ministrem obrony narodowej, obejmując władzę kadrową i finansową w MON na ponad dwa lata, wydaje się, że dla badania tragedii smoleńskiej przychodzi złoty czas. Przewodniczący uzyskuje nie tylko dostęp do nasłuchów wojskowych stacji radiowych, monitoringu, infrastruktury, która może stanowić potężne narzędzie w dochodzeniu do prawdy, lecz przede wszystkim ma do dyspozycji wojskowe służby specjalne i dyplomację wojskową. Może także odsunąć od stanowisk w wojsku osoby, o których powziął wiedzę, że mogły odgrywać intencjonalnie złą rolę w przypadku katastrofy Tu-154M. Zneutralizować potencjalne zagrożenie osób podległych mu zawodowo.

Tymczasem brak jest wymiernych efektów takiego działania, za to mamy do czynienia nie tylko z poważnym opóźnieniem lub wstrzymaniem prac, lecz także z nieodwracalnymi szkodami powstałymi w wyniku decyzji podejmowanych przez przewodniczącego. Zakończenie śledztwa, udokumentowane kompetentnym raportem końcowym, usuwającym wszelkie uzasadnione wątpliwości co do obrazu zdarzeń, bez pominięcia ważnych obszarów badawczych, w formie, która organom państwa dałaby solidne narzędzie, pozostaje w perspektywie dalszej niż kiedykolwiek.

Należy podjąć natychmiastowy proces naprawczy, zwłaszcza że kilku członków podkomisji ma niezwykle cenny dorobek, poparty ogromną wiedzą i unikatowym talentem. Każdy z nich rozpoczął pracę nie w wyniku planu działań zakreślonego w podkomisji – bo taki nigdy nie został przedstawiony – ale z inicjatywy własnej, zresztą na długo przed powstaniem podkomisji. Jest to potencjał konsekwentnie marnowany i kompromitowany przez błędne decyzje organizacyjne oraz niekompetentne, najeżone błędami lub wręcz niezgodne z prawdą komunikaty przewodniczącego w mediach.

Problemy są wewnętrznie dobrze znane i dyskutowane od jakiegoś czasu, a ja – podobnie jak inni, z tego, co mi wiadomo, członkowie podkomisji – do tej pory byłem przekonany, że najlepiej będzie je rozwiązać poza zasięgiem opinii publicznej, początkowo wewnątrz podkomisji, a kiedy to nie przyniosło rezultatu, w ramach uprawnionych organów władzy.

Niestety, w dalszym ciągu nie zostały podjęte działania naprawcze na rzecz najważniejszej we współczesnej historii Polski sprawy dotyczącej bezpieczeństwa państwa. Dlatego zabieram głos w tej samej sprawie, którą półtora roku temu podniósł prof. Piotr Witakowski, autor czterech zorganizowanych

eprasa.pl d563a9d9f8

z sukcesem naukowych konferencji smoleńskich. Wiem, że zdaje się istnieć zły nawyk „strzelania do posłańca" zamiast rozwiązywania podstawowego problemu – jednak w tym przypadku nie wolno milczeć, zwłaszcza że wydaje się zbliżać „za pięć dwunasta".

Obecny przewodniczący Antoni Macierewicz prezentuje żarliwy patriotyzm i przez wielu jest postrzegany jako bojownik o prawdę smoleńską. Ma cenne osiągnięcia życiowe, za które należy mu się uznanie. Jednak kierowanie badaniami wypadku lotniczego wymaga określonych zdolności i kompetencji. Przewodniczący nie wykazał rzeczywistego, efektywnego wysiłku organizacyjnego, aby zidentyfikować wszystkie bezpośrednie i podstawowe przyczyny systemowe oraz czynniki przyczyniające się do katastrofy. Nie zabieram głosu tutaj o innym z natury badaniu prokuratury, ponieważ mam mało wiedzy na ten temat.

Główne punkty opisujące problemy do rozwiązania (wymienione poniżej), po próbach ich omawiania i naprawy w rozmowach z przewodniczącym, zostały przekazane wewnętrznym pismem Antoniemu Macierewiczowi i dwóm wiceprzewodniczącym ponad rok temu. Nie podjęto jednak żadnych działań naprawczych.

Ataki w ostatnich latach na Antoniego Macierewicza ze strony mediów takich jak TVN czy osób takich jak skompromitowany Maciej Lasek utrudniają skierowanie merytorycznej i potrzebnej krytyki wzywającej do podjęcia niezbędnych działań naprawczych.

Omówienie wszystkich przykładów niezrozumiałego postępowania przewodniczącego skutkujących szkodą dla badania byłoby zbyt długie, stąd skupię się na kilku kwestiach.

1. Słabe zarządzanie projektem

Mimo że jest to najważniejsze badanie w najnowszej historii Polski, nie przeprowadzono odpowiedniego planowania projektu, który obejmowałby omówienie i uzgodnienie głównych czynności śledczych. Brak harmonogramu, zaplanowania czasu i zasobów dotyczących tego, co należy zrobić, kiedy, w jakiej kolejności i przez kogo, był podnoszony wielokrotnie w pozostawionych bez reakcji apelach do przewodniczącego. Wysiłki podejmowane przez członków zespołu w celu przeprowadzenia takich działań samodzielnie były ignorowane lub do nich zniechęcano.

2. Szkodliwe decyzje merytoryczne

Jak większość państwa może pamiętać – rosyjskie i poprzednie polskie wyjaśnienia katastrofy łączyło oparcie się na niesprawdzonej hipotezie, że rzekoma brzoza (Bodina) o średnicy 35–40 cm może przeciąć lewe skrzydło Tu-154M około 5,5 m od końcówki skrzydła.

> Prokuratura i podkomisja mają różne funkcje. Jedno dochodzenie jest oparte na „ustalaniu faktów, bez ustalania winy", a dochodzenie prowadzone przez prokuratorów koncentruje się na wykrywaniu winnych

I utrata tej części skrzydła miałaby rzekomo spowodować, że samolot przechyliłby się o ok. 150 stopni i uderzył w ziemię po ok. 340 m lotu.

Chociaż istnieje wiele innych istotnych dowodów, które są sprzeczne z hipotezą MAK/Millera, w tym także na to, że samolot nie znajdował się w pozycji umożliwiającej kontakt z brzozą Bodina, należy dokładnie zbadać i odnieść się do kwestii wymienionych jako kluczowe w poprzednich raportach.

Bez tego trudno mówić o przeprowadzeniu właściwego ostatecznego dochodzenia. Dobre badanie wypadku opiera się na wielu warstwach potwierdzeń, a zatem – przy braku rzeczywistych eksperymentów zderzenia skrzydła z drzewem – istotne są symulacje zderzenia z drzewem w naszej pracy, także dlatego, że wyniki mogłyby być łatwe do zrozumienia przez osobę niebędącą ekspertem.

Narodowy Instytut Badań Lotniczych (NIAR) w Stanach Zjednoczonych uznawany jest w środowisku lotniczym za najbardziej kompetentny w zakresie symulacji samolotów uderzających w inne obiekty. Poproszono NIAR o zbadanie zderzenia skrzydła z drzewem oraz uderzenia samolotu o ziemię, co pozwoliłoby nam odpowiedzieć na ponad 13 ważnych pytań badawczych. Instytut rozpoczął pracę w maju 2017 r., jeszcze przed podpisaniem pisemnej umowy, pod wpływem ustnego zobowiązania ówczesnego ministra obrony narodowej i jednocześnie przewodniczącego podkomisji, który naciskał, aby zdążyć z wynikami na kwiecień 2018 r. Prace NIAR obejmowały precyzyjne skanowanie laserowe niektórych obszarów samolotu, o czym informowały wówczas polskie media. Instytut rozpoczął budowanie modelu cyfrowego tupolewa. Całość prac opierała się na własnych pisemnych planach instytutu. Antoni Macierewicz obiecał NIAR rychłe podpisanie umowy.

W 2018 r. – po prawie roku prac i wydatkowaniu na nie przez amerykański instytut ponad 300 tys. dol. z własnych środków, nadal bez pisemnej umowy z MON, przy fatalnej organizacji prac skazującej Amerykanów na bezczynność ich zespołów, którym na czas nie dostarczano danych pomiarowych – NIAR zrezygnował ze współpracy i wycofał się z projektu, spisując wydatki poniesione w wyniku ustnej umowy z polskim ministrem obrony na straty.

Poprzez osobiste relacje zbudowane między liderem projektu NIAR a członkami podkomisji amerykański instytut został przekonany do zmiany decyzji podczas spotkania kryzysowego, które odbyło się w Wichita w USA z udziałem Antoniego Macierewicza, prof. Wiesława Biniendy i mnie. Kompetentny prawnik NIAR w ciągu jednego dnia nakreślił zarys umowy, której Antoni Macierewicz nie był w stanie sformułować przez rok, a inny przedstawiciel instytutu ponownie sporządził solidny plan projektu. Odpowiadając na obawę amerykańskiego instytutu o kolejne

eprasa.pl d563a9d9f8



Glenn Jorgensen

Fot. Andrzej Wiktor

przestoje w pracy, osobiście zobowiązałem się przejąć odpowiedzialność za proces zbierania danych po stronie polskiej, a Antoni Macierewicz zobowiązał się na piśmie zapewnić pomoc 12 wykwalifikowanych pracowników w tym procesie. Ostatecznie przewodniczący nie zapewnił obecności 12 osób. Zamiast tego – w trosce, by umowa między państwem polskim a NIAR, tak ważna dla badania katastrofy smoleńskiej, po raz kolejny nie została zerwana – zostałem zmuszony do zatrudnienia (początkowo na własny koszt) jednego pełnoetatowego pomocnika (w końcu został zawarty kontrakt MON z tą osobą) do prac sekretarskich przy sporządzaniu 22 tys. stron raportu z dokonywanymi pomiarami i materiałem zdjęciowym. Wielokrotne prośby o potrzebne wsparcie pozostawały bez reakcji. Kilkanaście godzin pracy dziennie dwóch osób, w tygodniu i w część weekendów przez 18 miesięcy, niezwykle sporadycznie wspierane przez innych, zaowocowało wykonaniem 99 proc. prac, do których zobowiązało się państwo polskie umową ministra obrony narodowej RP z amerykańskim NIAR – oczywiście z pewnym opóźnieniem z powodu niewywiązania się Antoniego Macierewicza z gwarantowanego wsparcia.

Na spotkaniu, które odbyło się w piątek 20 września 2019 r. w biurze Antoniego Macierewicza przy ulicy Hożej, przewodniczący wraz ze swoim prawnikiem przedstawili mi list zaadresowany do NIAR, gdzie Antoni Macierewicz zasadniczo chciał obwinić Amerykanów za opóźnienie projektu i to oskarżenie wykorzystać w celu nacisków na NIAR, aby instytut podał wyniki swoich badań przed 10 kwietnia 2020 r. (na bazie niepełnych danych ze strony polskiej!). Kiedy protestowałem przeciwko takiemu traktowaniu poważnego i dobrego partnera i odmówiłem udziału w fałszywych oskarżeniach – jakiekolwiek opóźnienie było spowodowane nie przez NIAR, który pracował bardzo profesjonalnie i wypełniał wszystkie swoje zobowiązania, ale przez brak zaplanowania projektu przez przewodniczącego i obiecanego wsparcia pomocników w pracach po polskiej stronie – Antoni Macierewicz uznał, że jestem nielojalny wobec niego, a mój dostęp do bliźniaczego samolotu P102 zostaje od tego dnia jego decyzją zablokowany. Kilka miesięcy później Antoni Macierewicz zabronił NIAR jakiejkolwiek komunikacji ze mną, a 22 kwietnia 2020 r. zawiesił mnie w pracach podkomisji. Wypychając mnie z procesu dostarczania danych do amerykańskiego instytutu w 2019 r., Antoni Macierewicz osobiście zaczął przekazywać pozostały 1 proc. danych do NIAR (lokalizacja pewnych mas punktowych). Proces ten był mocno opóźniony. To, co należało zrobić w ciągu trzech tygodni, zajęło trzy razy więcej czasu, pochłaniając dużą część z reszty oddanych do dyspozycji polskiego projektu zasobów Amerykanów (innymi słowy, „konsumując" pieniądze, za które mogłyby być zrobione cenne dla nas badania), a niektóre istotne dane, np. masy desek podłogowych „zgadywane" przez Antoniego Macierewicza, były wysoce niepoprawne i później musiały zostać skorygowane.

Relacje z NIAR ewoluowały w bardzo złym kierunku, co było naturalną konsekwencją wielu listów z wezwaniami, pod rygorem konsekwencji prawnych, wysłanych do instytutu przez Antoniego Macierewicza i jego prawnika od września 2019 r. Naciskano w nich Amerykanów na przesłanie wstępnych i przedwczesnych wyników i wniosków, kiedy dokładnie w tym samym czasie Antoni Macierewicz opóźniał ostateczne dostarczenie NIAR 1 proc. pozostałych danych, których Instytut potrzebował, aby rozpocząć symulacje

eprasa.pl d563a9d9f8

i dostarczyć wyniki, o które był proszony! Podczas cotygodniowych spotkań z amerykańskim partnerem przewodniczący powtarzał, że przesłał informacje, o które Amerykanie proszą od kilku tygodni, i wyraża zdumienie, dlaczego te informacje nie doszły, sugerując, że zawiniła jego sekretarka, która po prostu nie przesłała danych. Za każdym razem towarzyszyło temu zobowiązanie, że dane zostaną natychmiast ponownie wysłane. Powtarzanie tego rytuału nawet przez siedem czy osiem tygodni, dotyczącego tych samych danych, z niezmiennym najpierw zdumieniem, wręcz niedowierzaniem, a następnie tym samym obciążającym sekretarkę uzasadnieniem, stawiało wszystkich uczestników spotkań w bardzo kłopotliwej sytuacji.

Zarezerwowane dla Polski działania i czas pracy amerykańskiego instytutu w momencie końcówki projektu, przy ogromnej potrzebie przeprowadzenia kluczowych prac, w dużej mierze zostały pochłonięte przez wielotygodniowe opóźnienia, a następnie potrzebę korekcji danych, spowodowaną niekompetencją przewodniczącego i całkowicie niezrozumiałymi jego decyzjami, wyraźnie sprzecznymi z interesem badania.

3. Mnożenie nieuzasadnionych wątpliwości

Podczas symulacji uderzenia skrzydła samolotu w brzozę równie ważna jest dokładność modelu skrzydła, jak i modelu drzewa. Jesienią 2019 r. i wiosną 2020 r. Antoni Macierewicz zablokował przeprowadzenie niezbędnych eksperymentów na dużych drzewach przez NIAR i stworzenie prawidłowego modelu 3D drzewa przez podkomisję. Przewodniczący nigdy nie zaplanował ani przedmiotu prac, ani środków, ani zasobów ludzkich w celu przesłuchań świadków, a kiedy te przesłuchania zostały podjęte z inicjatywy własnej członków podkomisji, nakazał zaprzestanie wszelkich trwających przesłuchań świadków w fazie, kiedy zaczęli być przesłuchiwani wyżsi rangą pracownicy wojska. W dodatku twierdzi, że to kłamstwo, choć stanowcza decyzja, że to koniec przesłuchań i że przewodniczący już więcej wezwań nie podpisze, była wydawana wielokrotnie przy świadkach i – z tego, co mi wiadomo – jest cały czas aktualna.

Prof. Binienda przeprowadził w USA (praktycznie bez wsparcia ze strony polskiego państwa) eksperymentalne i teoretyczne prace o wielkiej wartości dotyczące charakteryzowania brzóz o średnicy do 16 cm pod wpływem zderzeń o dużej prędkości. Opierając się na tych bardzo dobrych pracach, NIAR zaoferował wykonanie dodatkowych testów na drzewach o średnicy 40 cm w Stanach Zjednoczonych. Z powodu zidentyfikowanych błędów w pierwszym podejściu do eksperymentów NIAR zaoferował bezpłatne ich powtórzenie. Strona polska musiała pokryć jedynie dodatkowe wydatki na zakup materiału drzewnego i wynajem obiektu testowego NASA, co stanowiło mniej niż 4 proc. budżetu projektu.

> Narodowy Instytut Badań Lotniczych (NIAR) w USA, najbardziej kompetentny w zakresie symulacji samolotów uderzających w inne obiekty, poproszono o zbadanie uderzenia skrzydła o drzewo oraz samolotu o ziemię

Zablokowanie tego badania byłoby bardzo niekorzystne dla prowadzonego dochodzenia, nie tylko je opóźniając, lecz skutkując szkodą w powstaniu potencjalnie błędnych symulacji, o czym Antoni Macierewicz został ostrzeżony. Konfrontowany i naciskany podczas spotkania podkomisji w okolicach nowego roku 2019/2020 stwierdził, że wyrazi zgodę na podjęcie niezbędnych eksperymentów, ale jak wiele deklaracji przewodniczącego to też nie miało pokrycia w prawdzie. Brak ważnych danych i dobrego modelu drzewa z jednej strony, a jednocześnie prawne naciski na NIAR, by już sformułować wnioski, zmusiły amerykańskich naukowców do znacznego rozszerzenia bezpiecznego zakresu błędu w kluczowych symulacjach oraz do prowadzenia symulacji na podstawie wątpliwych danych wyjściowych z nieudanych eksperymentów.

Bezpośrednim skutkiem uniemożliwienia przez Antoniego Macierewicza dokonania eksperymentu, który precyzyjnie scharakteryzowałby brzozę, było bardzo duże zawyżenie zdolności brzozy do wcinania się w skrzydło w trakcie symulacji ze względu na asekurację przy zbudowaniu modelu brzozy o właściwościach „jak ze stali". Skutki działania, którego można było w łatwy sposób uniknąć, pozwalając przeprowadzić prosty eksperyment, są niezwykle szkodliwe. Kolejny raz mamy do czynienia z działaniem, które uderza w serce każdego badania: zamiast ograniczać i eliminować wątpliwości, zaczyna się je bez potrzeby mnożyć.

Co gorsza, Antoni Macierewicz – pomimo protestów i oświadczeń NIAR, że wyniki były wstępne – dopuścił do publicznego ujawnienia wątpliwych z punktu widzenia nauki wyników, które wspomniane zostały w artykule Marka Pyzy i Marcina Wikły „Czas na Smoleńsk".

Od połowy 2019 r. Antoni Macierewicz zablokował kontynuację ważnych prac światowej klasy ekspertów, włączonych do badania dzięki prof. Biniendzie, dotyczących symulacji skutków wybuchu w konstrukcji samolotu. Te dwie decyzje przewodniczącego podkomisji ograniczyły możliwość pełnego wykorzystania inwestycji w wysokości 2,5 mln dol. w zbudowanie modelu cyfrowego samolotu za pośrednictwem NIAR i umożliwiły udzielenie odpowiedzi tylko na 3 z ponad 13 ważnych pytań przy wykorzystaniu tego modelu. A i tak te odpowiedzi można było sformułować tylko z dużą, zupełnie niepotrzebną wątpliwością, jak w przypadku wspomnianego powyżej efektu ewentualnego kontaktu skrzydła z drzewem.

Co gorsza, od września 2019 r. Antoni Macierewicz wyeliminował możliwość pełnej walidacji (sprawdzenia) niektó-

eprasa.pl d563a9d9f8

rych aspektów tworzonego modelu samolotu, gdyż wymagany dostęp do bliźniaczego Tu-154M (P102) w Mińsku Mazowieckim został nagle i bez ostrzeżenia zablokowany. Wymagany proces walidacji określony przez NIAR byłby krótszy niż trzy tygodnie pracy. Znów zostały zablokowane ważne prace tuż przed końcem procesu.

Antoni Macierewicz kilkadziesiąt razy solennie zapewniał członków podkomisji, że to prokuratura blokuje dostęp do bliźniaczego tupolewa, jednak nie był w stanie pokazać jakiegokolwiek pisma skierowanego z prośbą do prokuratury w tej sprawie, które spotkało się z odmową. Prokuratorom przekazano odpowiedzialność za bliźniaczy P102 dopiero 6 listopada i deklarują oni gotowość udostępnienia samolotu po złożeniu zapotrzebowania przez podkomisję, zawierającego informację na temat planowanych prac.

Dostęp do szczegółowych informacji o samolocie Tu-154M ma kluczowe znaczenie dla badania. Pozwala zrozumieć, z którego miejsca samolotu pochodzą elementy znalezionych szczątków, jak zbudowana jest konstrukcja, jak mocne są jej poszczególne elementy, pozwala dokładnie określić właściwości materiałowe każdego fragmentu. Wobec braku miarodajnych informacji od rosyjskiego producenta dostęp do podobnie zbudowanego Tu-154M jest niezbędny.

W 2016 r. jako szef MON Antoni Macierewicz miał możliwość zakupu Tu-154M nr konstrukcyjny 00A1003 za cenę złomu. Podkomisja dysponowała odpowiednim budżetem. Potrzeba ze względu na dobro badania wydawała się oczywista. Zamiast tego przewodniczący zablokował zakup, zwracając pod koniec roku sporą część budżetu podkomisji do budżetu państwa. Ta decyzja spowodowała, że bliźniaczy tupolew P102 stacjonujący w Mińsku Mazowieckim stał się elementem krytycznym badania. Jednocześnie w praktyce uniemożliwiło to przeprowadzenie rzeczywistego eksperymentu uderzenia skrzydła w drzewo. Taki eksperyment byłby łatwy do zrozumienia i miałby ogromne znaczenie.

Dlaczego Antoni Macierewicz de facto uniemożliwił pozyskanie bliźniaczego tupolewa spoza Polski za cenę złomu? Dlaczego ważny w badaniu dostęp do bliźniaczego samolotu w Mińsku Mazowieckim został zablokowany? I dlaczego ta blokada wciąż trwa? Czy właśnie dążenie do kreowania wątpliwości, a nie ich eliminowanie, nie jest tu kluczem? Bo na pewno jest efektem. Swoimi działaniami przewodniczący powoduje wzrost wątpliwości co do zdolności NIAR do odpowiedzi nawet na ostatnie dwa z 13 pytań. Oprócz wydania pieniędzy podatników sposób, w jaki Antoni Macierewicz potraktował projekt NIAR, jest wielką krzywdą wyrządzoną śledztwu i działaniem na zasadzie pozostawienia po sobie spalonych mostów.

4. Złe relacje i izolacja – wymierne szkodzenie badaniu

Prokuratura i podkomisja mają różne funkcje. Jedno dochodzenie jest oparte na „ustalaniu faktów, bez ustalania winy", a dochodzenie prowadzone przez prokuratorów koncentruje się na wykrywaniu winnych. W większości innych krajów obie strony współpracują przy badaniu z obopólną korzyścią.

Niestety, tak nie jest w przypadku naszego śledztwa, w którym Antoni Macierewicz wydaje się dążyć do zakazu kontaktów z prokuraturą. Współpraca powinna być oparta na szacunku i zaufaniu, umożliwiając sprawne udostępnianie wszystkich dowodów uzyskanych przez każdą grupę dochodzeniową. Wygłaszając szkodzące relacjom oświadczenia w prasie i pozwalając na przecieki wstępnych wyników, Antoni Macierewicz mocno skomplikował stosunki podkomisji z polską prokuraturą. Choć dla polityka ważne może być zachowanie przychylności opinii publicznej, złe stosunki między obiema stronami są de facto dużym problemem dla obu dochodzeń, ponieważ bardzo utrudniają dzielenie się dowodami między zespołami badawczymi. To sytuacja „przegrana–przegrana", w której tylko ci, którzy chcą, aby prawda pozostała ukryta, są zwycięzcami. Dążenia członków zespołu do łączenia stron poprzez bezpośredni kontakt z prokuratorami zostały przez Antoniego Macierewicza zabronione i wyeliminowane. Spotkania z prokuratorami są zmonopolizowane przez przewodniczącego, a informacje z jego nielicznych spotkań nie są udostępniane.

Relacje z grupą międzynarodowych ekspertów, w tym z Frankiem Taylorem, układały się bardzo źle ze względu na praktycznie zmylenie ich w sprawie umów dotyczących pracy, w której wzajemne zaufanie i wiarygodność mają kluczowe znaczenie. Obsługa umów, płatności i komunikacji z polskiej strony, którą kierował Antoni Macierewicz, utrudniła współpracę już na wstępie.

Grupa ta została poproszona (wszak przez nie byle kogo, bo ministra obrony narodowej) o pilne zabranie się do pracy bez podpisanych umów, a gdy umowy ostatecznie dotarły, niemal upłynął termin ich obowiązywania. Początkowo eksperci wielokrotnie dopytywali się, czy umowa wciąż jest aktualna i nie mogąc uzyskać odpowiedzi – nawet przy pomocy dwojącego się i trojącego w tej sprawie wiceszefa podkomisji – niektórzy zwątpili w przedsięwzięcie. Płatności były wielokrotnie opóźniane. Grupa była źle traktowana do tego stopnia, że w końcu eksperci zrezygnowali ze współpracy.

Antoni Macierewicz zablokował próby spotkania się z grupą ekspertów europejskich, co pozwoliłoby podkomisji na poznanie innych stosunkowo nieznanych członków dobranych w niewiadomy sposób. Brak właściwej interakcji oznaczał również, że ich praca opierała się w dużej mierze na tym, co sami zdołali wydobyć z raportów MAK/Millera oraz na ogromnym, stosunkowo nieposortowanym materiale zgromadzonym przez poprzednich polskich śledczych. Ten brak systematycznego wkładu ze strony podkomisji informacji na temat jej odkryć miał negatywny wpływ na wyniki pracy grupy. To kolejny obszar zniszczenia – nie opóźnienia, nie zaniechania, ale zniszczenia, za które odpowiada Antoni Macierewicz.

Wbrew kolejnemu porozumieniu Antoni Macierewicz zablokował nagle pod koniec 2019 r. płatności dla grupy ekspertów europejskich do czasu złożenia pisemnego raportu przez każdego z nich. Jednocześnie przewodniczący konsekwentnie odmawiał wezwaniom zaniepokojonych członków podkomisji, by skontaktować się z ekspertami

eprasa.pl d563a9d9f8

europejskimi w celu zapoznania ich z kluczowymi odkryciami. Po rozmowach wewnątrz podkomisji przewodniczący miał świadomość, że takie podejście może być szkodliwe z wielu powodów, m.in. eksperci zostaną zmuszeni do wnioskowania w sposób niepełny, głównie na podstawie ustaleń dokonanych przez Rosjan i wcześniejszych polskich śledczych, bez pełnej wiedzy o ważnych ustaleniach dokonanych przez członków podkomisji.

Trzeba było niezwykłego talentu, by zniszczyć relacje z jednym z najbardziej szanowanych w świecie specjalistów, który wykształcił wielu obecnie aktywnych zawodowo badaczy katastrof lotniczych, wyeliminować z badania katastrofy smoleńskiej osobę pomocną i życzliwą. Wycofanie się takiego eksperta jak Frank Taylor, który mógł wnieść do śledztwa międzynarodową wiarygodność oraz doświadczenie, pozbawiło podkomisję kolejnego ważnego atutu. Nie oczekując od przewodniczącego aktywnego pozyskania takich autorytetów, chciałoby się wierzyć, że przedstawiony mu cenny specjalista nie zostanie potraktowany w sposób skandaliczny, niszczący wszelkie zaufanie do polskiego partnera. I nie dotyczy to tylko umowy, lecz również meritum pracy. Czy to nie rzutuje na stosunek do badań podkomisji? W jakiś przedziwny sposób przewodniczący potrafi obrócić największe atuty na niekorzyść badania i sprawy.

5. Monopolizacja dostępu do materiałów dowodowych – niszczenie zdolności do pracy w zespole

Antoni Macierewicz nie poczynił żadnych skutecznych starań, aby systematycznie rejestrować zebrane dowody (dziennik dowodów). Utrudni to później wniesienie jakichkolwiek ustaleń do sądu, gdybyśmy chcieli iść w ślady Holandii, która po katastrofie samolotu MH17 w 2014 r. zdążyła nie tylko opublikować raport, lecz także oskarżyć Rosję przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. Bez dziennika dowodów członkowie podkomisji nie mają pełnej wiedzy, jaki materiał dowodowy jest w ich dyspozycji. Dzięki temu Antoni Macierewicz może zmonopolizować dostęp do tego materiału, w tym do danych jawnych, wybierając, którzy członkowie podkomisji mają określone dane, a którzy nie. Często wybór ten nie ma nic wspólnego z rzeczywistymi kompetencjami do efektywnej analizy danego materiału „uprzywilejowanej–poinformowanej" osoby.

> Potrzebna jest zmiana na stanowisku przewodniczącego na osobę, która miałaby kompetencje pozwalające przeznaczyć większość energii na dochodzenie. Mogę zaproponować prof. Biniendę jako osobę spełniającą te kryteria

Jest to całkowicie sprzeczne z dobrymi praktykami śledczymi i mocno szkodzi zdolności do współpracy z ekspertami zewnętrznymi oraz w ramach podkomisji, ponieważ każdy członek ma inny punkt wyjścia do analizy dowodów w obszarze swoich badań.

6. Fragmentaryczne sprawozdanie – raport i kontrraport

Brak jest wysiłków, aby właściwie zakończyć prace dochodzeniowe i udokumentować je zgodnie z odpowiednimi standardami, nie do podważenia w rozsądny sposób, choć jest to w zasięgu naszej ręki.

Zamiast pozwolić całemu zespołowi na przyjęcie holistycznego podejścia i osiągnięcie odpowiedniego poziomu konsensu opartego na pełnym zrozumieniu wszystkich dowodów, Antoni Macierewicz zleca niezwykle ważną funkcję – tzw. investigator-in-charge – raczej przypadkowej osobie, znanej głównie z bycia blogerem, która zbiera i opracowuje osobne fragmenty dochodzeniowe od kolegów z podkomisji. Może to prowadzić do dalekiego od kompetentnego i wiarygodnego raportu końcowego, choć wiele ustaleń członków podkomisji jest kluczowych i precyzyjnych.

Pomimo dowodów pozwalających na wyciągnięcie jasnych i ponad wszelką wątpliwość głównych wniosków Antoni Macierewicz prowadzi do sytuacji, w której grozi nam wysyp opracowań połowicznych, zawierających badawcze słabości łatwe do zaatakowania, a nawet opublikowanie kontrraportu czy dodanie załączników do raportu z wnioskami w różnych kierunkach – a wszystko to w ramach jednej podkomisji kierowanej przez tę samą osobę. Czy pomoże to rozwiązać wątpliwości istniejące w domenie publicznej?

Antoni Macierewicz nigdy nie odpowiedział na wielokrotne pytania członków podkomisji, kto dokładnie wchodzi w jej skład. Jednak wszystko wskazuje na to, że w ramach podkomisji pracuje – w odosobnieniu – niejawna grupa pod przewodnictwem Marka Dąbrowskiego, która po publikacji raportu przez Antoniego Macierewicza (jeśli do tego dojdzie) opublikuje swój kontrraport lub zdanie odrębne. Co nie znaczy, że to pomoże usunąć wszelkie uzasadnione wątpliwości co do przyczyny tragedii smoleńskiej, co jak najbardziej jest w zasięgu naszych możliwości badawczych. Efekt niestety będzie wręcz przeciwny.

PODSUMOWANIE

Celem każdego dobrego śledztwa jest odkrycie i wiarygodne udokumentowanie tego, co się stało. Powinno się to odbywać w sposób systematyczny – najpierw przedstawić wszystkie potencjalne możliwości, a następnie metodami opartymi na wszystkich dowodach i prawach fizyki, w sposób kompetentny wykluczyć wszystkie inne możliwości, aż pozostanie jedna

eprasa.pl d563a9d9f8

jedyna przyczyna, która będzie nie do podważenia. Tylko wtedy dochodzenie uzyska wiarygodność.

Przewodniczący Antoni Macierewicz w sposób zupełnie przypadkowy, bez planowania czasu i zasobów, bez harmonogramów i bez wymaganych kompetencji, kieruje najważniejszym badaniem we współczesnej historii Polski. Zamiast promować dobrą pracę zespołową, wprowadza chaos i konflikty; zamiast budować dobre relacje z potrzebnymi partnerami, którzy mogliby bardzo pomóc, tworzy wrogów; monopolizuje potrzebne informacje, które powinny być udostępniane; rozpowszechnia błędne informacje w mediach oraz aktywnie blokuje wszelkie próby prowadzenia systematycznego śledztwa opartego na dowodach. Przykładem błędnego komunikatu było m.in. podanie w mediach – wbrew protestom członków podkomisji – że samolot przyziemiał kołami do dołu. Choć było to na wczesnym etapie prac podkomisji, już wtedy była wystarczająca liczba dowodów na to, że to nieprawda. Wśród rzeczywistych dowodów na eksplozję przewodniczący w mediach wymieniał także te niewłaściwe, które łatwo było podważyć, takie jak wzrost wartości zewnętrznego czujnika temperatury. Błędny komunikat przewodniczącego nie wynikał z jego niewiedzy i nastąpił wbrew prośbom i ostrzeżeniom płynącym z wewnątrz podkomisji. Przewodniczący miesza rzeczy istotne z błędnymi. I choć tych istotnych jest wiele – to pojedynczy błąd potrafi je medialnie zdezawuować.

Blokowanie kluczowych badań przez przewodniczącego podkomisji, przy jednoczesnym marnowaniu wielkiej ilości czasu i energii na mało istotne kwestie, sztucznie wykreowane przeszkody, zarządzanie poprzez chaos i konflikt, arbitralne rozstrzyganie kwestii technicznych bez posiadania do tego kompetencji – to tylko niektóre absurdy, z którymi musi się zmierzyć niewielka efektywnie pracująca grupa członków podkomisji w całym gronie osób zatrudnionych przez przewodniczącego.

O ile na poziomie deklaracji medialnych przewodniczący wydaje się żarliwie walczyć o prawdę, przekonując głównie już przekonanych, to na poziomie decyzji badawczych zachowuje się kompletnie niezrozumiale, często utrudniając lub uniemożliwiając solidne uzasadnienie hipotezy badawczej, będące w zasięgu naszych możliwości.

Zamiast doprowadzić badanie do końca, tak by można je było ująć w raporcie końcowym nie do podważenia w rozsądny sposób, eliminując wszelkie wątpliwości, przewodniczący zatrzymuje niezbędne badania, podejmuje działania, które zamiast odpowiadać na podstawowe pytania, mnożą chaos, tym samym dając pożywkę dalszej kłótni publicznej.

Efektem działań szefa podkomisji jest niszczenie najważniejszego jej atutu jako organu badawczego, czyli wiarygodności. Poświęcając ogrom czasu i pracy badaniu, będąc świadomym niezwykle cennych osiągnięć, jakimi dysponujemy, bardzo trudno jest patrzeć, jak przewodniczący podrywa autorytet i izoluje podkomisję z relacji z poważnymi partnerami badawczymi, których pozyskanie wymagało tak wielkiego trudu.

Trudno zrozumieć, dlaczego przewodniczący utrudnia lub wstrzymuje dostarczanie partnerom badawczym potrzebnych danych, nie akceptuje przeprowadzenia koniecznych, zgłaszanych przez tych partnerów badań przy jednoczesnym zmuszaniu ich do zakończenia prac i postawienia wniosków na podstawie niepełnych informacji. W najlepszym wypadku to może skutkować bardzo dużą ogólnością.

Złe traktowanie, niedotrzymywanie słowa, eufemistycznie mówiąc, a w zasadzie należałoby powiedzieć oszukiwanie partnerów, także jeśli chodzi o umowy i warunki pracy, wzbudza ich nieufność, zraża i powoduje ich wycofanie się ze współpracy, buduje niepożądaną opinię w międzynarodowym środowisku śledczym.

Monopolizowanie wszelkich kontaktów zewnętrznych przez przewodniczącego przy braku jego kompetencji przynosi opłakane skutki i uniemożliwia dojście do celu.

Bezcenne i solidne wyniki badawcze niewielkiej grupy członków podkomisji niejednokrotnie są osiągane wbrew wewnętrznie kreowanym przeszkodom organizacyjnym. W dodatku wypracowane z takim trudem niezwykle precyzyjne osiągnięcia są mieszane przez przewodniczącego z nonsensownymi czy wątpliwymi ustaleniami i prezentowane publicznie w niewiarygodny sposób.

Regułą już się stało ucinanie ważnego procesu badawczego na ostatniej prostej w celu otrzymania jakichkolwiek wyników na kolejną rocznicę katastrofy smoleńskiej. Procesu podjętego najczęściej wbrew przeszkodom, w warunkach organizacyjnych niebywałego marnowania czasu.

CO TERAZ?

Nie jesteśmy skazani na przewlekłość i chaos. Nie musi tak być. Mamy odkrycia badawcze kilku bardzo utalentowanych członków podkomisji, zapoczątkowane jeszcze na długo przed powstaniem tego organu i często uzyskiwane pomimo aktywnych działań przewodniczącego, aby je utrudnić (w co, zdaję sobie sprawę, niezwykle trudno uwierzyć). Są to tak poważne osiągnięcia, że można je uznać za filary śledcze dla rozstrzygającego, wiarygodnego i obiektywnego raportu końcowego. Zasługują one na właściwe dokończenie, uzupełnienie i udokumentowanie zgodnie z uznanymi standardami badania wypadków lotniczych, gdyż dostarczają w ten sposób potrzebnych i obiektywnych odpowiedzi, pozwalających na zamknięcie sprawy wiarygodnymi konkluzjami. Pozwoli to na zaleczenie ran oraz umożliwi podjęcie niezbędnych działań naprawczych w celu uniknięcia podobnej tragedii w przyszłości. Wymaga to zmiany na stanowisku przewodniczącego na osobę, która oprócz woli dojścia do prawdy przyjęłaby podejście naukowe i oparte na dowodach, miałaby zdolności organizacyjne zarządzania projektami i kompetencje pozwalające przeznaczyć większość energii na dochodzenie, a nie na konflikty i sztucznie tworzone przeszkody. Mogę zaproponować prof. Biniendę jako osobę spełniającą te kryteria.

Glenn Jorgensen

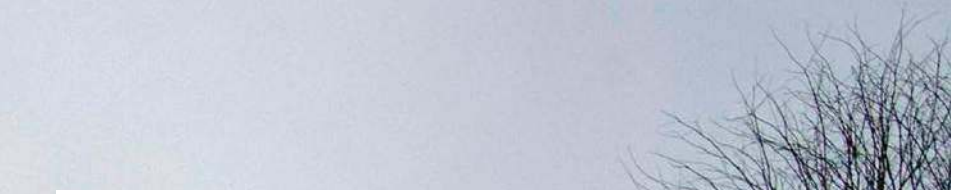
eprasa.pl d563a9d9f8

Aleksiej Nawalny, najsłynniejszy dziś rosyjski, a może nawet światowy, więzień polityczny, przez wielu porównywany do Nelsona Mandeli, następne dwa lata i osiem miesięcy spędzi w kolonii karnej. Co to w praktyce oznacza? Z jakimi wyzwaniami przyjdzie mu się mierzyć? Jak obecnie wygląda rosyjski „archipelag gułag", którego przejmujący obraz dał w swym dziele Aleksander Sołżenicyn?

Gdzie trafi Nawalny?



eprasa.pl d563a9d9f8







MAREK BUDZISZ

Dziś Nawalny przebywa w federalnym areszcie śledczym nr 1, nieoficjalnie nazywanym „Matrosskaja Tiszina", bo przy ulicy o tej nazwie się znajduje, lub też „Kremlowskim Centralnym", ze względu na rangę aresztantów, którzy są tam przetrzymywani. Precyzyjnie rzecz ujmując, jak powiedziała rosyjskiemu tygodnikowi internetowemu „Snob" Ewa Merkaczewa, wchodząca w skład kierownictwa moskiewskiej Komisji Monitorowania Publicznego, urzędu zajmującego się badaniem, czy przestrzegane są prawa aresztowanych, Nawalny znajduje się obecnie w specjalnym więzieniu dla najważniejszych więźniów w Rosji. Przetrzymywanych jest tam ok. 100 aresztantów, a warunki jak na Rosję są dobre. Osadzeni są trzymani w trzyosobowych, niedawno wyremontowanych celach, mają do dyspozycji telewizor, lodówkę i czajnik elektryczny, mogą zamawiać sobie jedzenie w zewnętrznych restauracjach, a nawet na pewnych warunkach korzystać z poczty elektronicznej. W tym areszcie przebywają więźniowie specjalni – miliarderzy, byli gubernatorzy aresztowani za łapówkarstwo, osądzani w najgłośniejszych w Rosji sprawach, tacy jak kryminalna sława, autorytet świata przestępczego, „wor w zakonie" o ksywie Japończyk czy skazany za łapówkarstwo były pułkownik FSB Dmitrij Zacharczenko, u którego podczas rewizji znaleziono w gotówce 8,5 mld rubli (115 mln dol.), 2 mln euro i 120 mln dol., nie licząc samochodów, złota ani innych drobiazgów (wiadomo też, że posiadał kilkadziesiąt nieruchomości).

Nawalny będzie przebywał w Matrosskiej Tiszinie do dnia posiedzenia sądu apelacyjnego, który może zmienić – choć zdaniem specjalistów prawdopodobieństwo tego jest niewielkie – zasądzony mu wyrok. Obrońcy opozycjonisty mają miesiąc na wniesienie apelacji. Potem trzeba będzie jeszcze czekać na posiedzenie sądu i uprawomocnienie się wyroku. Kiedy to nastąpi, w świetle obecnego wyroku spędzi on dwa lata i osiem miesięcy w kolonii karnej ogólnego reżimu, która w rosyjskim systemie penitencjarnym jest najpowszechniejszym rodzajem więzienia. Nie jest to jednak przesądzone, przeciw Nawalnemu toczą bowiem się już kolejne postępowania karne. Stanie przed sądem w sprawie obrażenia weterana II wojny światowej, toczy się także śledztwo dotyczące rzekomych nadużyć finansowych w kierowanej przez niego Fundacji Walki z Korupcją.

Z wielu ostatnich wypowiedzi przedstawicieli reżimu, m.in. ministra spraw zagranicznych Siergieja Ławrowa, można sądzić, że w obozie władzy panuje przekonanie, iż Nawalny działa na rzecz zachodnich służb specjalnych, co zdaniem wielu obserwatorów może oznaczać nawet wniesienie oskarżenia o zdradę. Tak więc ze względu na toczące się śledztwa i procesy jeszcze przez jakiś czas, dłuższy niźli dziś można to przewidzieć, Nawalny pozostanie w tym samym miejscu, gdzie jest obecnie.

„Można nawet powiedzieć, że się nad nim zlitowali – mówi Ewa Merkaczewa, opisując warunki, w jakich siedzi opozycjonista. – Gdyby rzucili go do Lefortowa albo zwykłego, a nie specjalnego, oddziału w Matrosskiej Tiszinie, to z pewnością oszalałby, tam są nawet 30-osobowe sale". Jak dodaje, siedzi się tam razem z kryminalistami, a ze względu na warunki i liczebność w celach służba więzienna nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa osadzonym. Zresztą właśnie w Matrosskiej Tiszinie, ale na oddziale ogólnym, został zamordowany prawnik Siergiej Magnicki, który zdemaskował korupcję w rosyjskich służbach podatkowych.

Ale sprawy nie mają się tak różowo, jak mogłoby to wyglądać na pierwszy rzut oka. W opinii Mariny Litwinowicz, również pracującej w Komisji Monitorowania Publicznego, miejsce, gdzie przebywa Nawalny, należy uznać za bardzo srogie więzienie. Nie dlatego, że są tam trudne warunki bytowe, ale z tego powodu, że więźniowie są praktycznie kontrolowani 24 godziny na dobę i całkowicie odseparowani od kontaktu ze światem zewnętrznym. „Głównym celem jest izolacja – opisuje realia aresztu Nawalnego Litwinowicz – odcięcie od informacji i wszelkiej komunikacji. Cała korespondencja jest monitorowana – jeśli ktoś napisze odwołanie lub pismo, nie jest pewne, że dotrze to do adresata, list może zostać zatrzymany lub opóźniony. Nie można też być pewnym, że doręczony zostanie przychodzący list". Więźniowie tacy jak Nawalny nie mogą się też z nikim spotykać twarzą w twarz, a jedyne kontakty odbywają się w specjalnych, podsłuchiwanych zresztą, rozmównicach z szybą.

Michaił Chodorkowski, wspominając swój dziesięcioletni pobyt w koloniach karnych, twierdzi, że cały rosyjski system penitencjarny jest skonstruowany w taki sposób, aby więźniom takim jak on udowodnić, że „nie są nikomu potrzebni" i „świat o nich zapomniał". Tę niesłychanie silną presję psychologiczną, która ma na celu złamanie przeciwników systemu, można przetrwać – zdaniem Chodorkowskiego – jedynie dzięki korespondencji i kontaktom ze światem zewnętrznym.

KOLONIA KARNA CZY ARESZT DOMOWY

Jeśli sąd apelacyjny potwierdzi wyrok z pierwszej instancji, a władze uznają, że Nawalny nie jest im już potrzebny w Moskwie, to zostanie on wysłany do kolonii karnej, która zgodnie z rosyjskim prawem powinna się znajdować najbliżej jego miejsca zamieszkania, czyli w praktyce – jak powiedział mediom Nikołaj Zujew, wiceprzewodniczący moskiewskiej Komisji Monitorowania Publicznego – opozycjonista „powinien zostać przeniesiony do jakiegoś najbliższego regionu, to znaczy do jednej z kolonii Centralnego Okręgu Federalnego Federacji Rosyjskiej", gdyż w rosyjskiej stolicy nie ma kolonii karnej ogólnego reżimu. Ale to też nie jest przesądzone. Michaił Chodorkowski w rozmowie z ukraińskim dziennikarzem Dmitrijem Gordonem powiedział, że jego wysłano do kolonii karnej na drugi koniec Rosji, dlatego że władze uznały, iż w okolicy „tak mnie nienawidzą, że mogą zabić". W praktyce każda opcja wchodzi w grę, również ta, której najmniej się w Rosji spodziewają, mianowicie, że sąd apelacyjny zamieni Nawalnemu sposób odbycia kary na areszt domowy. Wyrok odsiaduje się wówczas w miejscu zamieszkania, ale nie można się z nikim kontaktować, reglamentacji

Fot. Dimitar Dilkoff/AFP/East News

eprasa.pl d563a9d9f8

podlegają nawet kontakty z członkami rodziny. Nie można również korzystać ze środków łączności, w tym oczywiście z internetu.

Jeśli jednak Nawalny zostanie wysłany do zwykłej kolonii karnej, to władze mają wiele możliwości działania zgodnie z zasadą kija i marchewki. Może się znaleźć w miejscu odosobnienia dla więźniów o specjalnym statusie, takim, w którym przebywali znani piłkarze Aleksandr Kokorin (Zenit) i Paweł Mamajew (Krasnodar), którzy tak świętowali urodziny jednego z nich, że pobili się w restauracji z urzędnikami Ministerstwa Handlu i Przemysłu. Cała sprawa stała się zbyt głośna, aby można ją było zamieść pod dywan, w efekcie czego piłkarzy i dwóch uczestników awantury skazano za chuligaństwo na rok i pięć miesięcy więzienia. Cała czwórka nie tylko siedziała razem w jednym miejscu, bo tak raźniej, lecz piłkarzom zapewniono też możliwość trenowania, aby nie tracili formy.

O Aleksieju Ulukajewie, byłym federalnym ministrze rozwoju gospodarczego skazanym za łapówkarstwo, rozeszły się słuchy, że w kolonii karnej, w której przebywa, zbudowano dla niego specjalne mieszkanie w wydzielonej części więzienia, w którym ma dostęp do środków łączności, a jedzenie przywożą mu z zewnątrz. Energicznie zaprzeczał temu Aleksandr Kałasznikow, szef Federalnej Służby Wykonywania Wyroków (tej samej, która wniosła skargę przeciw Nawalnemu), mówiąc, że Ulukajew mieszka razem z innymi więźniami, a jego pracą, do której są zobowiązani wszyscy rosyjscy więźniowie, jest obsługa dobrze zaopatrzonej biblioteki, bo „to bardzo oczytany człowiek".

ZA DOLARA

Michaił Chodorkowski, jak wspomina, siedział w zwykłych warunkach z innymi skazanymi, w baraku, w którym razem z nim było 150 więźniów. Pracował tak jak inni, choć nie w szwalni, bo po pierwszej rozmowie z naczelnikiem więzienia, podczas której sporządził długą listę zaniedbań, profilaktycznie przeniesiono go do magazynu, gdzie zajmował się pakowaniem produkcji więziennej manufaktury. Jedzenie też dostawał takie jak inni, o wartości 1 dol. dziennie. Na Dalekim Wschodzie, gdzie Chodorkowski przesiedział większość swego dziesięcioletniego wyroku, posiłki były, jak wspomina, nawet znośne, zdarzało się mięso i ryby, bo za 1 dol. można było kupić więcej. Znacznie gorzej było w Karelii (gdzie też siedział były właściciel Jukosu), która leży bliżej Moskwy, ale bardziej na północ, a tam za 1 dol. można kupić dużo mniej.

CZERWONY KAWIOR I ALKOHOL

Nie każdego dotyczą tego rodzaju ograniczenia. Pod koniec 2019 r. wybuchł w Rosji skandal w związku ze zdjęciami, jakie w sieciach społecznościowych umieścił Wiaczesław Cepowiaz, kryminalista skazany w procesie gangu braci Capkowów, niezwykle brutalnej grupy mającej na swoim koncie co najmniej kilkanaście zabójstw. Zdjęcia przedstawiały więzienny posiłek gangstera, a raczej ucztę, podczas której raczył się on mięsem krabów i czerwonym kawiorem. Przeprowadzone w efekcie skandalu dochodzenie ujawniło, że naczelnik i podlegli mu funkcjonariusze właściwie sprywatyzowali więzienie, organizując na jego terenie warsztat samochodowy, prowadząc pasiekę, wypożyczając więźniów do prac „na mieście", a nawet przymykając oczy – oczywiście niebezinteresownie – na to, że ci w czasie odbywania kar znajdują się we własnych domach czy sprowadzają sobie kobiety i narkotyki do cel.

> W rosyjskich koloniach karnych rządzi pieniądz, a korupcja jest powszechna. Porządku pilnują recydywiści współpracujący ze służbą więzienną, pobicia, gwałty i podejrzane wypadki są na porządku dziennym. Ale uczty z kawiorem i alkoholem też się zdarzają

Podobnych przypadków w ostatnich latach odnotowano w Rosji wiele. Mocno bulwersujące było nagranie wideo przedstawiające wspólną ucztę więzienną Czeczenów, w tym Zaura Dadajewa skazanego za zabójstwo Borysa Niemcowa. W uchodzącej za jedną z najgorszych w Federacji Rosyjskiej kolonii karnej nr 37, znajdującej się w syberyjskim Kemerowie, skąd regularnie napływają informacje o biciu i torturowaniu więźniów, dla tych, którzy byli w stanie się wkupić w łaski strażników, zorganizowano przyjęcie z pieczonym prosiakiem, o alkoholu nie wspominając. W rosyjskich koloniach karnych rządzi bowiem pieniądz, a korupcja jest powszechna. Jak wspomina Michaił Chodorkowski, im bardziej znany więzień, tym – paradoksalnie – ma lepiej, bo obsługa boi się rozgłosu i związanych z nim kłopotów. Zainteresowanie mediów, gdyby osadzonemu coś się stało, oznacza inspekcję centrali i gwarantowane problemy. A nikt nie chce być pod obserwacją naczalstwa, również z tego względu, że prywatne biznesy służby więziennej, którymi obrosły rosyjskie zakłady karne, w takich sytuacjach mogą być zagrożone.

NIC NIE JEST PRZESĄDZONE

W przypadku Nawalnego władze mają wszystkie atuty w ręku. Mogą umieścić go w więzieniu „dla wybranych", gdzie warunki są lepsze, praca mniej wyniszczająca, a dodatkowo dostępne są książki i ułatwione kontakty ze światem zewnętrznym. Mogą go też zatrzymać profilaktycznie w Moskwie, gdzie panują lepsze warunki, ale izolacja i odcięcie od świata są bardziej dolegliwe. Wreszcie mogą się zdecydować na wysłanie go do którejś z wielu rosyjskich zwyczajnych kolonii karnych, gdzie rządzi przemoc, porządku pilnują recydywiści współpracujący ze służbą więzienną, a pobicia, gwałty i podejrzane wypadki są na porządku dziennym. Z punktu widzenia Kremla skazanie Nawalnego to dopiero początek, a nie koniec gry.

eprasa.pl d563a9d9f8



Chorwacka scena polityczna znajduje się w ciekawej fazie. Po długotrwałej dominacji konserwatywnej Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej (Hrvatska demokratska zajednica – HDZ) i lewicowej Partii Socjaldemokratycznej (Socijaldemokratska partija – SDP) powoli powstaje trzecia opcja, która krytykuje ten duopol za gospodarczą i społeczną stagnację, w jakiej znalazło się państwo. Mówi otwarcie o postkomunistycznym układzie (w obu ugrupowaniach znajduje się duża liczba byłych komunistów), który należy złamać.

Ruch Ojczyźniany (Domovinski pokret – DP), Most i Suwerenyści ze swoimi 24 przedstawicielami mają dość silny konserwatywny blok w parlamencie. Są to partie, które pozycjonują się od centroprawicy do prawicy, ale nie widzą swojej politycznej przyszłości w głównym nurcie europejskich partii chadeckich, wchodzących w skład Europejskiej Partii Ludowej.

Największą z nich jest Ruch Ojczyźniany, którym kieruje popularny muzyk Miroslav Škoro. Partię założył po ubiegłorocznych wyborach prezydenckich, w których uzyskał trzeci wynik (wygrał lewicowy kandydat Zoran Milanović). Charyzmatyczny Škoro stopniowo poszerza swój elektorat, a jego partia jest już trzecią siłą polityczną w kraju.

Powiedziałem „dość”

Z Miroslavem Škorą rozmawia Goran Andrijanić

Jest pan muzykiem, który zdecydował się zaangażować w politykę. Politycy, którzy odnieśli sukces w show-biznesie przed karierą polityczną, nie są rzadkością. Najbardziej znany jest były prezydent USA Ronald Reagan, a obecnie to prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski. Jednak w takich sytuacjach zawsze pojawia się pytanie o motywy wpłynięcia na burzliwe wody polityczne. Jakie były pana powody?

Miroslav Škoro: Chociaż opinia publiczna często postrzegała mnie „tylko” jako piosenkarza, to jednak do czasu mojego zaangażowania politycznego działałem na różnych polach. Z zawodu jestem inżynierem budownictwa i ekonomistą, zajmowałem się m.in. zarządzaniem dużymi systemami. Uzyskałem doktorat z ekonomii, byłem współwłaścicielem kilku firm m.in. zajmujących się informatyką, własnością intelektualną i produkcją wina.

Mam również pewne doświadczenie w dyplomacji i polityce jako pierwszy konsul generalny Chorwacji na Węgrzech oraz poseł do parlamentu w 2008 r.

Po tym, jak na własnej skórze doświadczyłem, na czym polega prowadzenie interesów i uczciwie zarabianie na życie w Chorwacji, zdałem sobie sprawę, że ci, którzy prowadzą nas od dziesięcioleci, nie wykonują dobrze swojej pracy. Ośmiornica klientelizmu i korupcji oplotła swoimi mackami wszystkie sfery społeczeństwa. My – podatnicy, przedsiębiorcy, obywatele – musimy zasilać ten ogromny system. Powiedziałem „dość”. Nie mogę siedzieć bezczynnie i pozwolić naszym dzieciom i wnukom stać się niewolnikami w kajdanach duopolu, którego żadna trzecia opcja nie zdołała obalić w ciągu 30 lat od uzyskania przez Chorwację niepodległości. Postanowiłem wraz z moim przyjacielem Mariem Radiciem, czołowym przedsiębiorcą i intelektualistą, przenieść się do skażonej przestrzeni politycznej z długoterminowym celem oczyszczenia systemu z pasożytów i zapewnienia Chorwatom warunków do godnego życia.

Czy może pan przybliżyć polskim czytelnikom obecną sytuację polityczną w Chorwacji? Mówiąc o niej, często używa się terminu „duopol”, który odnosi się do systemu zdominowanego przez partie HDZ i SDP. O co w tym wszystkim chodzi?

Walka z duopolem HDZ i SDP jest wpisana w główne cele programowe Ruchu Ojczyźnianego, za nią opowiadałem się w kampanii prezydenckiej. Kiedy dajesz komuś szansę przez

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl d563a9d9f8



Fot. Archiwum prywatne

30 lat, a on nie wykorzystuje tej okazji, ale jej nadużywa, to czas powiedzieć „wystarczy". Nie używam wyrażenia „duopol" HDZ-SDP w kontekście światopoglądowym; ponadto umieściłem te dwie opcje polityczne w tym samym koszyku właśnie dlatego, że mają więcej podobieństw niż różnic. Ani HDZ nie jest chadecka czy konserwatywna, ani SDP socjaldemokratyczna, lewicowa czy społeczna. To dwa bliźniaki syjamskie, dwie twarze tego samego medalu, który pochodzi z partii komunistycznej. Łączy je czerpanie z zasobów naszej ojczyzny, jeżdżenie po budżecie i majątku publicznym, a także zupełny brak talentu do zrozumienia wolnego rynku i przedsiębiorczości.

Łączy je manipulacja wartościami światopoglądowymi, jak im to odpowiada. Łączy korupcja, która sięga aż do Trybunału Konstytucyjnego, w którym każdy jej przedstawiciel ma własny parasol.

Ruch Ojczyźniany jest odpowiedzią na elity polityczne, które nie rozwijają państwa chorwackiego zgodnie z jego potrzebami historycznymi, gospodarczymi, geostrategicznymi i demograficznymi, ale w interesie zagranicznych centrali, które nie szanują narodowego interesu suwerennej Republiki Chorwacji. Są złymi sługami złych panów.

Ruch Ojczyźniany to...

Chorwackie media często próbują złośliwie określać Ruch Ojczyźniany jako skrajnie prawicową opcję polityczną, ale my odrzucamy podziały na lewicę i prawicę. Akceptujemy tylko podział na suwerenność i globalizm. Ruch Ojczyźniany to patriotyczna, suwerenna trzecia opcja – alternatywa, dla której miłość do ojczyzny, szacunek dla niej, dla rodziny i tradycji to najważniejsze wartości, które reprezentuje. Mamy też świadomość, że Chorwacja jest obciążona trudną spuścizną z czasów komunistycznych, a wielu byłych komunistów zachowało władzę po przemianach demokratycznych.

Misją Ruchu jest powrót odpowiedzialności w polityce i zgromadzenie wszystkich sił patriotycznych w ojczyźnie i na emigracji w celu przeprowadzenia niezbędnych zmian właśnie teraz, w momencie tak ważnym dla naszej, ale też europejskiej i światowej historii.

Najlepszym sposobem na ożywienie jest zmiana i przywrócenie zaufania do polityki i rządu (badanie Eurobarometru z 2019 r. pokazuje, że aż 84 proc. obywateli nie ufa rządowi i parlamentowi; Chorwacja jest pierwsza w UE pod względem odsetka obywateli, którzy nie mają zaufania do instytucji państwowych). Potrzebne jest planowanie strategiczne i wdrażanie reform mające na celu poprawę jakości życia w Republice Chorwacji.

Jak pan ocenia obecną politykę Unii Europejskiej? Na przykład spory dotyczące tzw. mechanizmu praworządności. Czy popiera pan stanowisko Węgier i Polski, które

eprasa.pl d563a9d9f8

widziały w tym mechanizmie próbę politycznej kontroli Brukseli?

DP opowiada się za utrzymaniem suwerenności przez państwa Wspólnoty w celu podejmowania najważniejszych decyzji dotyczących przyszłości swoich narodów. Kryzys covidowy dobitnie pokazał, że rola państwa narodowego jest kluczowa, a Komisja Europejska nie jest w stanie skutecznie zarządzać tą sytuacją. Widzimy to na przykładzie zamówień i dystrybucji szczepionek, które nie idą zgodnie z planem, więc teraz poszczególne państwa członkowskie znajdują własne rozwiązania. Słabnie siła UE. Jej udział w światowym PKB stale spada. Wspólnota ma też poważne problemy demograficzne. Brukselska centrala jest maksymalnie zbiurokratyzowana i sama w sobie w dużej mierze dysfunkcyjna. Administracja publiczna w Chorwacji działa w podobny sposób i nie odpowiada na potrzeby naszych obywateli. To dużo kosztuje, a służy tylko zatrudnionym tam urzędnikom.

Z perspektywy Chorwacji Bruksela nie może się stać nowym Belgradem. Nasz naród wystarczająco wycierpiał z powodu polityki, która została nam narzucona z zewnątrz i nie chroniła naszych podstawowych interesów. Dlatego jesteśmy bardzo wrażliwi na wszelkie próby scentralizowania władzy w jednym miejscu.

Jeśli chodzi o spory dotyczące praworządności, zdecydowanie popieramy suwerenne prawo każdego członka do samodzielnego rozstrzygania tych kwestii. Wyrażenie „praworządność" nie może się stać środkiem ideologicznego rozliczenia i tak właśnie dzieje się w tym przypadku. Myślę, że chorwacki rząd powinien był udzielić silniejszego wsparcia Polsce i Węgrom w tej sprawie.

W pana ocenie działania Grupy Wyszehradzkiej i takie inicjatywy polityczne, jak projekt Trójmorza, które starają się silniej zintegrować obszar Europy Środkowej, powinny odgrywać większą rolę w UE?

Zasadniczo Chorwacja musi lepiej tworzyć sojusze w Unii. Jako najnowszy członek może lepiej wykorzystać wszystkie oferowane możliwości, ale tego nie robi. Grupa Wyszehradzka to ramy, które okazały się bardzo przydatne dla krajów Europy Środkowej, wiele nas z nimi łączy, w tym niektóre interesy. Widzimy, że ta grupa dobrze wyraża swoje stanowisko na szczeblu UE, niezależnie od tego, kto sprawuje władzę. Najlepiej było to widać w przypadku polityki migracyjnej, kiedy członkowie Grupy Wyszehradzkiej sprzeciwiali się kwotom narzucanym przez innych. DP będzie się opowiadać za rozwijaniem przez Chorwację lepszych stosunków z V-4. Widzimy tutaj ogromne możliwości współpracy.

Obecnie w Polsce toczą się poważne debaty na temat zakazu aborcji eugenicznej. Jak pan to skomentuje?

Ruch Ojczyźniany od samego początku opowiadał się za ochroną życia od poczęcia do naturalnej śmierci, z profilaktyką, edukacją, także społecznym, ekonomicznym, psychologicznym, jeśli to potrzebne, i moralnym wsparciem dla kobiet. Aborcja w Chorwacji jest legalna na mocy decyzji Trybunału Konstytucyjnego. Ostatecznie kwestia aborcji zawsze pozostanie konstytucyjnie gwarantowanym prawem kobiet. Ale czy jest to aborcja eugeniczna, czy jakakolwiek inna, myślenie o aborcji rodzi przede wszystkim pytanie, czy jako społeczeństwo zrobiliśmy wszystko, aby ułatwić matce podjęcie decyzji o porodzie? Czy stworzyliśmy jej warunki do godnego wychowania dziecka? Kiedy jako państwo dojdziemy do poziomu, na którym kobieta nie będzie chciała lub nie będzie rozważać aborcji jako opcji, mówienie o zakazach przestanie być potrzebne.

Jak dobrze zna pan Polskę i polską kulturę? Jak ocenia pan chorwacko-polską współpracę?

Znam Polskę całkiem dobrze. Byłem kilkakrotnie zapraszany zarówno na koncerty, jak i gościnne występy w programach telewizyjnych. Polacy słuchali moich piosenek na wakacjach nad Adriatykiem, a potem chcieli usłyszeć, jak śpiewam w ich kraju.

Szczególną uwagę Chorwatów na Polskę zwrócił Jan Paweł II, który trzykrotnie odwiedził nasz kraj w krytycznym okresie, w trakcie i po wojnie o ojczyznę. Watykan, za jego pontyfikatu, jako jeden z pierwszych krajów, uznał niepodległą Chorwację. Jan Paweł II był wielkim przyjacielem Chorwatów, dobrze rozumiał nasze problemy, które odziedziczyliśmy po komunizmie, ponieważ Polska też była za żelazną kurtyną.

Wydawnictwo Fronda PL
przeprasza Międzynarodowe
Centrum Kultury w Krakowie,
pomysłodawcę, redaktora
i wydawcę encyklopedii
„Polski Petersburg"
(www.polskipetersburg.pl)
oraz autorów encyklopedii za liczne
naruszenia praw autorskich
poprzez wykorzystanie
cudzych utworów w książce
„Jak stwarzaliśmy Rosję"
bez uzyskania wymaganej prawem
zgody i bez poszanowania zasad
prawa autorskiego.

32/0221/F

eprasa.pl d563a9d9f8



Krawawe zapusty Jakuba Szeli

W lutym 1846 r. na Podkarpaciu doszło do największego powstania chłopskiego w Galicji. Brutalnie zamordowano setki ludzi, splądrowano większość dworów i sporo plebanii. Była to intryga austriackiej administracji, ale nie doszłoby do niej, gdyby chłopów nie doprowadzono na skraj buntu

Ksiądz Karol Antoniewicz zdążył już wiele w życiu zobaczyć. Był sporo po czterdziestce i zanim został jezuitą, walczył w powstaniu listopadowym, zarządzał sporym majątkiem, a nawet spłodził piątkę dzieci, z których żadne jednak nie przeżyło okresu niemowlęctwa. Dość powszechnie uznawano go za jednego z najzdolniejszych misjonarzy połowy XIX w. – choć jego misje odbywały się nie w egzotycznych zakątkach globu wśród dzikich plemion, lecz wśród prostej ludności Śląska i Wielkopolski.



WOJCIECH LADA

W 1846 r. ks. Antoniewicz, na osobistą prośbę gubernatora Galicji, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, został wysłany na Podkarpacie, by wybadać nastroje wśród miejscowych chłopów, zaraz po krwawej rzezi szlachty, w wyniku której zginęło około tysiąca osób, spłonęło i zostało obrabowanych blisko 500 dworów i 50 plebanii. Na miejscu ks. Antoniewicz spotkał się z niechętnym przyjęciem. „Jeszcze namiętności w sercach wrzały (...) jeszcze krew przelana się kurzyła (...) wszelka powaga kapłańska, wszelka powaga boska i ludzka zniszczona (...) wszelkie pojęcia ludu pomieszane były. Sami nie wiedzieli, czy to, co uczynili, było dobrym czy złym, czy na nagrodę, czy na karę zasłużyli" – zanotował wówczas.

Spisał też zasłyszaną zapewne opowieść o wydarzeniach, która kilka dni

Fot. Reprodukcja Pesel/Wikipedia

eprasa.pl d563a9d9f8

wcześniej rozegrały się w majątku Bobowa: „Brzękły pod cepami szyby okien zamkowych, dębowe drzwi nie mogą wytrzymać silnych razów obucha potężnego: w jednej chwili zamek rozjuszonym chłopstwem zapełniony; rozwalają piece, rąbią posadzki, gruchcą sprzęty, rąbią, niszczą, łamią, jakby w każdym kamieniu, w każdej cegle wroga widzieli, co ich zemstę obudza; inni wpadają do gumna, stodoły, obory, zajeżdżają wozy, ładują snopy. Baby w płachty ziarno zgarniają, parobcy woły i konie wprowadzają ze stajen, i w kilka godzin dwór zamożny w pustkę okropną przemieniony został".

Na tle tego dzikiego chaosu bardzo osobliwie wyróżniała się postać wysokiego, masywnie zbudowanego chłopa z wąsem i opadającymi na ramiona włosami. Podczas gdy wszyscy inni wpadli w trans dzikiej orgii zabijania i grabienia – on tylko stał spokojnie i wskazywał chłopom, kogo zabić, a kogo oszczędzić. Wyglądał, jakby dyrygował chaosem, w dodatku z dużym powodzeniem – wszyscy słuchali go bez zadawania pytań. O ile wiadomo, sam nikogo nie zamordował i prawdopodobnie niczego też nie ukradł. Nazywał się Jakub Szela i to właśnie on na pewien czas został prawdziwym władcą tej części Galicji.

DYRYGENT CHAOSU

Tego dnia dobiegał już sześćdziesiątki, co w tamtych czasach było wiekiem sędziwym, ale zupełnie na to nie wyglądał. Postawny, silny, muskularny – na pierwszy rzut oka było widać, że należy do zamożniejszych kmieci, nie przepracowuje się, a jednocześnie odżywia ponad galicyjską przeciętność. Nie ukrywał tego. „Wiesz Antek, jak ja zjem co roku dwa ciołki i świnię, to mam siłę" – powiedział kiedyś swojemu szwagrowi, Andrzejowi Szydłowskiemu. Wrażenie to potęgowała bijąca z niego energia. Podobno wiele lat wcześniej, kiedy miał zostać wcielony do austriackiego wojska, bez namysłu chwycił siekierę i odrąbał sobie dwa palce – dokładnie te, które umożliwiały strzelanie. Nie wiadomo, ile w tej historii jest prawdy, ale pasuje ona idealnie do tego, jakim człowiekiem był Szela. Choć bez wykształcenia – niewątpliwie bardzo inteligentnym, a przy tym zdecydowanym, błyskawicznie podejmującym decyzje i bardzo niepokornym. Inaczej mówiąc, miał wszelkie cechy urodzonego przywódcy i istotnie był nim długo przed galicyjską rzezią roku 46.

„Na tle prostej wiejskiej społeczności wyróżniał się stanowczym charakterem i bystrym umysłem, miał we wsi poważanie, a dzięki swej nieustępliwej i zdecydowanej postawie wobec dworu został wybrany przez gromadę na ich reprezentanta. Teraz on, jako ich plenipotent, przedstawiał w imieniu wsi skargi w wyższych instancjach" – pisał Krzysztof R. Traciłowski. Uznanie lokalnej społeczności zapewnił sobie Szela długoletnim sporem z właścicielami tamtejszych ziem, rodziną Boguszów. „Jakkolwiek byli dobrzy patrioci, to chłopów traktowali po szlachecku, a Szeli dawali uczuć swą władzę dotkliwie" – przyznawał Bolesław Limanowski. Konflikt dotyczył głównie pańszczyzny. Zdaniem chłopów wymagano od nich 81 dni pańszczyzny więcej, niż ustalał to tzw. patent urbarialny cesarza Józefa II – domagali się zatem odszkodowania w wysokości 60 lub 80 tys. zł reńskich – tu źródła nie są zgodne. Szela całkowicie zgadzał się z tą opinią i podjął się załatwienia sprawy w wyższych instancjach cesarstwa. On sam był dostatecznie zamożny, ale widział przecież, że jego sąsiedzi żywią się głównie lebiodą i gorczycą, a o straszliwej galicyjskiej biedzie donoszono nawet w oficjalnej prasie.

Nie umiał pisać, ale miał pieniądze, więc stać go było na wynajęcie pisarza. Z jego pomocą formułował i wysyłał kolejne skargi. Początkowo do Tarnowa, a gdy to nie przynosiło efektu – wysyłał, a nawet osobiście zawoził kolejne zażalenie do stolicy Galicji, czyli do Lwowa. Rodzina Boguszów nie przebierała w środkach. Najpierw usiłowała załatwić sprawę administracyjnie, ale rzecz ciekawa urzędnicy w Wiedniu nie zgodzili się na usunięcie Szeli z funkcji reprezentanta gminy. Skoro nie dało to efektu, potraktowano Szelę siłą. 28 listopada 1832 r. zakuto go w kajdany i więziono przez siedem tygodni – bezprawnie, bo prawo zezwalało na areszt nie dłuższy niż tydzień. Kiedy wreszcie wyszedł na wolność, niewiele myśląc, napisał kolejną skargę do Lwowa.

Wszystko to zapewniło mu nie tylko szacunek lokalnej społeczności i legendę, która promieniowała daleko poza jego rodzinną Smarżową, ale też uczyniła z tego prostego i nieokrzesanego chłopa osobę na swój sposób światłą i światową. Chłopi rzadko w ciągu swojego życia oddalali się od rodzinnej zagrody – Szela tymczasem odwiedzał wielkie miasta, nauczył się poruszania w meandrach austriackich urzędów i całkiem nieźle orientował się w prawie.

MIT DOBREGO CESARZA



Dla jednych rzeź galicyjska była spontanicznym aktem zemsty lokalnego chłopstwa, dla innych zaś wynikiem pokrętnych działań cesarskiej administracji. Prawda zaś jest taka, że była jednym i drugim jednocześnie. Bezpośrednio po rozbiorach Polski galicyjscy chłopi mieli prawo sądzić, że wreszcie uśmiechnęło się do nich szczęście. Habsburgowie byli światłymi władcami i woleli kontrolować i zarządzać swoimi poddanymi, a nie tylko bezmyślnie ich eksploatować. Tym bardziej że w okresie wojen napoleońskich bardzo zależało im na pozyskaniu rekruta także z galicyjskich wsi. Rozbudowywali więc aparat administracji, który 100 lat później osiągnie karykaturalne rozmiary – co

Fot. Polona.pl

eprasa.pl d563a9d9f8

opisze choćby Fraz Kafka w „Zamku" – tymczasem jednak spełniał on swoją funkcję, dążąc do respektowania jednolitego prawa w najodleglejszych zakątkach tej wielonarodowej monarchii.

Dodatkowo cesarz Józef II był władcą bardzo czułym na sprawy wsi. Samowolne zabicie chłopa zostało zakazane, a przy innych karach musiał być obecny urzędnik państwowy. Cesarz przyznał chłopom swobodę przemieszczania się, wyboru rzemiosła, a w przypadku klęsk żywiołowych pan zobowiązany został do dostarczenia ziarna pod zasiew. Nawet w niewielkich miejscowościach powstawały jedno- lub trzyklasowe szkoły. Dla chłopa ojczyzną była najbliższa okolica, a władcą – właściciel najbliższego folwarku. Gdzie ustalano prawa – w Warszawie czy Wiedniu – nie miało dla nich żadnego znaczenia. Nawet Kościół nie był tu ostoją polskości – większość probostw została obsadzona duchownymi austriackimi. Nic więc dziwnego, że reformy wytworzyły wśród chłopów bardzo silny mit dobrego cesarza, nawet jeśli kolejni władcy nie zamierzali kontynuować dzieła Józefa II, a większość jego postanowień pozostała na papierze.

W tej sytuacji polska szlachta, która z oporami respektowała postanowienia Wiednia i w dalszym ciągu, jak za dziada i pradziada hojnie stosowała chłostę, zawyżała pańszczyznę i generalnie traktowała chłopów brutalnie – postrzegana była przez nich jako największe zagrożenie, przed którym może ich uratować jedynie austriacki urzędnik, urastający w ten sposób do symbolu dobra i sprawiedliwości. „Lud polski, plemię może w całej Rzeczpospolitej najdzielniejsze (...) nie uważające się za jedno z Polakami, nie cierpiące szlachty jako panów i Polaków, ufające rządowi, który ma za ojcowski" – idealnie trafiał w sedno Seweryn Goszczyński.

I dlatego właśnie takie postaci jak Szela – umiejące ominąć polską szlachtę i osobiście kontaktować się z cesarskimi urzędnikami – stawały się tak ważne dla lokalnych społeczności Galicji.

CENNIK ZWŁOK

Ale nie bez racji są również ci, którzy w rzezi galicyjskiej widzą efekt knowań austriackich. Rok 1846 to moment wybuchu kolejnego polskiego powstania. Także w Galicji, w najbardziej nawet zapadłych folwarkach, młodzi szlachcice kupowali broń i szykowali plany opanowania najbliższych miast. Napięcie było widoczne gołym okiem, a przywódcy spisków w okolicach Tarnowa – Edward Dembowski i Franciszek Wiesiołowski – byli nieustannie namierzani przez policję. Kłopot w tym, że akurat w tych okolicach nie stacjonowały żadne poważniejsze siły wojskowe, a te, które były, należały raczej do drugiego sortu. Nie z zaniedbania – po prostu ta granica należała do najbezpieczniejszych. Joseph Breinl von Wallerstern, od 1835 r. starosta w Tarnowie, miał się więc czego obawiać i najprawdopodobniej to właśnie on wpadł na katastrofalny w skutkach pomysł podburzenia chłopów przeciwko szlachcie.

„Paru tygodniami przed 22 lutego krążyła ta wieść między ludem, a zwłaszcza po karczmach, iż ze dworów panowie ze swoimi lokajami będą w nocy wycieczkę czynić na wsie i ludzi prostych, wieśniaków w pień rżnąć, snadź, aby ich grunta w posiadanie pobrać" – pisał ks. Popławski z Niegowici. Chłopi też nie byli ślepi. Widzieli, że panowie istotnie się zbroją, tego rodzaju pogłoski stawały się więc bardzo wiarygodne.

Sam Szela zresztą wcale nie ukrywał, że polecenie wzniecenia buntu otrzymał od Breinla. W jego chacie znalazły schronienie Maria Bogusz, jej siostra i teściowa. Maria zanotowała wówczas słowa Szeli: „Byłem wzywany do cyrkułu na trzy tygodnie wprzód. Powiedział mi starosta: Szelo! Daję ci nieograniczoną władzę robienia w tych wsiach, co ci się będą zdawać. Uważ, co ty znaczysz! Arcyksiążę Ferdynand jeden, a ty drugi w Galicji – jesteś plenipotentem".

Jeśli wierzyć tej relacji, Austriacy wyznaczyli nawet cennik. Za dostarczenie trupa szlachcica płacono 10, za pokaleczonego – 8, za zdrowego – 5 florenów. Już sama ta taryfa była prostą zachętą do dzikiej brutalności. Być może osobliwa logika chłopskiego tłumu przekalkulowała ją w ten sposób, że najcenniejszy stawał się trup odpowiednio okaleczony – przypadki znęcania się nad zwłokami były w każdym razie zjawiskiem powszechnym. W przytaczanym już opisie napadu na Bobową ks. Antoniewicz wspominał dalej: „Padło już kilka ofiar pod cepami zbójeckimi, napadają mordercy na dom proboszcza, który skrył się zawczasu, dostają się do izby sypialnej, tu znajdują p. Sadowskiego (...) Poznany, znieważony najsromotniej, okropną, męczeńską ginie śmiercią. Wywleczony trup na podwórze staje się przedmiotem pastwienia się zwierzęcego, strzelają do trupa, oczy mu wypalają".

„Rzeź to dobre określenie tego, co nastąpiło. Konne zaprzęgi załadowane martwymi i niedobitymi ludźmi zjeżdżały do Tarnowa" – pisał Traciłowski. On też zauważył, że zwłoki były tak zmasakrowane, że ze 146 udało się zidentyfikować tylko 30. Podobno zdarzało się, że chłopi z okręgu bocheńskiego wieźli swój upiorny łup do Tarnowa, bo Breinl płacił więcej niż ich starosta Karol Bernd.

Rzecz ciekawa, Szela pozostał w całym tym chaosie chłodny i wyrachowany. Breinl zezwolił mu na orgię mordów i rabunków przez równo dobę i istotnie – nawet jeśli po upływie tego czasu schwytano jakiegoś szlachcica, Szela nie pozwalał go zabijać, a co najwyżej solidnie obić. Zwraca uwagę również to, że zasadniczo nie pozwalał znęcać się nad kobietami – o przypadkach gwałtów w każdym razie nic nie słychać – a kobiety z rodziny znienawidzonych Boguszów znalazły schronienie w jego chacie. W sumie zginęło ich 14 – co jak na skalę ofiar stanowiło bardzo niewielki procent. Cała rzeź nie była więc aż tak bezmyślna, jak zazwyczaj się o niej myśli.

Nie do końca słusznie uznaje się też Szelę za przywódcę buntu. Owszem, został jego symbolem, ale już po zakończeniu rzezi. W rzeczywistości ogniska tej chłopskiej rewolucji wybuchły niezależnie od siebie w kilku powiatach i w każdym miały innego przywódcę – Szela działał w okolicach Jasła.

O ile nie ma wątpliwości, że do rabacji galicyjskiej doszło z podpuszczenia Josepha Breinla i innych lokalnych starostów, o tyle nie wiadomo, czy maczał w tym palce Wiedeń. Odwołanie z funkcji gubernatora Galicji księcia d'Este mogłoby temu przeczyć.

Tak czy inaczej Breinl nie porzucił Szeli. Aby uchronić przed zemstą szlachty, początkowo osadził go w Tarnowie, później zaś ofiarował mu ziemię na Bukowinie, gdzie przeżył spokojnie ostatnich kilkanaście lat swojego wyjątkowo długiego życia.

eprasa.pl d563a9d9f8



Była na ekranie księżniczką i wiedźmą. Białą Królową i Kobietą-Kotem. Ubierała się u Prady i przemierzała kosmos. W odpowiedzi na pandemię Anne Hathaway zagrała w filmie „Skazani na siebie”

Skazana na siebie

Fot. materiały prasowe HBO

eprasa.pl d563a9d9f8



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Odkąd – równo dwie dekady temu – skradła serca nastolatek rolą w „Pamiętniku księżniczki”, Anne Hathaway umacniała pozycję ulubienicy widzów. Z jej urodą, stylem i wdziękiem była wręcz skazana na sukces popularności. Teraz dzięki bohaterce „Skazanych na siebie” ma szansę odbudować nadwerężoną w ostatnim czasie sympatię publiczności.

MALINY I WIEDŹMY

Jako filmowa menedżerka, której lockdown przypomniał, kim była parę lat wcześniej, może odsunie na dalszy plan wspomnienie nominacji do Złotych Malin (pierwszych w karierze) – za najgorsze role w aż dwóch premierach 2019 r. Ma też szansę zatrzeć niemiłe wrażenie po reakcjach na rolę w filmie Roberta Zemeckisa „Wiedźmy” (2020). Zabieg charakteryzatorski, który zniekształcił dłonie granej przez nią Wielkiej Czarownicy, wywołał protesty osób z niepełnosprawnościami. Aktorka przeprosiła na Instagramie (zwłaszcza dzieci z deformacjami kończyn), zapewniając jednocześnie, że „robi wszystko, co w jej mocy, by być wrażliwą na uczucia i doświadczenia innych”. W tym duchu zabrała też głos w innej sprawie.

NOWE DEFINICJE

38-letnia dziś Hathaway w 2019 r. po raz drugi została mamą (jej starszy synek skończy w marcu pięć lat). Informacją o ciąży podzieliła się tuż przed narodzinami dziecka. W instagramowym wpisie solidaryzowała się z tymi, którzy długo i z problemami starali się o potomstwo. Sama też przez kilka lat próbowała zajść w ciążę, więc rozumie, jaki koszmar przeżywają ci, którym nie dane jest powiększenie rodziny.

W roli matki Anne Hathaway sprawdza się głównie prywatnie. Na ekranie jej postaci stają przed innymi życiowymi problemami i wyzwaniami. Bohaterka filmu „Skazani na siebie” (który do końca lutego możemy oglądać na platformie HBO GO, a od 7 marca w głównym kanale HBO) to wysoko ustawiona menedżerka, coraz bardziej rozczarowana korporacyjnymi regułami gry. Lockdown zamyka ją w londyńskim mieszkaniu. Ale nie samą. Na przymusowy urlop zostaje wysłany także jej dotychczasowy partner (Chiwetel Ejiofor). „Skazani na siebie” przez 24 godziny na dobę bohaterowie zmuszeni są na nowo zdefiniować relacje między sobą. Nie jest to łatwe, bo chwilę wcześniej postanowili się rozstać.

JAK AUDREY I JUDY

W postaci Lindy można odnaleźć cechy wielu bohaterek granych przez Hathaway. Także tych z początków jej kariery, gdy czarowała widzów ujmującą dziewczęcością i spontanicznością.

Córka aktorki i prawnika, siostra dwóch braci, przygodę z aktorstwem zaczęła jako nastolatka. Na małym ekranie debiutowała w 1999 r. w familijnym serialu „Get Real” („Luzik guzik”). Dwa lata później rola Mii Thermopolis przyniosła jej międzynarodową popularność. Garry Marshall, reżyser „Pamiętnika księżniczki”, widział w niej połączony wdzięk Julii Roberts, Audrey Hepburn i Judy Garland.

W 2005 r. jej nazwisko pojawiło się na plakatach głośnego filmu „Tajemnica Brokeback Mountain”. Rok później wzbudziła zachwyty, stając u boku Meryl Streep na planie filmu „Diabeł ubiera się u Prady”. Kolejny sezon dał jej szansę na zmierzenie się m.in. z kostiumową postacią w „Zakochanej Jane” (scenariusz tego filmu oparto na listach Jane Austen), a w 2008 r. mogła zabłysnąć współczesną pierwszoplanową rolą w niezależnej produkcji „Rachel wychodzi za mąż”. Jako ekranowa Kym – która prosto z odwyku trafia na ślub siostry i wywołuje rodzinne trzęsienie ziemi – Anne dostała pierwszą szansę na Oscara.

WOKALNE ZDOLNOŚCI

Nim doczekała się kolejnej nominacji (tej, która zaowocowała zdobyciem statuetki złotego rycerza za drugoplanową rolę w filmie „Les Misérables. Nędznicy” (2013), na planie komedii romantycznej „Ślubne wojny” (2009) stworzyła brawurowy duet z Kate Hudson; zagrała też Białą Królową w produkcji Tima Burtona „Alicja w Krainie Czarów” (2010) i została Kobietą-Kotem w filmie Christophera Nolana „Mroczny rycerz powstaje” (2012).

Dla roli w musicalowej adaptacji „Nędzników” zdecydowała się na obcięcie włosów przed kamerą i wykazała zdolnościami wokalnymi. Przede wszystkim jednak, dla uwiarygodnienia sceny śmierci Fantine, schudła 11 kg.

Rok 2014 zapisał się w jej karierze wyprawą w kosmos („Interstellar: Droga do gwiazd”). W następnym stworzyła duet z Robertem De Niro w obyczajowej komedii „Praktykant”, by w 2018 r. dołączyć do obsady „Ocean's 8”.

Na 2021 r. zapowiadana jest premiera brazylijsko-amerykańskiej produkcji „Armageddon Time”. Na jej planie Anne Hathaway spotkała m.in. Cate Blanchett i Roberta De Niro.

Fot. materiały prasowe HBO

eprasa.pl d563a9d9f8

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Dlaczego właśnie Osiecka?

Przebrzmiał ostatni, 13. odcinek „Osieckiej". Smutny, bo o umieraniu. Można odnieść wrażenie, że tak jak co drugi Polak jest lekarzem, tak więcej niż połowa zmieniła się nagle w ekspertów od tej postaci.

Duża część debaty to rytualny bełkot. Tomasz Raczek ogłosił, że TVP nie jest godna kręcenia filmu o Agnieszce Osieckiej i wielu to powtarza. Tak jakby Robert Gliński i Michał Rosa, reżyserzy, oraz ekipa scenarzystów z Maciejem Wojtyszką na czele, pozwolili nakręcić serial Jackowi Kurskiemu.

Ten ton był tak przemożny, że obie aktorki grające Osiecką, Eliza Rycembel i Magdalena Popławska, zaczęły się tłumaczyć. Czasem efektem były zdumiewające, niby merytoryczne wnioski. Adriana Prodeus uznała w „Vogue", że autorkę piosenek ciężko skrzywdzono i trudno będzie teraz przywrócić jej wizerunek. Ale kiedy czytam, że „twórcy serialu deformują Osiecką, żeby pokazać jej brzydotę moralną", mam wrażenie, że oglądaliśmy dwa różne seriale.

Dylemat, jak pokazać artystkę ulegającą alkoholizmowi i porzucającą rodzinę i nie narazić się fanom na oskarżenie, że ją celowo oszpecono, pozostanie nierozwiązywalny. Maryla Rodowicz, jedna z tłumu niezadowolonych celebrytów, zaświadcza, że Osiecka tyle nie piła, ile w filmie. Jednocześnie słyszę relacje ludzi z Saskiej Kępy, że ostatnie odcinki wygładzają, ugrzeczniają to, co się naprawdę z nią działo, żeby nie robić przykrości rodzinie. Tak będzie zawsze, gdy się pokazuje kogoś, kto żył tak niedawno.

Z kolei ludzie o konserwatywnych poglądach dziwią się, że TVP wzięła na warsztat osobę „bezideową i oportunistyczną". Przyznam, że sam doznawałem dysonansu. Mamy kolejne zakręty historii anonsowane kronikami z epoki, a ona koncentruje się na sobie. I ugania za kolejnymi facetami. Z drugiej strony tak się składa, że to ona była autorką tekstów, które kształtowały, a niekiedy kształtują naszą wrażliwość. Także wrażliwość tych dzielniejszych od niej, dokonujących wyborów, których ona unikała. Może więc było warto?

Mam poczucie, że serial unika wielu kontrowersji, również politycznych. Daniel Passent to w tym ujęciu tylko porzucony przez Osiecką mąż, grany na dokładkę przez chłopaczkowatego Piotra Żurawskiego. Pokazanie go jako cynicznego gracza czyniłoby z samej poetki uczestniczkę peerelowskiej elity poruszającej się zygzakiem od kompromisu do kompromisu. Twórcy tego nie zrobili, bo zależało im, wbrew wrażeniu pani Prodeus, nie na oszpeceniu artystki, a na zbudowaniu jej ołtarzyka. Oczywiście przy uwzględnieniu pewnych faktów, ale w minimalnych dawkach.

Mógł wyjść drapieżny portret tamtych elit, ale to nie była recepta na sukces. Widz musiał się choć trochę utożsamiać. Osiecka jest tu postacią tragiczną, zbyt rzadko zyskującą wzajemność u swoich licznych partnerów. Jeśli wypadło to nadto blado, to dlatego, że nie znaleziono właściwego tonu, popadnięto w zbytnią ilustracyjność. No i Rosa z Glińskim chyba za słabo czuli świat ówczesnego teatru, kabaretu, show-biznesu rodem z PRL.

Ale próbowali. I osiągnęli jedno. Ludzie siadali przed ekranem, aby przypomnieć sobie ówczesnych, ważnych dla nich celebrytów. I nawet jeśli Grzegorz Małecki jako Jeremi Przybora był za młody i pozbawiony kruchej inteligenckości tamtej postaci, sama dyskusja o podobieństwach i różnicach angażowała emocje, także i moje. Jędrzejowi Hycnarowi udało się oddać dzikość Marka Hłaski, choć był niepodobny.



Mogło z tego powstać coś więcej, a ja wciąż się zastanawiam, dlaczego sięgnięto właśnie po Osiecką. Ale masy widzów jakoś potwierdzają trafność tego, kompletnie nieprawicowego, wyboru.

Piotr Zaremba

3 MIŁOŚCI

Luka w orgazmie



ROBERT TEKIELI

Trzech mężczyzn w „związku poliamorycznym" wygrało batalię o to, by „ich dzieci" – urodzone przez surogatkę z „podarowanych embrionów" – miały w aktach urodzenia legalnie wpisanych trzech ojców. Rozpoczął się kolejny etap tęczowej rewolucji. Małżeństwo kobiety i mężczyzny, które jest jednym z filarów zachodniej cywilizacji, zostało zakwestionowane w wyniku prawniczego puczu. Rewolucjoniści neomarksistowscy przeszli od postulatów do czynów: instytucja tradycyjnej rodziny zaczęła być niszczona przez państwo.

W Szkocji trwają prace nad nową ustawą: krytyka ideologii gender będzie przestępstwem. Biuro ds. Praw ONZ zbiera nazwiska osób, które w jakikolwiek sposób sprzeciwiają się LGBT. Tak wygląda dziś sytuacja na froncie prawnym. Na odcinku kulturowym trwa batalia o wyobraźnię młodego pokolenia. Czy lesbijka powinna grać Casanovę, a stary Indianin Joannę d'Arc? Czy wybitny czarnoskóry aktor urodzony w Krakowie może zagrać Kazimierza Wielkiego albo Adama Mickiewicza? Nie ukrywam, że nie miałbym nic przeciwko takiemu eksperymentowi – pisze jeden ze skrajnie lewicowych polskich ideologów. Studenci uczelni artystycznej w Sztokholmie domagają się zmiany nazwy sali wystawienniczej Morze Białe – ich zdaniem jest rasistowska. Choć wydaje się to skrajnie absurdalne i nieskończenie śmieszne, w swej istocie takie nie jest. Rewolucja kulturowa Mao Tse-tunga potrzebowała milionowych zastępów zradykalizowanych do granic młodocianych hunwejbinów. Hunwejbinów neomarksistowskich wyhodowały współczesne „uniwersytety".

Nauka przestała być bastionem uniwersalnej prawdy. Minister szkolnictwa wyższego Francji stwierdził: islamolewica zagraża uniwersytetom. W sieci krąży mem z napakowanym testosteronem facetem biegaczem wygłaszającym groźbę do startującej w tym samym biegu kobiety: Masz jakiś problem, transfobie? Świat nie ma być klarowny. Posiadanie macicy nie czyni z ciebie kobiety, obecność prostaty – faceta. Różowo-czerwony kołtun negujący genetykę jednoznaczną w kwestii płci swym ideologicznym bełkotem zagłusza prawdę.

Kolejnym frontem, na którym przegrywa prawda, są kwestie gospodarcze. W miarę jak przybywa ewidentnych dowodów, że przyczyną blackoutu i katastrofy energetycznej w Teksasie była dotowana i zawodna energia odnawialna, klimatyści rozpętali kampanię zakłamywania danych. Proces deradykalizacji nie będzie łatwy – pisze na Twitterze Tomasz Wróblewski. Za chwilę taki wpis zostanie ocenzurowany: Facebook

Małżeństwo kobiety i mężczyzny, które jest jednym z filarów zachodniej cywilizacji, zostało zakwestionowane w wyniku prawniczego puczu. Rewolucjoniści neomarksistowscy przeszli od postulatów do czynów: instytucja tradycyjnej rodziny zaczęła być niszczona przez państwo

zablokował treści newsowe w Australii. Jako powód podał procedowany obecnie w parlamencie Australii projekt ustawy przewidujący wprowadzenie opłat dla gigantów technologicznych za rozpowszechnianie tych treści. Jeśli nie masz racji, musisz zastosować cenzurę. Inaczej w krótkim czasie wszyscy zobaczą, że król jest nagi. Do nierównowagi debaty publicznej przyczynia się też środowisko dziennikarskie. Według jednego z sondaży 57 proc. niemieckich dziennikarzy zagłosowałoby na Zielonych, a 23 proc. na Partię Lewicy. Na Unię i FDP jedynie 4 proc. Co symptomatyczne, informacje na ten temat nie ukazały się w niemieckiej prasie, lecz jedynie w szwajcarskiej.

Na koniec raport z frontu, na którym walczą obrońcy życia od poczęcia do naturalnej śmierci. W Wielkiej Brytanii w kartach wielu opóźnionych w rozwoju pacjentów pojawiły się informacje o tym, żeby w razie COVID-19 ich nie reanimować. Brytyjska państwowa służba zdrowia tylnymi drzwiami wprowadziła w ten sposób eugenikę. Lewicowy aktywista Jaś Kapela oświadczył natomiast, że jego partnerka zrobiła aborcję, a on bardzo żałuje, że to zabite dziecko nie było jego. I ma nadzieję, że będzie ojcem następnego zabitego dziecka. Powiedzieć: „Chcę mieć z tobą aborcję", to wyznawać satanizm w czystej postaci. Bo jak nazwać robienie sobie zabawy z cierpienia i śmierci. – Plakaty z rysunkiem dziecka w łonie matki muszą zniknąć z przestrzeni publicznej – mówi Krzysztof Śmiszek. Atak na ciepły plakat pro-life pokazuje, że ci ludzie mają jeszcze wyrzuty sumienia. Jeszcze.

I na koniec coś, czego nie potrafię skomentować. Lisa Williams i Anniki Somerville z brytyjskiego kolektywu HotBed powiedziały: „Feminizm dąży do równości kobiet i mężczyzn. Ale kobiety nadal są na straconej pozycji. Obok różnicy w wynagrodzeniu, o czym wiele się mówi, jest ogromna luka w orgazmie, który to problem jest rzadziej podnoszony". Cóż, wypada feministkom życzyć zapełnienia tej luki.

eprasa.pl d563a9d9f8

WOJNA CYWILIZACJI



POPKULTURA

Ewentualnie Okrążający bez ustanku bezludną i zlodowaciałą Ziemię pełen ludzi pociąg składający się z 1001 wagonów to obraz, który może przykuć uwagę. Netflix wypuścił kilka tygodni temu drugi sezon serialu ***„Snowpiercer”***, opartego właśnie na takiej odmianie toposu homo viator. Zaczęło się od francuskiej powieści graficznej Jeana-Marca Rochette'a i Jacques'a Loba o tytule „Le Transperceneige”, potem, w 2013 r., powstał południowokoreański film akcji z elementami s.f. pt. „Snowpiercer: Arka przyszłości”, a w 2019 r. pierwsza telewizyjna odsłona omawianego serialu.

Od kilku lat w pociągu mieszkają wszyscy ludzie, którzy przeżyli globalną katastrofę. Zlodowacenie jest skutkiem prób powstrzymania ocieplania się klimatu poprzez rozpylenie nad Ziemią substancji odbijającej promienie słoneczne. W pociągu, jak to w pociągu, mamy podział na klasy. W pierwszej mieszka pasożytnicza „elita”, w drugiej i trzeciej wykształceni fachowcy z dużych miast oraz ci, którzy w realu zbieraliby szparagi. No i są wagony dla niewolników, którzy dostali się do pociągu bez biletów i żyją jak bydło w nieludzkich warunkach. Pociąg zaś jest Arką, ma zapewnić przetrwanie ludzkości.

Zadziwia mnie, że czasami produkcje całkowicie przeciętne zdobywają wcale niemałą widownię. Oczywiście nie można oczekiwać od komiksu wiarygodności czy prawdopodobieństwa. Jednak skoro rzecz dzieje się w realnym uniwersum, to oglądanie utrudniają narzucające się pytania. Kto konserwuje tory, po których jeździ pociąg? Czemu liczący 20 km skład kursuje po całej Ziemi, a nie po jakiejś kilkusetkilometrowej pętli, którą łatwiej kontrolować? Dlaczego twórcy pomysłu komiksu wierzą, że można skonstruować perpetuum mobile, pociąg nie może się bowiem zatrzymać, a energię elektryczną produkują zasilane przez ruch generatory. W tej konwencji te pytania są nie na miejscu? Nie do końca. Nie wnikając jednak w skomplikowane kwestie konieczności akceptacji rzeczywistości przedstawionej przez widzów, zadajmy inne pytania. Czy serial ma swój klimat? Raczej nie. Miał być mroczny, jest plastikowy. Za to ideologicznie słuszny. Mocno akcentowany jest związek lesbijek, a ideologia „tych dobrych” to marksizm w czystej postaci. Słyszymy slogany o „woli ludu”, główny bohater mówi: „Mamy obowiązki wobec robotników”, społeczność pociągu ma strukturę klasową, a rozwiązaniem tej niesprawiedliwej sytuacji ma być rewolucja plebsu. Znamy konsekwencje takich politycznych konceptów.

Nie najlepiej funkcjonuje też rzemiosło filmowe. O ile scenografom i kostiumologom z łatwością przychodzi stworzenie wizji sterylnej pierwszej klasy, o tyle wagony slumsy przypominają wyobrażenia twórców Hollywood na temat średniowiecznej Transylwanii. Poza Jennifer Connelly aktorstwo jest zwyczajnie przeciętne. Nieznośne są też komputerowe krajobrazy Ziemi zniszczonej przez naukowe eksperymenty.

Bill Gates ogłosił niedawno, że chce powstrzymać ocieplenie, rozpylając nad całym globem związki chemiczne mające odbijać promienie słoneczne. Twórcy komiksu wyprzedzili go o kilkadziesiąt lat i są mądrzejsi: pomyśleli bowiem o ewentualnych negatywnych konsekwencjach nienaturalnej ingerencji w ziemski ekosystem. Bill Gates, postać z komiksu: miliarder z misją i chorą wizją świata. W popkulturowych bajkach bronią nas przed takimi superbohaterowie. Czy w świecie realnym ktoś nas obroni?



POPKULTURA

Zobaczymy Od paru dni mamy w sieci pierwszy polski serial interaktywny. Premierę pierwszego odcinka ***„Pani Ka”*** na Instagramie i Facebooku ma już za sobą. Serial opowiada o Hannie Konarowskej, aktorce, która nie radzi sobie z mediami społecznościowymi i castingami, a marzy o wielkiej karierze. O dalszym rozwoju fabuły, w tym m.in. o wyborach życiowych bohaterki będą decydować widzowie. Zobaczymy m.in. Annę Czartoryską-Niemczycką, Weronikę Rosati, Sebastiana Cybulskiego. Ciekawe, czy to, czego będą chcieli widzowie, powie nam coś nowego o naszym społeczeństwie.



POPKULTURA

Warte Na przednówku warto podreperować siły miłymi filmami romantycznymi. HBO włączyło właśnie do swojej oferty kilka klasyków. To ***„Titanic”***, ***„Love Story”*** z 1970 r., ***„Z dala od zgiełku”*** z DiCaprio – dramat z 2015 r. oparty na powieści Thomasa Hardy'ego, ***„Wielki Gatsby”*** i ***„Śniadanie u Tiffany'ego”***. Polecam. Na zrównoważoną dietę zasługują przecież także nasze emocje.

Robert Tekieli, *Polskie Radio*

eprasa.pl d563a9d9f8



Biało-niebieski kicz, czarna rozpacz

Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby „Potwora pamięci" napisał Polak czy Ukrainiec. Strach, na jak wiele chybionych sposobów ta powieść może zostać odczytana. Tym większa jest odwaga autora

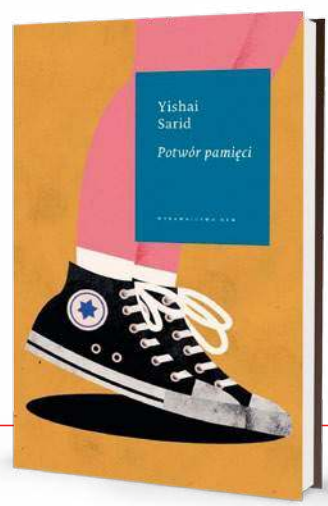
Wojciech Stanisławski

Ech, te wypadki, które zdarzają się czasem (rzadko, ale nie znam statystyk) na wycieczkach izraelskich licealistów do miejsc Zagłady w Polsce: jak nie demolka hotelowego pokoju, to popijawa. Zwykle są wyciszane, przez jednych z wyrozumiałości (czy licealiści na całym świecie nie miewają podobnie durnych pomysłów?), przez drugich z zakłopotania. Przez innych – z kalkulacji politycznej („jeśli napiszemy, ktoś uzna to za nagonkę"). A jeszcze ktoś właśnie nagłośni całą sprawę, na Facebooku lub w antysemickiej gazetce, na zasadzie palca wsadzanego w oko lub w myśl tego, co uważa za demaskację: „Tak się niby przejmują tym Auschwitz, a wszystko to na pokaz".

Rozumiem motywacje wszystkich trzech wyżej opisanych dziennikarzy: tak, omija się taki temat przez wstyd, przez zakłopotanie, przez niechęć do kolejnej awantury. A w gruncie rzeczy idzie o zjawisko ważniejsze, którego niby dotyka czwarty z wymyślonych przeze mnie „ludzi mediów", ale błądzi za sprawą swoich uprzedzeń. Idzie o to, że rytuały, które tworzymy, by upamiętnić śmierć i cierpienie, są potrzebne, ba, niezbędne (nam), ale z czasem zaczynają sztywnieć, a w konsekwencji – odstawać coraz bardziej od żywej, niepojętej, nieobjętej prawdy o tym cierpieniu i śmierci. Mówiąc Herbertem, „balsam przypowieści nie trzyma się ciała".

Znamy takie sytuacje z Wszystkich Świętych, kiedy w cmentarnym tłoku, szukając ulubionego odcienia wrzosu, gubiąc zapałki, uda nam się całkiem zapomnieć o tych, do których przyszliśmy. Znamy je i z akademii szkolnych, poświęconych powstańcom i Palmirom, które w końcu zawsze wyglądają tak, jakby reżyserował je profesor Pimko. Wycieczki młodych Izraelczyków, robiących sobie selfie z biało-niebieską flagą na tle baraków lub bramy, oglądających na komórce sentymentalną „Listę Schindlera" i odśpiewujących Hatikwę (a w przerwach między tymi czynnościami zachowujących się tak, jak wszystkie nastolatki – komu baton, komu TikTok, a komu końskie zaloty) są po prostu kolejnym przypadkiem z tej kategorii. Jeśli najbardziej szokującym, to przez kontrast z namaszczeniem, z jakim traktowana jest Zagłada – i z realiami przemysłowego ludobójstwa, przed którymi broni się wyobraźnia.

Gdyby nowela Yishaia Sarida traktowała tylko o daremności tego rodzaju wycieczek, gdyby w groteskowo-realistycznej manierze opisywała rozczarowanie niedojrzałego historyka idealisty związanego z Yad Vashem, który podejmuje się oprowadzania uczniów po miejscach Zagłady, już byłaby rzeczą demaskatorską i wybitną. Demaskatorską zresztą nie przez nagromadzenie skandalicznych scen, bo o niczym takim nie ma mowy. Powieściowi licealiści zwykle zachowują się grzecznie i biorą udział w dyskusjach, narrator historyk prowadzi ich do Anny, starej chłopki z podkrakowskiej wsi, która mimo strachu ocaliła żydowskiego chłopca, i opowiada im o innych Sprawiedliwych (w tym samym miasteczku pojawi się również bełkoczący coś o „Żydkach" pijaczek – ale kto powie, że to fikcja?). Tyle że balsam przypowieści nie trzyma się ciała: przybysze z Izraela, czy będą to uczniowie, nauczyciele czy politycy, odfajkowują rytuał lub w najlepszym razie chcą prostej, budującej opowieści („Usiłowano nas zabić, ale ocaleliśmy"). Nie interesuje ich namysł nad ciężarem wyborów ani dotknięcie popiołów.



Yishai Sarid, „Potwór pamięci", tłum. Michał Sobelman, Joanna Stocker-Sobelman, Kolegium Europy Wschodniej, 2021

A przecież od cierpkiej charakterystyki tych wycieczek „Potwór pamięci" zaledwie się zaczyna. Zdumiewająco szybko pojawią się w książce spostrzeżenia i podejrzenia nieporównanie cięższe. Takie, które rzadko są przedmiotem debaty, ba,

eprasa.pl d563a9d9f8

nawet rozmów prywatnych – w obawie przed tym, jak krzywdzące albo źle zrozumiane może się okazać każde słowo.

W książce Sarida mowa jest o wielkim „przesunięciu winy", zatarciu odpowiedzialności, wybieleniu. „Odmienna rzecz, znakomicie zrealizowana przez Niemców, to było dokonanie tego mordu na polskiej ziemi, aby pozostawić Niemcy piękne, czyste i wypielęgnowane. Cały brud został odsunięty na wschód, na zapadłe tereny. (...) Wyrafinowani turyści mogą śmiało odwiedzać Dachau, plac apelowy w Norymberdze bądź stadion olimpijski w Berlinie, lecz prawdziwe sadystyczne sedno znajduje się właśnie na wschodzie, gdzie uważny turysta może jeszcze dostrzec jakieś kości wyłażące na powierzchnię w czasie deszczu" – czytamy. I jeszcze o ton ciemniej: o transformacji Niemców w „nazistów", a potem w anonimowych „zbrodniarzy", podczas gdy Polacy pozostali w narracji pod własnym imieniem, ze swoim trzydniowym zarostem chłopka roztropka, chłopka pomocnika z filmu Lanzmanna, tacy łatwi do znielubienia, wzgardzenia, znienawidzenia. A obok nich drudzy wzgardzeni: Aszkenazyjczycy, tłoczący się na bladych zdjęciach z Umschlagplatz, niezrozumiali dla dzisiejszych nastolatków: dlaczego nie walczyli? I jeszcze o ton, ciemniej już nie można: o ukrytej fascynacji uczniów półbogami w świetnie skrojonych mundurach („naziści byli źli, ale dobrze się ubierali"). Ich skutecznością, ich gotowością, żeby w pozbywaniu się „wroga" pójść na całość, do końca.

Gdyby to była publicystyka, jej potencjał wybuchowy mierzyłoby się w megatonach. Na szczęście jest to literatura: może wszystkie te cierpkie myśli to urojenia idealisty, którego przytłoczyła bezustanna obecność Zagłady, który znalazł się na krawędzi załamania nerwowego (nic dziwnego, jeśli ktoś traktuje Zagładę serio) i, trochę jak w „Lokatorze" Topora/Polańskiego, przebiera się i przemienia w starego chasyda w za dużym, brudnym płaszczu?

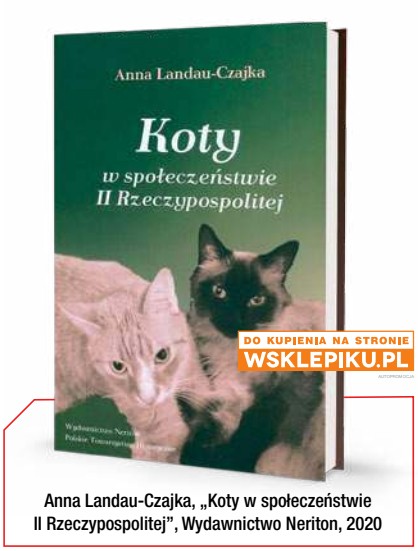
Tylko izraelski powieściopisarz mógł napisać taką powieść, i to w dwojakim znaczeniu tego zdania: posiadał nie tylko dość wiedzy o izraelskim rozumieniu Shoah, lecz i prawo do opisywania spraw niewygodnych i wstydliwych, prawo, którego nabywa się dopiero będąc częścią opisywanej wspólnoty. Odważył się opublikować „Potwora pamięci", domyślając się przecież, że będzie ta książka tworzywem dla tanich oskarżeń. Szukam w tym nadziei na rozmowę o pamięci Zagłady i ewolucji tej pamięci – bez urzędowej uprzejmości i bez zatrzaskiwania się we własnej krzywdzie.

Praca z pazurem

Najpierw zwraca uwagę tytuł, który brzmi trochę jak z Woody'ego Allena, a trochę jak ze Sławomira Kopra: „Koty w społeczeństwie II RP"? Czy to nie ujęcie nazbyt szczegółowe? Czy czekają nas monografie o owcach w epoce oświecenia? Czy zwierzęta w ogóle mogą wpisać się w ludzką historię, żyjąc przecież poza nią, ograniczone do dziejów swojego jednostkowego życia lub trwającej eony ewolucji gatunku? A może będziemy teraz czytać o sporach piłsudczykowskich persów z narodowcami rasy manx?

Profesor Anna Landau-Czajka, od lat zajmująca się historią społeczną Polski, rozwiewa te wątpliwości we wstępie tak nowatorskim, że można by niemal powziąć podejrzenie, iż cała reszta książki – opowieść o przedwojennych wystawach kotów i o rakarzach, o rozpoznawalności ras i postępach weterynarii, o sprawach sądowych i skandalach z udziałem kotów – stanowi jedynie wabik mający nas skłonić do przeczytania tych kilku stron o ewolucji „animal studies": nowego kierunku badań, położonego gdzieś na stylu historiografii, etnografii i socjologii.

Zdystansowawszy się od radykalnego skrzydła badaczy, odrzucających perspektywę antropocentryczną już to w imię postmodernistycznych harców, już to weganizmu, prof. Landau-Czajka deklaruje się jako zwolenniczka „antrozoologii": opisu społecznych norm i zachowań w relacjach ze zwierzętami oraz tych norm ewolucji. Przy przyjęciu takiego założenia koty okazują się najwdzięczniejszym tematem badawczym: o ile psy w Rzplitej poważano już dawno, o tyle koty właśnie przed wojną przestają być postrzegane jako stworzenia niczyje bądź w najlepszym przypadku pomocne przy łapaniu myszy, a stają się domowymi ulubieńcami.



Anna Landau-Czajka, „Koty w społeczeństwie II Rzeczypospolitej", Wydawnictwo Neriton, 2020

Tę zmianę można obserwować na wielu płaszczyznach, od ustawodawstwa (w marcu 1928 prezydent RP wydał „Rozporządzenie o ochronie zwierząt", które stanowiło podstawę prawną do ścigania ich prześladowców), przez rozwój aktywności społecznej (towarzystwa opieki), wreszcie – samego postrzegania kotów i kociarzy. To ostatnie najłatwiej śledzić przez pryzmat ech prasowych i literackich. Okazuje się, że o kotach pisali wszyscy, od Wiecha, przez „Nasz Przegląd" i „Żołnierza Polskiego", po Marię Jehannę hr. Wielopolską. Mniej było chyba w II RP (choć do takich badań przydałby się bardzo p. Koper) kotów bliskich elitom niż dziś, do najgłośniejszych kociar należały Maria Pawlikowska-Jasnorzewska i Irena Krzywicka. Inna rzecz, że – jak wiemy – nawet posiadanie puszystego ulubieńca nie gwarantuje niestety powszechnej popularności.

eprasa.pl d563a9d9f8

Duży podmiot to nie zawsze obcy kapitał

Wygląda na to, że tak bardzo przyzwyczailiśmy się w Polsce do tego, iż najsilniejszą pozycję w handlu mają sieci oparte na zagranicznym kapitale, że trudno nam dostrzec istnienie branż, w których nasze rodzime podmioty poradziły sobie najlepiej. Tym samym próby zniwelowania przewag, jakie posiada zagraniczna konkurencja wobec najczęściej mniejszych i biedniejszych polskich firm, mogą doprowadzić do utraty pozycji przez polskich liderów. Do takiego paradoksu może doprowadzić podatek od handlu detalicznego, który zaczął obowiązywać 1 stycznia 2021 r.

Nowa danina jest skonstruowana jako podatek obrotowy, który wynosi 0,8 proc. od obrotów w przedziale 17–170 mln zł miesięcznie oraz 1,4 proc. od sumy obrotu ponad 170 mln zł. W zamyśle twórców podatku ma on przeciwdziałać nadmiernemu transferowi zysków poza granice Polski, na co niestety pozwala konstrukcja podatku dochodowego od osób prawnych i co jest chętnie wykorzystywane przez duże podmioty z kapitałem zagranicznym, które posiadają w naszym kraju sieci sklepów. Skala założonych sum, czyli obrót zaczynający się od 17 mln zł miesięcznie, także jasno wskazuje, że danina ma obciążać duże podmioty, nie zaś małe polskie sklepiki osiedlowe, które o takich wartościach obrotów mogą jedynie pomarzyć. O tym, że wyrównywanie szans i przywracanie zasad zdrowej konkurencji pomiędzy polskimi i działającymi w Polsce zagranicznymi podmiotami gospodarczymi leży mocno na sercu premierowi Mateuszowi Morawieckiemu, mogliśmy się wielokrotnie przekonać podczas jego licznych wystąpień. Szef rządu nie wahał się też oficjalnie przyznawać, że sytuacja, w której handel został w Polsce zdominowany przez podmioty z kapitałem zagranicznym, nie świadczy najlepiej o ostatnich dekadach naszego rozwoju gospodarczego.

– No tak się złożyło przez ostatnie 27 lat, mogę powiedzieć niestety, że wielkie sieci są zdominowane przez kapitał zagraniczny. Jesteśmy częścią Unii Europejskiej, szanujemy to. Ale proszę o takie patriotyczne zachowanie się również tych sieci – mówił premier Mateusz Morawiecki np. w czasie wizyty w jednym z polskich zakładów mleczarskich, kiedy apelował jednocześnie o szerszą podaż polskich produktów spożywczych w sklepach należących do zagranicznych sieci.

POTRZEBUJEMY SILNYCH FIRM

Można zatem śmiało wyciągnąć wniosek, że szef rządu z satysfakcją odnotowałby, gdyby branżowi zagraniczni liderzy zostali prześcignięci przez polską konkurencję. Wszak wzrost i rozwój polskich firm, tworzenie narodowych czempionów to cele, które zostały



eprasa.pl d563a9d9f3

mocno zarysowane w tzw. planie Morawieckiego, nazwanym później Strategią na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Tymczasem jednak należy zauważyć, że są w Polsce branże handlowe, w których przypadku wprowadzenie podatku obrotowego w opisanym wyżej kształcie przyniesie dokładnie odwrotne cele do tych deklarowanych przez premiera Morawieckiego i zapisanych w dokumentach wyznaczających strategię rozwoju gospodarczego pod rządami Zjednoczonej Prawicy. Dystrybucja i sprzedaż towarów RTV, AGD oraz IT zostały bowiem w Polsce zdominowane przez dwie duże rodzime sieci handlowe, którym po latach wzrostu udało się zostawić w tyle zagraniczną konkurencję. W tym miejscu należy podkreślić, że największa zagraniczna sieć sklepów z elektroniką i sprzętem gospodarstwa domowego już dawno obrała sobie taki sposób działania, że nie zostanie objęta nową daniną. Po prostu każdy sklep tej sieci funkcjonuje jako osobna spółka, co sprawia, że obroty wszystkich sklepów sieci nie są sumowane i choć funkcjonują pod jedną marką i korzystają z tych samych działań marketingowych, a przede wszystkim mają takie same korzyści finansowe z handlowych warunków umownych od producentów wynikających z siły zakupu wszystkich sklepów sieci, to nie będą rozliczane łącznie. Tymczasem polscy liderzy zostaną bardzo dotkliwie obciążeni nowym podatkiem, co najprawdopodobniej w krótkim czasie doprowadzi do utracenia przez nich czołowej pozycji na rzecz zagranicznego konkurenta.

Biorąc powyższe okoliczności pod uwagę i konfrontując je choćby z deklaracjami premiera, można założyć, że twórcy podatku obrotowego od handlu detalicznego po prostu „nie zauważyli", że jednak mamy w Polsce także rodzimych liderów w handlu, a sytuacja na rynku spożywczym przesłoniła im inne branże.

BRANŻA BRANŻY NIERÓWNA

Warto także zauważyć, że bardzo ostra konkurencja, z jaką mamy do czynienia w branży RTV AGD oraz IT, wymusza stosowanie zdecydowanie niższych marż, niż ma to miejsce w innych sektorach handlowych. Przedsiębiorcy szacują, że przy marży wahającej się od 2 do 4 proc. konieczność poniesienia przez polskie podmioty dodatkowej daniny postawi je w sytuacji, w której nie będą w stanie konkurować ceną z zagraniczną siecią handlową, która dawno podzieliła swoje sklepy na osobne spółki i teraz stanie w bardzo uprzywilejowanej względem polskiej konkurencji pozycji.

> Czy polscy liderzy branży RTV, AGD oraz IT zapłacą nowy podatek handlowy, a zagraniczne sieci nie?

Nasuwa się wniosek, że bardzo trudno realizować postulat o wyrównywaniu szans między polskimi i zagranicznymi podmiotami bez podjęcia trudu działań bardziej precyzyjnych, biorących pod uwagę specyfikę branż. Jak się bowiem okazuje, ratując małe sklepy spożywcze, można jednocześnie zaszkodzić tym rodzimym podmiotom, które zdołały odnieść sukces, którego w polskim biznesie wciąż tak bardzo nam brakuje i którego potrzebę tak często akcentuje w swoich wystąpieniach szef rządu.

Szczegółowy wpływ podatku od handlu detalicznego m.in. na branżę RTV AGD oraz IT przeanalizowali eksperci Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. Raport „Skutki wprowadzenia podatku od sprzedaży detalicznej od 1 stycznia 2021 r." sygnowany przez ZPP zawiera m.in. takie spostrzeżenie: „Polskie podmioty mają przeważający udział w rynku RTV, AGD, IT. Jest to bardzo istotne z perspektywy podatkowej, ponieważ oznacza to znacznie ograniczoną możliwość transgranicznej optymalizacji podatkowej".

Oznacza to, że akurat w większości branży RTV AGD oraz IT nie występuje problem unikania podatku dochodowego, gdyż karty rozdają tu polskie podmioty! Tymczasem wprowadzenie podatku obrotowego osłabi je na tyle, że cel zwiększenia dochodów fiskalnych także może nie zostać osiągnięty.

„Konstrukcja podatku od handlu detalicznego jest obarczona poważnymi wadami, które sprawiają, że nie tylko nie spełni on zamierzonych celów, ale również w większym stopniu obciąży rodzime przedsiębiorstwa, pogarszając ich pozycję konkurencyjną względem zagranicznej konkurencji" – czytamy we wnioskach raportu ZPP. „Główny problem podatku leży w zastosowaniu progresji podatkowej. Po pierwsze, progresywna skala podatkowa umożliwia zastosowanie prostego schematu optymalizacyjnego, który polega na rozproszeniu struktury organizacyjnej sieci sklepów, a w szczególności filii międzynarodowych korporacji, w taki sposób, że przychody wydzielonych spółek nie przekraczały kwoty wolnej od podatku. Co gorsza, taki schemat znalazł odzwierciedlenie w praktyce w przypadku branży RTV, AGD, IT. Popularna sieć zagraniczna z branży elektronicznej nie zapłaci podatku, ponieważ jej struktura organizacyjna jest bardziej rozproszona, tj. sklepy w ramach jednej sieci są w Polsce oddzielnymi spółkami. Tymczasem podatek od handlu detalicznego zapłacą rodzime sieci, które funkcjonują na rynku jako jeden podmiot gospodarczy. To pokazuje, że konstrukcja podatku umożliwia jego unikanie, a wręcz doprowadzi do pogorszenia się sytuacji rynkowej polskich przedsiębiorstw".

Zanim polskie sieci zostaną pozbawione państwową decyzją administracyjną czołowej pozycji na rynku na rzecz zagranicznego podmiotu, który zgodnie z aktualną konstrukcją podatku nie zostanie objęty nową daniną, należy podjąć próbę bardziej selektywnej oceny poszczególnych branż handlowych, których specyfika bywa bardzo różna. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gospodarczy rozwój Polski może się dokonywać tylko poprzez coraz silniejszą pozycję polskich przedsiębiorstw.

BZ/Zespół wGospodarce.pl

Fot. Shutterstock

eprasa.pl d563a9d9f8

Zyskać na nowym jedwabnym szlaku

Napoleon Bonaparte powiedział, że „Politykę wszystkich mocarstw określa ich położenie geograficzne". Warto, by dzisiejsza Polska, choć mocarstwem nie jest, spróbowała zastosować się do tej wskazówki cesarza Francuzów. Obecnie naszym największym wyzwaniem politycznym wynikającym z położenia geograficznego jest maksymalizacja zysków z nowego jedwabnego szlaku

Nowy szlak jedwabny, czyli śródlądowa arteria łącząca Chiny z krajami Europy Zachodniej, będzie z pewnością zyskiwał na znaczeniu bez względu na to, czy Polska przyłączy się do jego współtworzenia, czy nie. To istotne spostrzeżenie, bo bez naszego współudziału w tym przedsięwzięciu o globalnym znaczeniu zyski trafią do innych państw. Sprawa większego zaangażowania Polski w wymianę handlową z Chinami powinna jednak przyspieszyć w najbliższym czasie. Wcześniej barierą do jej rozwoju była bardzo nieprzejednana postawa administracji Donalda Trumpa, który ze sporu o światowe przywództwo gospodarcze z Państwem Środka uczynił jeden z fundamentów swojej polityki zagranicznej. W tej sytuacji kraj taki jak Polska, któremu ze strategicznych względów zależy na dobrych relacjach z USA, wstrzymywał się z rozwijaniem gospodarczej współpracy z Chinami. Dziś sytuacja uległa jednak zmianie, bo już widzimy pierwsze sygnały mówiące o tym, że administracja Joego Bidena nie będzie Polsce aż tak życzliwa, jak było to w czasach Trumpa. Biden nie akcentuje też tak głośno jak Trump istoty konfliktu z Chinami o dominację gospodarczą na świecie. Są to zatem okoliczności, które nasz kraj powinien wykorzystać, by podnieść swoje znaczenie w kontaktach z państwem rządzonym przez prezydenta Xi Jinpinga.

1,4 MLD KLIENTÓW

Nadzieją na wykorzystanie nowych możliwości w dziedzinie współpracy polsko-chińskiej napawa choćby podpisanie w ostatnim czasie, po ponad czterech latach starań, protokołu uzgodnieniowego dotyczącego eksportu tzw. permeatu serwatkowego z Polski do Chin.



Dokumenty zostały podpisane przez ministra rolnictwa i rozwoju wsi Grzegorza Pudę oraz ministra Ni Yuefenga z Chińskiej Republiki Ludowej. Porozumienie ma szansę stać się wydarzeniem o wielkim potencjale rozwojowym dla polskiej branży mleczarskiej, nic nie może się bowiem równać w kwestii wzrostu eksportu od uzyskania dostępu do tak ogromnego rynku zbytu jakim są Chiny.

MAŁASZEWICZE – CHIŃSKIE WROTA W EUROPIE

Zgoda na eksport polskiej serwatki to jednak tylko przedsmak dużo większych korzyści, jakie może odnieść nasz kraj dzięki efektywnej współpracy z Chinami. By wpisać się w nowy jedwabny szlak jako ważny przystanek, a nie tylko kraj tranzytowy, Polska musi rozwinąć swoje zaplecze logistyczne. Tutaj realnych kształtów nabiera gigantyczna inwestycja, jaką będzie stworzenie ultranowoczesnego terminala kolejowego w Małaszewiczach, na terenie gminy Terespol. Na powierzchni 30 km kw. do 2026 r. ma powstać ogromny hub, który uczyni z Polski centrum przeładunkowe dla towarów przywożonych z Chin. Dziś najczęściej jest tak, że pociągi z Chin dojeżdżają do Niemiec bez przystanku w Polsce, a następnie towary przeznaczone dla Polski są w Niemczech przeładowywane na tiry i do składów kolejowych jadących do naszego kraju. Na nowym jedwabnym szlaku zarabiają w Europie zatem głównie Niemcy, a Polska, która z racji położenia geograficznego jest pierwszym państwem UE na trasie pociągów z Chin, nie zyskuje zbyt wiele. Terminal w Małaszewiczach ma zmienić tę sytuację, zwłaszcza że jego powstanie Chińczycy mocno wspierają.

Powyższe przykłady pozwalają z optymizmem patrzeć w przyszłość na relacje polsko-chińskie. Co istotne, duże nadzieje z ich rozwojem wiążą także polscy decydenci, którzy pozytywnie ocenili niedawny, dziewiąty już szczyt 17+1, czyli forum gospodarcze państw Europy Środkowo-Wschodniej i Chin, na którym Polskę reprezentował prezydent Andrzej Duda. „Bardzo istotna jest kwestia współpracy gospodarczej między Polską a Chinami, tutaj mamy ogromne pole do rozwoju tej współpracy. Mówimy o wielu możliwościach, zarówno jeśli chodzi o import towarów do Chin, ale przede wszystkim, jeśli chodzi o eksport polskich towarów do Chin" – wskazał po lutowym szczycie 17+1 Błażej Spychalski, rzecznik prezydenta RP.

(BZ)

Autopromocja | 50/0121/F

eprasa.pl d563a9d9f8

Sieć Przyjaciół

JEDNA SUBSKRYPCJA - TRZY TYTUŁY



SIECI + wSIECI HISTORII + wPolityce.pl

• WYGODNIE • W DNIU WYDANIA

- tygodnik Sieci i magazyn wSieci Historii w wersji cyfrowej (pdf)
- archiwum obu tytułów od 2017 r.
- dostęp do strefy Premium portalu wPolityce.pl

1 miesiąc TYLKO 9,99 zł

ZAMÓW JUŻ DZIŚ: www.SiecPrzyjaciol.pl

eprasa.pl d563a9d9f8



eprasa.pl d563a9d9f8



eprasa.pl d563a9d9f8



Polscy producenci rosną dzięki Lidlowi

Współpraca z silną, rozpoznawalną w wielu krajach i społecznie odpowiedzialną marką jest najprostszym oraz najbardziej efektywnym sposobem dotarcia na rynki eksportowe dla polskich producentów. O tym, jak korzystny jest taki właśnie model współpracy, przekonują się polscy producenci, którzy dostarczają swoje towary do sklepów Lidl Polska

Polskie towary, a zwłaszcza polska żywność, cieszą się uznaniem wśród konsumentów z wielu zakątków świata. Nic zatem dziwnego, że Lidl Polska od początku swojego istnienia postanowił podjąć bardzo szeroką współpracę właśnie z polskimi dostawcami. Obecnie aż 70 proc. obrotu Lidl Polska jest generowane dzięki sprzedaży polskich towarów. O tym, jak wielką szansą na rozwój dla polskiego przedsiębiorcy jest współpraca z takim partnerem jak Lidl, mówi fakt, że sieć ma ponad 700 sklepów w naszym kraju, a łącznie aż 11,2 tys. sklepów w 30 krajach świata. Ta gigantyczna baza daje ogromne możliwości wsparcia i rozwoju dla polskich eksporterów żywności i jest efektywnie wykorzystywana.

W ciągu dwóch lat obrotowych – 2018 i 2019 – wartość wyeksportowanych przez Lidl Polska produktów od polskich producentów wyniosła ponad 5,5 mld zł.

W 2020 r. tylko wartość sprzedanego do innych krajów mięsa, wędlin oraz nabiału za pośrednictwem sieci Lidl Polska wyniosła blisko 1,5 mld zł.

Sieć podkreśla, że w wyborze dostawców kieruje się przede wszystkim wysokimi standardami w zakresie jakości i bezpieczeństwa produktów. Lidl Polska posiada przejrzyste standardy jakościowe, dlatego wymaga także od swoich dostawców spełnienia warunków audytu jakości. Ich spełnienie jest jednocześnie gwarancją wysokiej jakości polskich towarów, co także jest czynnikiem zwiększającym ich popularność wśród zagranicznych konsumentów. Sieć na bieżąco monitoruje jakość produktów na każdym etapie łańcucha dostaw – przeprowadzając ponad 9 tys. badań rocznie w niezależnych laboratoriach badawczych.

W 2020 r. Lidl Polska sprzedał wędliny od polskich producentów do innych krajów o łącznej wartości aż 507 mln zł. Z kolei wartość sprzedaży mięsa od polskich dostawców do innych krajów wyniosła ponad 471 mln zł. Zagraniczna sprzedaż nabiału wyprodukowanego w Polsce za pośrednictwem sieci Lidl Polska w tym samym okresie osiągnęła wartość 492 mln zł.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 24/0221/F

eprasa.pl d563a9d9f8

Produkt polski – kupuj świadomie
W ofercie Lidl Polska znajduje się kilkaset produktów spożywczych z oznaczeniem „Produkt polski". Oznaczenie to pozwala klientom na łatwe znalezienie artykułów wytworzonych w Polsce z użyciem polskich surowców. W celu ułatwienia konsumentom identyfikacji produktów wytworzonych z polskich surowców w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi opracowano znak „Produkt polski". Zgodnie z ustawą o zmianie ustawy o jakości handlowej artykułów rolno-spożywczych produkty opatrzone tą informacją muszą być wyprodukowane z surowców wytworzonych na terenie Polski, z tym że w produktach przetworzonych dopuszcza się użycie importowanych składników (np. przypraw czy bakalii) w ilości do 25 proc. masy tych produktów, ale jedynie pod warunkiem, że składniki takie nie są wytwarzane w kraju.

LIDL POLSKA – SOLIDNY PARTNER BEZ WZGLĘDU NA OKOLICZNOŚCI

Obecne warunki rynkowe, poddane presji wynikającej z obostrzeń pandemicznych, są bardzo wymagające dla biznesu, a naprawdę poważne wyzwanie stanowią zwłaszcza dla mniejszych firm produkcyjnych. W tym trudnym czasie Lidl Polska stara się więc jeszcze bardziej niż zwykle wspierać swoich dostawców, tak by zachowali oni płynność finansową i płynność produkcji. Lidl Polska zabezpiecza swoich dostawców pod względem zbytu produktów oraz finansowo – w uzasadnionych przypadkach skracając po prostu terminy płatności. A jak zapewniany jest stały zbyt? Dla przykładu: mimo że popyt na kwiaty cięte i doniczkowe znacznie spadł, sieć niezmiennie odbiera dostawy od polskich dostawców – firm Nowacki Tulipany oraz JMP Flowers, co pozwala im przetrwać obecną sytuację. Innym przykładem wspólnej odpowiedzi sieci i polskiego producenta na wyzwania pandemiczne jest firma Serpol Cosmetics produkująca kosmetyki pod marką Cien. Dotąd były to głównie mydła w płynie, szampony, sól do kąpieli czy emulsje do higieny osobistej. Teraz Lidl Polska



wspólnie z producentem wprowadzli produkt Cien mydło antybakteryjne, które wpisało się w bieżące potrzeby klientów. Dzięki tej współpracy firma Serpol odnotowała wzrost sprzedaży w ujęciu ilościowym na poziomie 78 proc. w porównaniu ze średnią sprzedaży miesięcznej osiąganej w 2019 r. Innym sposobem wsparcia, jakiego sieć udziela swoim dostawcom, jest działanie marketingowe i komunikacyjne – Lidl Polska na bieżąco prowadzi kampanie promujące ich produkty. Nieprzerwanie, mimo obostrzeń, odbywa się także sprzedaż polskich produktów na rynki zagraniczne.

POLSCY DOSTAWCY NA RYNKACH EUROPEJSKICH

Lidl Polska wielokrotnie podkreślał, jak bardzo ceni współpracę z polskimi dostawcami. Potwierdzeniem tego były liczne kampanie, w których sieć pokazywała firmy od lat dostarczające produkty do Lidla. Mogliśmy się dowiedzieć, że np. świeże warzywa i owoce na Ryneczku Lidla pochodzą m.in. od państwa Renaty i Piotra Wychowałków, którzy prowadzą przedsiębiorstwo Nowalijka w Piotrkowie Trybunalskim, braci Jazdon z gospodarstwa rolnego Onix, a biowarzywa znakowane naturalnym światłem dostarcza Farma Świętokrzyska z Ćmielowa. W kolejnych odsłonach kampanii poznaliśmy także właścicieli Grupy Polmlek, produkujących nabiał i sery pod markami: Pilos oraz Bluedino, czy Zdzisława Serwatkę, właściciela wspomnianej już firmy Serpol Cosmetics. Poza granicami kraju możemy kupić też pieczywo z polskich piekarni

Polskie tygodnie w zagranicznych Lidlach
Zaangażowanie sieci Lidl w promowanie polskich produktów za granicą zaowocowało regularnym tygodniem polskim np. w Lidlu w Wielkiej Brytanii. Zainteresowanie tygodniami polskimi jest duże. Sieć podkreśla, że jest szczególnie dumna z konkurencyjności polskich produktów wyróżniających się wysoką jakością oraz rozwoju ich eksportu na rynki zagraniczne.

Nowel. Warto zauważyć, że w znakomitej większości są to firmy rodzinne, przekazywane z pokolenia na pokolenie, budowane od podstaw, a dziś mogące podbijać swoimi artykułami zagraniczne rynki.

– Nasza współpraca z dostawcami opiera się na budowaniu długofalowych relacji biznesowych. Do tego niezbędne są wzajemny szacunek, zaufanie oraz etyka. Przykładamy szczególną wagę do jakości tworzonego produktu. Dzięki tej wspólnej pracy z powodzeniem udało nam się nie tylko zyskać uznanie polskich konsumentów, ale też wprowadzić polskie produkty na rynki zagraniczne. W ciągu dwóch lat obrotowych – 2018 i 2019 – wartość wyeksportowanych przez Lidl Polska produktów od polskich producentów wyniosła ponad 5,5 mld zł. Z dumą informujemy także, że według „Listy 500" dziennika „Rzeczpospolita" jesteśmy największym eksporterem polskich produktów rolno-spożywczych – podsumowuje Aleksandra Robaszkiewicz, head of corporate communications, Lidl Polska.

eprasa.pl d563a9d9f8

HALINA JAKSA*

Pierogi i róże



Do serca mężczyzny najlepiej trafić przez żołądek. Tak mówiłam na planie „Sanatorium”, bo to się często sprawdza. Moim popisowym daniem są flaki z boczniaków. Nie każdy umie je zrobić i nie każdy je jadł, a warto. Mogłabym też zrobić pampuchy. Nadziewane jagodami, wiśniami lub truskawkami. Ale można też mięsem. Co tam komu pasuje.

Pampuchy to parowe kluski, urabiane na drożdżach. Coś podobnego do pączków. Tylko zamiast smażyć na tłuszczu, wstawia się je na parę. A na deser podałabym np. róże karnawałowe. Jak wyglądają, można zobaczyć na moim profilu na Facebooku.

W czasie nagrań „Sanatorium miłości” udało mi się namówić na wspólne gotowanie Wieśka. Robiłam pierogi z serem, z tym że miałam trochę okrojone produkty – nie było cukru pudru ani cukru waniliowego i jajek było mało – ale podobno wyszły pyszne.

Jak Wiesiek poszedł na nagranie tzw. setki, zrobiłam więcej – bo starczyło i ciasta, i sera. Kiedy wrócił, powiedziałam mu, żeby dał je na gotującą wodę. Tak zrobił i cała ekipa telewizyjna się zajadała. I chwaliła bardzo te pierogi.

Jak przyjeżdżają do mnie dzieci i wnuki, też proszą o pierogi. Zwłaszcza kiedy jest sezon na jagody. 15 lat temu przeniosłam się do domku pod Pabianicami, gdzie mam ogródek, sad i jajka od własnych kur. Niedaleko jest też las. Latem, kiedy dzieci i wnuki jeszcze śpią, wsiadam na skuter i jadę trochę dalej – tam, gdzie jagody są duże i soczyste – nazbieram, ile trzeba, wracam i zanim wszyscy wstaną, to ja już mam wszystko ugotowane.

W pierogach najtrudniejsze jest zrobienie dobrego ciasta. Ja na kilogram mąki biję dwa całe jajka i jedno żółtko, daję 1/4 szklanki oleju, trochę solę i leję gotującą wodę (tylko trudno mi powiedzieć ile, bo robię to na oko). Moje ciasto jest elastyczne, miękkie i cieniutko się wałkuje, ale trzeba na kilka rzeczy uważać. Gotującą wodę dodaję dopiero, jak wymieszam dokładnie składniki, bo wiadomo, że mogłaby ściąć jajka. Zawsze wolę mniej wlać, a jak widzę, że ciasto jest wciąż za suche, to dolewam, ile potrzeba, aż jest takie, jak dobrze urobiona plastelina.

Ciasto obtaczam mąką, wkładam do woreczka foliowego i przykrywam ściereczką, żeby trzymała ciepło. Odrywam tylko tyle, ile potrzeba do rozwałkowania, bo ciepłe ciasto najlepiej się wałkuje.

Jednym z zadań, jakie mieliśmy do wykonania w „Sanatorium miłości”, było zbieranie grzybów. Najwięcej zebrał Władek i to z nim potem przejrzeliśmy, co przynieśli inni (trafiło się nawet kilka trujących sztuk, ale z grupy tylko my znaliśmy się na grzybach).

Potem te przebrane grzyby trafiły do kuchni. Razem z moim przepisem. Nie udało mi się ich przyrządzić, ale przekazałam je już pokrojone i sparzone. Posiekałam też drobniutko natkę pietruszki oraz koperek i na kartce napisałam, co kolejno trzeba robić. Czyli najpierw usmażyć cebulkę, dodać do niej przygotowane grzybki, jeszcze chwilę razem podsmażyć i dopiero potem dorzucić pietruszkę i koperek, wcisnąć czosnek i zalać to śmietaną 30 proc. Na koniec doprawić pieprzem i solą.

Kiedy nagrywaliśmy program, był sezon na grzyby, więc ekipa parę razy wcześniej już grzyby sobie przygotowywała, ale tak dobrych, jak z mojego przepisu – i mówili to wszyscy – ani wcześniej, ani później nie jedli.

Jolanta Gajda-Zadworna
** uczestniczka programu „Sanatorium miłości”*



Ekspresowe racuchy

Składniki: Na 25 dag serka waniliowego biorę 1 i 1/2 szklanki mąki, 3 jajka, trochę cukru i łyżeczkę proszku do pieczenia. To wszystko wyrabiam mikserem.

Wykonanie: Potem rozgrzewam na patelni olej i kładę łyżką nieduże placuszki. Żeby ciasto nie przylepiało się do łyżki, co jakiś czas trzeba ją zmoczyć w oleju. Racuszki wychodzą pyszne. I w ekspresowym tempie można ich narobić naprawdę dużo.

Fot. Shutterstock, Weronika Marczyk-Kiełbasa/TVP

eprasa.pl d563a9d9f8



SŁODKO-SŁONY

Nowe smaki

ANNA MONICKA

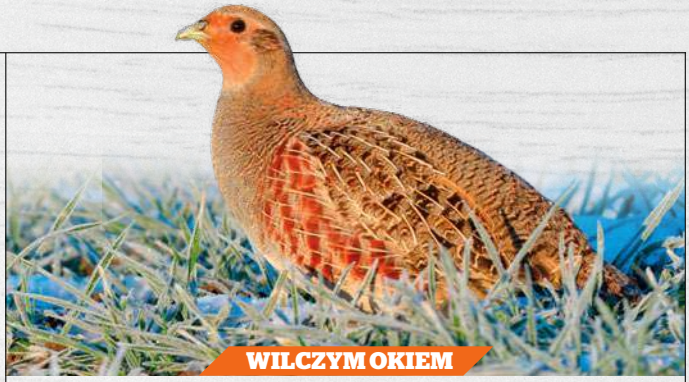
Lubię dobrą sól i orientalne przyprawy. Można nimi kompletnie odmienić smak dań. Coś niby zwykłego, powszechnego i nudnego zamienić w kulinarną perełkę.

Soli używam na co dzień przynajmniej kilkanaście rodzajów. Mam czerwoną, niebieską, czarną, w płatkach, kryształkach, mniej lub bardziej oczyszczoną albo zmieszaną z ziołami. Używam nie tylko do jedzenia – naturalne sole bogate w mikroelementy są świetnymi dodatkami do kąpieli. Oczyszczają ciało z toksyn, rozluźniają mięśnie.

Najbardziej lubię włoską Sale di Cervia, wydobywaną w salinach w Cervii pomiędzy Rawenną a Rimini. Dostałam ją kiedyś w prezencie od koleżanki, która odwiedziła włoskie targi z ekologiczną żywnością. Doprawiałam nią sałatki, jogurty, kefiry, kromki chleba z masłem. Ba, nawet napoje cytrusowe latem, które dzięki niej zamieniały się w rewelacyjne izotoniki. Kompozycja ziół była idealna, więc niestety szybko się z nią rozprawiłam. W Polsce udało mi się jeszcze raz kupić tę sól: mieszanki z curry oraz solirodem, roślinką, która lubi rosnąć na francuskich i hiszpańskich nadmorskich bagnach, jest słona i ma właściwości podobne do szparagów. Pandemia przerwała jednak skutecznie dostawy.

Kiedy wreszcie wypełzłam z domu, żeby uzupełnić zapasy na żywo, a nie przez internet, w jednym z ekologicznych sklepików natknęłam się na przyprawę Casablanca. Etykietka z wielbłądem mnie nie zniechęciła – wzięłam na próbę, bo bardzo lubię prażony sezam, poza tym mam wielki sentyment do filmu „Casablanca". I nie zawiodłam się. Wspaniała mieszanka sezamu, maku, suszonego czosnku i cebuli z odrobiną soli kamiennej nadaje nieco orientalny smak warzywom, mięsu, sosom. Rewelacyjnie pasuje do świeżego pieczywa z masłem albo grzanek czy pieczonego sera feta. Wkrótce Wielkanoc, warto po nią sięgnąć, żeby podrasować smak jajek. Jej producent, Visana, ma sporo ciekawych przypraw z lubczykiem, rozmarynem, kozieradką, czarnuszką. To trochę zapomniane, ale bardzo tradycyjne smaki, które warto odkryć na nowo. Niesamowita jest zwłaszcza czarnuszka – przyprawa, która jak żadna inna wspomaga alergików, bo blokuje wydzielanie histaminy.

Fot. Anna Monicka, Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Kuropatwa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jeszcze do niedawna kuropatwa *Perdix perdix* określana była w monografiach łowieckich, opracowaniach naukowych i atlasach ornitologicznych jako „liczna w otwartym krajobrazie rolniczym".

W drugiej połowie XIX w. Władysław Taczanowski, jeden z ojców polskiej ornitologii, pisał, że „kuropatwa ta mieszka w całej Europie z wyjątkiem okolic daleko na północ posunionych; (...). U nas bardzo pospolita w całym kraju (...)". Było tak zresztą nie tylko u nas, ale w przeważającej części Europy.

Częstość występowania kuropatw, szarobeżowych ptaków o ochrowej głowie i rdzawej podkowie na piersi samców, sprawiła, że ich wizerunek utrwalił się w sztuce. Świadectwo takiego stanu widzimy chociażby na pięknych, utrzymanych w stylistyce zen obrazach Juliana Fałata, przedstawiających kuropatwy na zaśnieżonych przestrzeniach pól.

Sytuacja taka utrzymywała się aż do drugiej połowy XX w. Wówczas liczebność kuropatw drastycznie spadła na całym kontynencie.

Jakiś czas temu zaszokowała mnie wiadomość, że kuropatwa, ptak, którego obecność była kiedyś podczas wyjścia w pola oczywistością, uznana została w Szwajcarii za gatunek wymarły. Niesamowite. Ostatnia para w tym kraju obserwowana była w 2018 r.

W wielu innych krajach – w tym w Polsce – w których kuropatwy nie wyginęły, ich stan liczebny bardzo się obniżył. Niekiedy jest nawet kilkunastokrotnie niższy niż przed załamaniem liczebnym populacji. Podobne zresztą spadkowe tendencje obserwowane są wśród sporej liczby gatunków, nie tylko zresztą ptaków, związanych z polami.

Jakie są tego przyczyny? W dużej mierze upatruje się ich w zmianach tradycyjnego charakteru rolnictwa i zanikaniu mozaiki pól z dającymi schronienie miedzami. We wprowadzaniu monokultur i środków chemicznych eliminujących rośliny, które nazywa się chwastami, a które dostarczają zwierzętom pożywienia. W zmniejszeniu liczby rozmaitych owadów, będących wartością przyrodniczą samą w sobie, a także pokarmem innych zwierząt.

Przykład kuropatwy pokazuje, że ponieważ wpisani jesteśmy w ekosystem Ziemi, każde nasze działanie – również niezbędne nam rozwój i doskonalenie – aby podążać we właściwym kierunku, musi uwzględniać uwarunkowania przyrodnicze.

eprasa.pl d563a9d9f8



W ŚWIECIE LUSTER



HANNA KARP

Nie tylko pieniądze, to próba paraliżu państwa

Czas pandemii COVID-19 przynosi wiele nieoczekiwanych momentów. Często trudnych i zaskakujących. Innym razem absurdalnych. Choćby ostatnio bojkot mediów. Komercyjne rozgłośnie radiowe, telewizyjne, redakcje prasowe i internetowe na jeden dzień zgasiły swoje światło. Nagle, bez ostrzeżenia. Słuchacze radia włączyli 10 lutego odbiorniki i usłyszeli zapętlony komunikat. Na ekranach telewizorów pojawiły się czarne plansze z napisem „Media bez wyboru". Taka sytuacja zapowiadała coś nadzwyczajnego, co najmniej jakiś kataklizm ekonomiczny, a w najlepszym przypadku polityczny.

CZARNE PLANSZE I KOMUNIKATY

Później się dowiedzieli, że rząd chce wprowadzić nowe podatki, które zagrożą bytowi mediów, zniszczą wolność słowa, zagrożą demokracji. Co spowoduje, że największe niemiecko-amerykańsko-szwajcarskie medialne giganty, operujące nad Wisłą, ulegną paraliżowi.

Rząd Jarosława Kaczyńskiego znów wysadza polską demokrację – alarmowały agencje informacyjne w UE i Ameryce. Chętnie kreśliły scenariusze grozy, wieszcząc szaleństwo różnych odmian reżimów od Putina przez Łukaszenkę po Erdoğana i Orbána razem wziętych w Warszawie.

Jednak co rozsądniejsi, niepozbawieni zimnej krwi, szybko pytali: skąd ta histeria? O co chodzi? Jaki stan wojenny? Bo ekran telewizyjny przykrywa czarna plansza? A radia powtarzają od rana jeden komunikat? I że kraj stanął na skraju przepaści? Niewątpliwie powiało przez chwilę grozą. Ale najbardziej przeraził się marszałek Senatu RP Tomasz Grodzki. Wygłosił następnego wieczoru orędzie do narodu „W obronie wolnych mediów". Przywołał w nim stan wojenny i to, że w niedzielny poranek 13 grudnia 1981 r. dzieci nie obejrzały „Teleranka". Życzliwe mu portale i serwisy informacyjne, skrzętnie relacjonując później to wystąpienie, te akurat fragmenty wstydliwie pomijały. Grodzki zapewnił, że Senat nie poprze składki covidowosolidarnościowej, przeciwko której protestowały w środę media. „Nie mam wątpliwości, że tym, którzy wymyślili nowy podatek dla mediów, chodzi o nałożenie im kagańca. [...] Wzywam rządzących do wycofania się z tego złego projektu" – apelował w orędziu.

Żeby było i śmieszniej, i straszniej, dwa dni wcześniej przed rozpętaną przez media histerią prominentny polityk Platformy Obywatelskiej, który kandydował na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej, ogłosił, że nie tylko, jak to określił marszałek Grodzki, „nałoży kaganiec" na dziennikarzy telewizji publicznej, lecz że zlikwiduje ich miejsca pracy. Nie będzie „Wiadomości", „Panoramy", TVP Info. Słowem, jak mówił niegdyś inny słynny polityk Kononowicz, „niczego nie będzie".

Wcześniej, podczas kampanii prezydenckiej, ten sam polityk ostrzegał tych samych dziennikarzy telewizji publicznej, by mieli się na baczności i zadawali mu szybko pytania, bo ich dni są... policzone. Ten kuriozalny fakt początkowo został w ogóle przemilczany przez komercyjne stacje. Bo cóż to za wiadomość? Że główna opozycyjna partia jako swój program wyborczy ogłasza likwidację mediów publicznych? To świetnie. Przecież im się należy. Bo media te kłamią, szczują, są „pisowskie"! Co innego, gdy „pisowski" rząd ogłasza,

eprasa.pl d563a9d9f8

że zapłacą nowy „podatek od reklam". Że własne, zarobione z reklam pieniądze będą musieli oddać „pisowcom". By ci mieli więcej na szpitale, kulturę i zabytki.

POLSKA BEZGRANICZNIE GŁUPIA

Nie po to opanowały rynek reklam niemal w całości, uzyskując przez całe dekady setki milionów wpływów. Ich dziennikarze od dawna z niepokojem się zastanawiali: „Jak będzie wyglądać Polska, kiedy Kaczyński dorwie się do władzy? Jak on. Będzie niedomyta, rozmemłana, obleśna, nieestetyczna, z zepsutymi zębami, niedouczona, agresywna, cwana i pozbawiona elementarnej szlachetności ducha, zadufana w sobie, gardząca wszystkim i wszystkimi i – przede wszystkim – bezgranicznie głupia. Takiej Polski chcemy?" – pytał na Facebooku redaktor Jacek Pałasiński z TVN. Innym razem ten sam redaktor, gdy na Jasnej Górze modliła się Pielgrzymka Rodziny Radia Maryja, w jakimś niezrozumiałym zapamiętaniu tak opisywał zgromadzonych tam ludzi: „Polska najmniej twórcza, Polska nieumiejąca produkować bogactwa, Polska niewykształcona, Polska zaściankowa, Polska nieprzygotowana do stawiania czoła wyzwaniom współczesności, Polska zabobonna, Polska czerpiąca swą siłę do przetrwania z chorobliwej nienawiści do wszystkiego, co czyste, szlachetne i mądre. Polska, którą podzieli się wedle własnego życzenia, Polska mentalnie zakorzeniona w komunizmie. Polska, która za Polskę nigdy się nie biła, Polska budująca dla Polaków małe, krzywe i szare domy. Polska niepotrafiąca nawet wybudować gładkiej szosy. Polska z pochodów na 22 lipca. Polska szmalcowników i donosicieli. Polska podła i głupia".

I taką Polskę ma zasilać opłata solidarnościowa od dochodów z reklam. Gdyby ktoś miał problem z zacytowaniem tzw. mowy nienawiści, z jej dosadną egzemplifikacją, to wzorzec ma powyżej. Nawet z nawiązką.

Przyznać trzeba, że cały protest został przeprowadzony bardzo sprawnie. Niektórzy nazwali go rodzajem bomby atomowej. Dotychczas niespotykany nie tylko w Polsce, lecz i na świecie. Policzono, że dzień takiego milczenia mógł kosztować 5 mln zysków z reklam.

Zastosowany protest wydobył przy okazji na światło dzienne jeszcze jeden fakt. Na co dzień już niezauważany, bo jako odbiorcy mediów żyjemy z nim od lat. Mianowicie panującą nierównowagę mediów. Patologiczną strukturę rynku medialnego.

Ów katastrofalnie skoncentrowany obcy kapitał organizuje całą polską debatę medialną, całą mediosferę i agendę informacyjną mediów. Tego dnia prawda ta odsłaniała się przez 24 godziny na dobę. Do bólu, do mdłości. Parafrazując jedno z reklamowych haseł protestujących telewizji, była to cała prawda o mediach w Polsce przez całą dobę.

Gdyby spełniono liberalne postulaty polityków Konfederacji i urynkowiono wszystkie media w Polsce, sprzedając także media publiczne, to niebawem zostalibyśmy bez oczu i uszu

PAŃSTWO BEZ UST, OCZU I USZU

Telewizyjny pilot wskazał, że praktycznie nie pracował żaden kanał informacyjny poza stacjami mediów publicznych. Podobnie sytuacja wyglądała, jeżeli chodzi o stacje radiowe. Kilkanaście kanałów komercyjnych rozgłośni nadawało ponury jednobrzmiący komunikat. To uwypukliło jeszcze jedną prawdę. O tym, że zatrzymanie całego systemu informacyjnego w Polsce jest w tej chwili niezwykle łatwe. Gdyby spełniono liberalne postulaty polityków Konfederacji i urynkowiono wszystkie media w Polsce, sprzedając także media publiczne, to niebawem zostalibyśmy bez oczu i uszu. Łatwo wyobrazić sobie sytuację, gdy podmioty, które protestowały, postanawiają w przyszłości znów się wyłączyć z codziennego nadawania. Nie miałyby z tym najmniejszych problemów. Nad krajem praktycznie zapanowałaby informacyjna cisza. Nie przypadkiem przed dwoma laty kanclerz Niemiec Angela Merkel media informacyjne w Niemczech zaliczyła do sektora o specjalnym znaczeniu, uznając je za spółki strategiczne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa. Warto przy tej okazji, by politycy rządu Zjednoczonej Prawicy zastanowili się i nad tym faktem. A zwracam uwagę na to już po raz kolejny.

Mieliśmy ewidentnie przykład dobrze zorganizowanej akcji, gdy poszczególne koncerny medialne porozumiały się, tworząc jednolity front. To wszystko może mieć jeszcze drugie dno. Nic nie stoi przecież na przeszkodzie, by na jednym ruszcie upiec dwie pieczenie. Gdy nie wypalił tzw. Strajk Kobiet ani inne wcześniejsze próby obalenia rządu, to mógłby być także świetny pretekst do wypracowania medialnych narzędzi obalenia rządu Zjednoczonej Prawicy. Nie można wykluczyć, że był to rodzaj próby generalnej.

Alarmowanie światowej opinii publicznej, przede wszystkim Unii Europejskiej, ale też szeroko pojmowanych środowisk lewicowo-liberalnych w USA i prezydenta Joego Bidena już nastąpiło. Te protesty już zrodziły odpowiednie skutki.

Dlatego wciąż jest interesujące, jak zachowa się rząd. Czy da się sterroryzować? Czy był w jakiś sposób przygotowany na tak skonsolidowaną akcję, na takie zmasowane uderzenie? Wcześniej była sprawa na przykład z nałożeniem kary przez KRRiT na TVN24. Widzieliśmy, czym się to skończyło. Karę odwołano. Można mieć poważne obawy, czy nie nastąpi wycofanie się i z tych propozycji. Na ile konsultacje zmienią proponowane pierwotne zapisy i co z nich ostatecznie zostanie?

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl d563a9d9f8

Plandemia a konflikt interesów



Po opublikowaniu dwa tygodnie temu tekstu pod spokojnym tytułem „Konflikt interesów" w kilku miejscach Warszawy – jak ćwierkają wróble – zagotowało się. Naradzano się, jak zareagować. Ano w najprostszy sposób: ekspertów sponsorowanych zastąpić ekspertami niezależnymi. Będzie o wiele czyściej moralnie, lepiej PR-owsko i znacznie lepiej merytorycznie. Bo głowy w piasek schować się nie da, zamieść pod dywan albo udać, że deszcz pada – też nie.

Ku swemu zaskoczeniu zebrałem sporo gratulacji „za odwagę". Za gratulacje dziękuję, także w imieniu tych, którzy pomogli mi owe informacje zebrać i sprawdzić. Nie chciałbym jednak, by było to traktowane jako akt odwagi. To przecież oczywisty obowiązek wszystkich dziennikarzy, którzy widzą korupcję, konflikt interesów, oszustwa i inne działania na szkodę dobra publicznego osób publicznych – by fakty te zbierać i ujawniać. Po publikacji skontaktowało się ze mną wiele osób, deklarując współpracę w dziele identyfikowania patologii konfliktu interesów, dostarczając kolejne dowody finansowych powiązań covidowych ekspertów z koncernami farmaceutycznymi, producentami szczepionek i leków na COVID-19. A więc dowody zależności, która sprawia, że są ekspertami sponsorowanymi, a mówiąc wprost – naganiaczami sprzedaży produktów swych mocodawców. Co moralnie wyklucza ich z zasiadania w Radzie Medycznej przy Premierze RP. Mam nadzieję, że wkrótce będzie wykluczało ich także formalnie. Do chwili, gdy piszę te słowa, ani prof. Simon, ani prof. Horban, ani prof. Flisiak, ani nikt z 12 ekspertów sponsorowanych zasiadających w Radzie do dymisji się nie podał. Sprawa jest rozwojowa, ciąg dalszy nastąpi, opisywanie konfliktu interesów w covidowym kryzysie dopiero się zaczyna.

Ignorowanie konfliktu interesów jest gangreną, która powoduje fałszywe diagnozy i złe decyzje oraz zagraża nam kolejnymi. Ale toczy ona świat medycyny nie tylko polskiej. Obejrzałem właśnie wstrząsający amerykański film dokumentalny pt. „Plandemia" („Plandemic"), dostępny w internecie z dobrym polskim tłumaczeniem. Proszę, obejrzyjcie go koniecznie. I nie jutro, ale dzisiaj, teraz. W finale filmu jedna z bohaterek na pytanie, co zmieniłaby w służbie zdrowia, by złe procesy zatrzymać, odpowiada: konflikt interesów. Tak, zło w tej sferze zaczęło się w USA. „Jeszcze 50–40 lat temu szefowie koncernów farmaceutycznych szli do więzienia za świadome oszukiwanie klientów i rzucanie na rynek produktów, ukrywając ich wady czy efekty uboczne. Ale od dawna koncerny już tylko płacą kary finansowe. W efekcie przyszłe grzywny są wpisywane w biznesplany kolejnych produktów". (Przypomina to sytuację, gdy inwestujące w Polsce w latach 90. zachodnie firmy miały w biznesplanach pozycję przeznaczoną na korumpowanie polskich urzędników, polityków, samorządowców).

Przypomnę, że rekordzistą płaconych kar jest firma Pfizer, która w minionym dziesięcioleciu płaciła grzywny wielokrotnie, na sumę ponad 2,5 mld dol., a federalni sędziowie nazywali ją „notorycznym oszustem". Koncerny farmaceutyczne sponsorują dziś w USA ośrodki naukowe, uniwersytety, szpitale, organizacje lekarskie... Ten rak został zaimportowany do Polski, tylko na liście płac firmy Pfizer znajduje się kilkadziesiąt polskich organizacji lekarskich.

Film „Plandemia" ujawnia też wiele faktów nieznanych lub bardzo mało znanych, wszystko na oficjalnych dokumentach i cytowanych wypowiedziach kluczowych graczy. Na przykład historię opatentowania winnego obecnej „pandemii" koronawirusa oraz wszelkiej jego obsługi – naukowej, medycznej, organizacyjnej, przemysłowej. Opisuje też historię magnata naftowego Johna D. Rockefellera, który – jak mówią autorzy filmu – praktycznie stworzył współczesny przemysł farmaceutyczny, wpadłszy na pomysł, że wytworzone na bazie ropy naftowej chemiczne preparaty, które można opatentować, są gigantycznym, gwałtownie i nieskończenie rosnącym źródłem zysku. Warunkiem była właściwa narracja medialna. Uznanie dotychczasowego medycznego dorobku ludzkości za marginalną i szamańską „medycynę alternatywną", uznawanie prób demaskowania mechanizmów za „teorie spiskowe", uznawanie wszelkich sceptyków za płaskoziemców, odbieranie im prawa wykonywania zawodu, ośmieszanie, cywilne uśmiercanie. Pięknie pokazuje też film „Plandemia" modnych dziś i aktywnych tzw. fact-checkers, czyli rzekomo „weryfikatorów faktów", w istocie finansowanych przez te same koncerny i będących usłużnymi propagandystami, niczym Orwellowski wieprz Krzykała. I wiele, wiele więcej.

„Plandemia" – obejrzyjcie koniecznie. Konflikt interesów – przyglądajcie się koniecznie.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl d563a9d9f8

Jałta



Alina **Czerniakowska**

W lutowe mroźne dni warto powrócić myślami do pałacu w Liwadii na Półwyspie Krymskim. Tam od 4 do 11 lutego 1945 r. toczyły się obrady konferencji jałtańskiej, która chyba już na zawsze pozostanie symbolem zdrady Polski. O ironio, początki założenia owego pałacu sięgają 1834 r., gdy polski magnat Leon Potocki na zakupionym przez siebie terenie zbudował rezydencję, kaplicę katolicką i park. Po śmierci Potockiego posiadłość kupił cesarz Aleksander II Romanow.

Konferencja w Jałcie była drugim – po Teheranie – spotkaniem przywódców wielkiej trójki, decydujących o kształcie wyłaniającego się z wojny świata. Gdy Roosevelt, Churchill i Stalin spotkali się na Krymie, większa część Polski znajdowała się już pod kontrolą Armii Czerwonej. Poprzednie miesiące udowodniły, że Stalin dla podporządkowania sobie Polski nie powstrzyma się przed jednostronnymi i najbardziej brutalnymi działaniami. Z jego nadania nominalną władzę na zajętych przez Armię Czerwoną terenach od lipca 1944 r. sprawował utworzony w Moskwie, zdominowany przez komunistów, Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, przekształcony następnie w Rząd Tymczasowy, który został uznany przez ZSRR za jedyne prawowite polskie przedstawicielstwo. Od kwietnia 1943 r., po ujawnieniu grobów zamordowanych w Katyniu oficerów, Stalin nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych z rządem RP na uchodźstwie, mógł więc rozstrzygać w sprawie Polski bez Polski, nawet formalnie nie tłumacząc się z niczego. Masowe represje wobec żołnierzy AK, ujawniających się w ramach akcji „Burza", pokazywały, że przywódca radziecki nie szuka żadnego kompromisu z legalnymi polskimi władzami.

Sprawa polska była w Jałcie jednym z najważniejszym tematów dyskusji – na dziewięć punktów obrad aż siedem dotyczyło Polski. Jeszcze w Teheranie wielka trójka ustaliła, że wschodnia granica Rzeczypospolitej będzie przebiegać wzdłuż linii Curzona, co pozostawiało po stronie radzieckiej większość ziem, które Stalin uzyskał w 1939 r., współdziałając z Hitlerem w rozbiorze Polski. Roosevelt i Churchill liczyli jednak, że w Jałcie uda im się uzyskać ustępstwa Stalina w południowej części planowanej granicy. Gdy jednak generalissimus stanowczo odrzucił postulaty, by po stronie polskiej pozostały Lwów i naftowe zagłębie drohobyckie, zachodni alianci bez większych protestów przyjęli radzieckie stanowisko.

Ustalenia krymskiej konferencji rząd RP kategorycznie odrzucił w oświadczeniu wydanym 12 lutego 1945 r. Stwierdzano w nim, że oderwanie „od Polski wschodniej połowy jej terytorium przez narzucenie tzw. linii Curzona jako granicy polsko-sowieckiej Naród Polski przyjmie jako nowy rozbiór Polski, tym razem dokonany przez sojuszników...". Utworzenie nowego rządu „za pomocą uzupełnienia narzuconego Polsce komitetu lubelskiego" będzie prowadziło do „zalegalizowania ingerencji Moskwy w polskie sprawy". Na koniec powtórzono, że „jedyną prawowitą polską władzą pozostaje Rząd RP w Londynie".

Najbardziej gwałtowne reakcje na jałtański dyktat wystąpiły w szeregach 2 Korpusu walczącego we Włoszech, którego żołnierze w znacznej części pochodzili ze wschodnich terenów Rzeczypospolitej, oddanych Związkowi Radzieckiemu. Dowódca gen. Władysław Anders wystąpił do brytyjskich zwierzchników z wnioskiem o wycofanie polskich oddziałów z walk, argumentując, że „ani ja, ani podwładni mi dowódcy nie mogliby dzisiaj znaleźć uzasadnienia dla żądania od żołnierzy 2-go Korpusu Polskiego nowych ofiar". Uległ dopiero argumentom, że taki krok mógłby spowodować załamanie frontu walki z Niemcami. I bili się dalej „za wolność naszą i waszą", dając dowody niezwykłej odwagi, dzielności, honoru, chociaż już wiedzieli, że zostali sprzedani, że nie będą mogli wrócić do wymarzonej niepodległej, wolnej Ojczyzny i do swoich domów rodzinnych... Konferencja w Jałcie doprowadziła do rozłamu w łonie polskiej emigracji, na obóz „niezłomny" skupiony wokół Rządu RP oraz polityków, którzy gotowi byli zaakceptować krymskie ustalenia, wierząc naiwnie, że uda się zachować jakąś niezależność wobec Moskwy.

Tymczasem Stalin robił swoje, nie wahał się używać najgorszych podstępów, mordował, niszczył, grabił, zastraszał. Pod koniec marca NKWD zdradziecko aresztowało w Pruszkowie i wywiozło do Moskwy 16 przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Wiemy, jaki los ich spotkał. Roosevelt otrzymał od Stalina zapewnienie, że Związek Sowiecki będzie współpracował przy tworzeniu ONZ i po zwycięstwie nad Niemcami w ciągu dwóch–trzech miesięcy przystąpi do wojny z Japonią. W zamian sowiecki przywódca żądał swobody działań w Europie Wschodniej, odpowiedniej strefy okupacyjnej w Niemczech oraz ogromnych odszkodowań wojennych. Ale jak pisał Churchill: „Polska była w rzeczywistości najbardziej pilną przyczyną zwołania konferencji jałtańskiej i stała się pierwszym z wielkich powodów, które doprowadziły do rozpadu Wielkiej Koalicji".

W komunikacie z konferencji jałtańskiej znalazło się następujące oświadczenie wielkiej trójki: „Ponownie stwierdzamy nasze wspólne pragnienie ujrzenia Polski państwem silnym, wolnym, niepodległym i demokratycznym". Wiadomo, że z punktu widzenia Stalina były to tylko frazesy.

Nic się nie zmieniło. Jałta trwa. Świadczą o tym niedawne moskiewskie rozmowy wysokiego przedstawiciel UE do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa Josepa Borrella z Siergiejem Ławrowem. Może warto, by nasi rodzimi wrogowie, tak zaciekle walczący o władzę w Polsce, pomyśleli, jak wiele zła wyrządzają ojczyźnie.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl d563a9d9f8

Psychoza



Lech Makowiecki

Walka z COVID-19 to jedyna płaszczyzna działania, na której i rządzący, i opozycja licytują się, kto bardziej zadba o zdrowie i życie Polaków.

Informację o tym, że jesteśmy w europejskiej czołówce „wyszczepień", totalsi natychmiast spuentują: „Mało, stać nas na więcej!". Gdy z powodu pandemii rząd zamyka całe działy gospodarki, opozycja biadoli: „OK, ale zbyt późno". Gdy premier Morawiecki wprowadza kolejne tarcze dla biznesu, Koalicja Obywatelska domaga się zwiększenia wsparcia. Tak trudno zrozumieć, że doraźna pomoc nie może się stać normą funkcjonowania przedsiębiorstw?

Ten polityczny spór to być albo nie być dla obu stron. Ale do czasu... Coraz więcej rodaków ma już dość lockdownu. Zablokowany drobny i średni biznes doszedł właśnie do ściany. „Wolę umrzeć na covid niż z głodu" – ten krzyk rozpaczy zrujnowanego przedsiębiorcy najbardziej zapadł mi w pamięć. Następstwem bankructwa klasy średniej będzie nędza, która pociągnie za sobą falę depresji, samobójstw, ludzkie dramaty, rozpady rodzin, akty agresji, napady rabunkowe.

Pandemia ograniczyła dostępność usług medycznych. A przecież „zwykłe" schorzenia: nowotwory, udary, cukrzyce i inne przewlekłe choroby, nie zniknęły i zbierają dziś obfitsze żniwo niż sam koronawirus! Jeśli za jakiś czas nałożą się na to masowe powikłania poszczepienne – wahadło nastrojów społecznych odbije w drugą stronę. Założę się, że wtedy totalna opozycja nagle zmieni front. Już słyszę te faryzejskie kwiki: „To wy rządziliście. To wasza nieudolność doprowadziła do biedy Polaków i zapaści zdrowotnej całego narodu. Mordercy! Macie krew na rękach!" etc. etc. Może zatem warto zawczasu pójść po rozum do głowy: zamiast budzących kontrowersje szczepionek poszukać naprawdę skutecznych leków, otoczyć opieką grupy największego ryzyka, odblokować gospodarkę. I wsłuchać się w głosy naukowców i ludzi. Wszystkich! Kolejne wybory wygra ten, kto znajdzie złoty środek na życie z COVID-19.

Polak głupi...



Piotr Cywiński

Polacy to naród zachodniosłowiański, zamieszkujący obszar Rzeczypospolitej Polskiej i będący jej głównym składnikiem ludnościowym – tyle o nas w encyklopedycznym skrócie. Niby informacja konkretna, aliści z istotnym niedopowiedzeniem. Że co, że ta reszta, oprócz głównego składnika, to niePolacy? Piszę łącznie, bo nie cudzoziemcy, bo niby Polacy, jednak nie... Gdy się tak dobrze zastanowić, jest w tym encyklopedycznym skrócie o naszym lechickim narodzie ważny podtekst i przesłanie polityczne.

Weźmy niedawną transakcję Orlenu, który odkupił od Niemców, narodu germańskiego, zamieszkującego obszar Republiki Federalnej Niemiec, polskie media – jak zagrzmiało między Odrą, Bugiem a Nysą od tej reszty, co ważniejsi od głównego składnika oni są! „To wrogie przejęcie", wypalił poseł Koalicji zwanej Obywatelską Adam Szłapka, po niemiecku Schlapcka, co podaję w ramach dobrze pojętego internacjonalizmu, aby nasi zachodni sąsiedzi wiedzieli, jak wymawiać nazwisko tej wybitnej postaci spoza głównego składnika. „Padł ostatni bastion wolności w Polsce", znaczy, ten niemiecki, załkał Zembaczyński Witold z tejże kloalicji – pardon, to literówka, powinno być oczywiście koalicji... I teraz „Orlen ma monopol", huknęli pozostali spoza. Gdy tych 250 drukowanych i elektronicznych mediów, urabiających opinię 17,5 mln Polaków, należało do niemieckiej Verlagsgruppe Passau, były Obiektivität, Demokratie und Toleranz, a teraz nie będzie już w Pospolitej Rzeczy ani obiektywizmu, ani demokracji, ani tolerancji!

Będzie gorzej. Teraz ci z głównego składnika dobrali się do pozostałych zagranicznych koncernów, żeby płaciły podatki od gigantycznych zysków z reklam na obszarze Polski! To „nałożenie kagańca i zamach na wolne media", „nie wierzcie państwo rządowej propagandzie", zaapelowała w orędziu potajemnie nagranym i wyemitowanym przez publiczną TVP trzecia osoba w państwie Tomasz Grodzki, „geb. Stettin", jak podają niemieckie źródła miejsce urodzenia marszałka Senatu (Senatsmarschall), Szczecina nie podają, bo i po co łamać sobie języki. Trzecia osoba poszła za ciosem i zorganizowała w ramach trójkąta forum pt. „Praworządność pod presją" – jak doniosły media, z udziałem polityków z Niemiec i Francji oraz polskiej opozycji, bez tych z obozu władzy.

„Co Francuz stworzy, a Niemiec złoży, Polak głupi wszystko kupi", brzmi stare porzekadło. Polak? No, Polak! Wszak obszar Rzeczypospolitej zamieszkuje, jak widać, słychać i czuć, nie tylko główny składnik...

Reklama | 6/0221/F

eprasa.pl d563a9d9f8

Z paliwem Dynamic zima Cię nie zaskoczy.
Ciesz się pewnym rozruchem silnika
i efektywną jazdą w każdych warunkach.



PrzeSKOCZ na zimowe paliwo

Dynamic



LOTOS
1919 PZN
Generalny Sponsor Polskiego Narciarstwa

cprasa.pl d563a9d9f8



Ks. Blachnicki – mistrz nieskalany

JAN POSPIESZALSKI

27 lutego przypada 34. rocznica śmierci ks. Franciszka Blachnickiego (1921–1987), twórcy Ruchu Światło-Życie, który formował sumienia pokoleń Polaków. Wiosną ub.r. IPN uruchomił kolejne postępowanie prokuratorskie, które ma ustalić, czy nagła śmierć ks. Franciszka w Carlsbergu (RFN) nie była skutkiem celowych działań komunistycznych służb. Paradoksem jest, że już nie tylko tajemnicza śmierć wybitnego kapłana, ale sposób, w jaki w 2006 r. Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach prowadziła i umorzyła śledztwo, jest tematem sensacyjnych medialnych doniesień.

Od 2005 r., gdy głośna stała się sprawa agenturalnej działalności Jolanty Gontarczyk vel Lange, TW Panna, która w latach 1984–1987 należała do najbliższych współpracowników ks. Blachnickiego, podejrzenie zabójstwa podnoszone było w mediach wielokrotnie. Dziennikarze w ustaleniach byli bardziej dociekliwi niż prokurator Ewa Koj, która umorzyła pierwsze śledztwo. Dopiero od 2019 r., m.in. za sprawą eksperta od służb specjalnych Piotra Woyciechowskiego, jego wielu publikacji w mediach oraz aktywności w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia", sprawa śmierci twórcy oazy wróciła z mocą do debaty publicznej. Nie bez znaczenia jest trwający proces beatyfikacyjny Sługi Bożego Blachnickiego i dekret o heroiczności cnót wydany w 2015 r. przez Stolicę Apostolską.

Spartaczenie śledztwa przed 15 laty na tyle zaintrygowało posła Tomasza Rzymkowskiego, że wiosną 2020 r. wystąpił z wnioskiem o wznowienie postępowania. Wykazane błędy i zaniechania Ewy Koj były tak rażące, że natychmiast wszczęto nowe postępowanie. Obecny prokurator prowadzący, Michał Skwara, niechętnie dzieli się informacjami. Wiadomo jednak, że dokonano (zaniechaną w poprzednim śledztwie) ekshumacji szczątków ks. Blachnickiego, że w laboratoriach w Szczecinie i Krakowie prowadzone są wielostronne badania, że trwają przesłuchania świadków, a zgromadzone akta już dziesięciokrotnie przewyższają zawartość materiałów z lat 2005/2006. Pandemia utrudnia dostęp do zagranicznych archiwów, upływ lat i śmierć wielu kluczowych esbeków, którzy zabrali wiedzę do grobu, nie ułatwiają rozwikłania tajemnicy. Pozostaje wierzyć, że tym razem energia nowego śledczego, nadzór samego ministra Ziobry i presja opinii publicznej pozwolą rozwikłać tajemnicę.

Dwumilionowa armia wychowanków Ruchu Światło-Życie zmieniała Polskę, ale czy pokolenie uczniów ks. Blachnickiego zdoła odpowiedzieć na obecne wyzwania?

Mówiąc o ks. Franciszku Blachnickim, wpadam w tę samą pułapkę, co w przypadku św. Maksymiliana Kolbego. Okoliczności śmierci, a nie dorobek życia stanowią pierwsze i główne skojarzenie. Nie unieważniając pytania: czy ks. Franciszek był ofiarą komunistycznej zbrodni, setna rocznica jego urodzin (24 marca 1921 r.) jest okazją, by nie tylko śmierć, lecz również jego niezwykłe życie angażowały zbiorową wyobraźnię. Kościół ma dziś wiele powodów, by dzieło Franciszka Blachnickiego stało się ogólnopolskim duszpasterskim programem. W latach 90. XX w. w wielu seminariach połowa wszystkich kleryków pochodziła z Ruchu Światło-Życie. Również to, co ks. Blachnicki zrealizował w kwestiach społecznych i politycznych, od wielkiego programu ruchu abstynenckiego w latach 50., przez młodzieżowe oazy, Solidarność, do działalności emigracyjnej, Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, świadczą, że jego misja wykracza daleko poza sferę stricte religijną. Wielu członków oazy zaangażowało się w Solidarność. Często spotykam nietuzinkowych działaczy społecznych, polityków, artystów, naukowców, wyróżniających się szczególną odwagą, ofiarnością i walką o prawdę. Przy bliższym poznaniu okazuje się, że byli w Ruchu Światło-Życie.

Ks. Franciszek uczył, że wiara w Jezusa Chrystusa powinna mieć charakter integralny – całościowy. Chrześcijaństwo ma przenikać wszystkie sfery życia: osobistą, rodzinną, zawodową towarzyską, społeczną i polityczną. Dwumilionowa armia wychowanków Ruchu Światło-Życie zmieniała Polskę, ale czy pokolenie jego uczniów zdoła odpowiedzieć na obecne wyzwania?

Jean Guitton, francuski filozof i teolog, napisał: „Mistrzowie są nieskalani, lecz śniegi topnieją wraz z pierwszą generacją uczniów". Oby w tym przypadku nie miał racji.

eprasa.pl d563a9d9f8

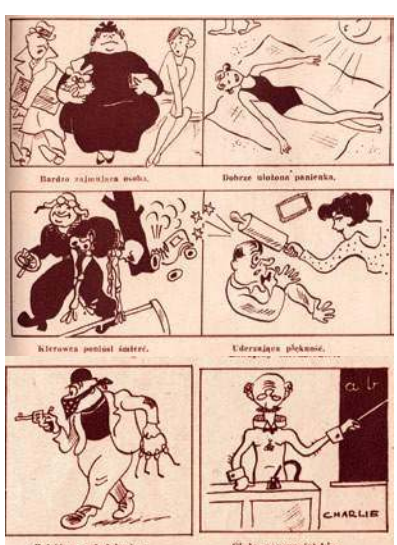
Michał Korsun prezentuje: „Blaszana huśtawka”, czyli plac zabaw Dulkiewicz za 350 tys. zł



Wycinki z przeszłości

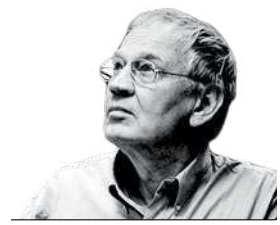
Czasy mamy ciężkie, zatem w naszym kąciku trochę humoru.

Te rysunkowe żarty znaleźliśmy w „Kalendarzu Ilustrowanego Kuryera Codziennego na rok 1934”. Wydany został w Krakowie, a była to już siódma edycja. Niech nikogo nie zmyli słowo kalendarz – w rzeczywistości to gruba, niemal 250-stronicowa księga, z licznymi artykułami o historii, nauce, kulturze i świecie – zawsze na wysokim poziomie. A żarty celnie opisują niezmienne w sumie typy ludzkie.



(mk)

Niechby, niechby...



Leszek Długosz

Akurat po emisji serialu o Agnieszce Osieckiej, po ostatnim odcinku, w którym bohaterka umiera, utknąłem i zamyśliłem się nad tymi wierszami Iłłakowiczówny. Jasne, gdzie Rzym, gdzie Krym? Ale odnajduję (nieodparcie) wcale niemało podobieństwa w tych wierszach. Czyli – i w sposobach mówienia, i – co zadziwiające – w sposobach wyrażania pragnień. Obydwie zmarły, jeśli chodzi o porę roku, by tak rzec, też po sąsiedzku – jedna w połowie lutego, druga z początkiem marca. Przyszło mi do głowy, że np. pod tym wierszem „Iłły”, mogłaby się najpewniej podpisać i poetka Agnieszka.

Kazimiera Iłłakowiczówna (1892–1983)

Niechby ta jedna nić

Kiedy trzeba będzie iść
w daleką ciemność,
niechby ta jedna nić
została ze mnie.
Niech oderwie się cała reszta
i spadnie w przepaść
– to jedno niech trwa na wieczność
dźwięczne, choć ślepe.
Bo tym, co za życia żyło
żywe najbardziej
– nieśmiertelna za grobem miłość
nie pogardzi.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl d563a9d9f8



OD A DO ZYBERTOWICZ

Harakiri kultury

Jaka jest kultura, która spięła te emocje uliczne? Jaka to kultura, która zmieściła w sobie tak brutalną formułę delegitymizacji?

„Czym jest kultura, która nie ocala ludzi ani narodów?" – ten tytuł przyciągnął moją uwagę. Autorem tekstu umieszczonego w „Open Eyes Magazine" (5/2020, wydawanym przez jedną z małopolskich fundacji pozarządowych) jest Robert Piaskowski.

W istocie tekst jest o kwestiach przyziemnych, o skutkach obostrzeń sanitarnych, które bezlitośnie dotknęły sektora kultury. Ale pierwszy akapit przypomina, że kultura „krucha jak porcelana, nadaje sens złożonemu milieu jednostek i grup społecznych, temu wielowymiarowemu żywemu światu, bez którego egzystencja ludzi ma wymiar wyłącznie biologiczny albo wyłącznie ekonomiczny. Wszystko, co społeczne, podlega interpretacji, nadawaniu znaczeń, opowiadaniu. Kultura i jej praktyki mieszczą w sobie wytwory, procesy aksjologiczne, potencjał zbiorowej mobilizacji, *przeciwciała konieczne dla regeneracji*. Tak rozumiana kultura jest fundamentem odnowy w świecie poddanym nie tylko obecnemu, ale i wszystkim nadchodzącym kryzysom".

PRZEZ BLUZGI DO GODNOŚCI

Pamiętam o tej kruchości, zapuszczając się do *innej* bańki informacyjnej (przy okazji przypominam sobie, że taka wizyta to może być prawdziwa... udręka).

Tekst profesora literatury współczesnej Przemysława Czaplińskiego „O nową umowę społeczną. Bunt październikowy 2020" powstał po debacie forum Idei Fundacji im. Stefana Batorego „Język rewolucji" (z listopada 2020 r.).

Czapliński, za Michałem Sutowskim z „Krytyki Politycznej", określa protesty po orzeczeniu TK jako „październikową rewolucję godności", a o wulgarności protestów pisze: „dwa najdonośniejsze okrzyki: »*Jebać PiS*« i »*Wypierdalać!*«. Oba są bardzo cielesne, oba odwołują się do skojarzeń seksualnych, niosą agresję, wściekłość, pogardę. (...) *Wypierdalać* nie ma znaczenia przestrzennego. Nie nakazuje komuś, aby odszedł, aby był łaskawy się oddalić. Oznacza ono całkowite podważenie prawa *wypierdalanta* do wypowiadania się na nasz temat. Kiedy więc krzyczymy o kimś czy do kogoś »*Wypierdalać*«, to w istocie go delegitymizujemy. »*To, co powiedziałeś, jest uzurpacją*«. Albo wyraźniej: »*Nie masz prawa do orzekania czegokolwiek o mnie*«".

Według profesora protestujący chcą nowej umowy społecznej, walczą o godność.

GDZIE TE PRZECIWCIAŁA?

Ale jaka jest kultura, która spięła te emocje uliczne? Jaka to kultura, która zmieściła w sobie tak brutalną formułę delegitymizacji?

Patrząc na to, ku czemu zmierza współczesny Zachód, ślepo wiedziony ideami hiper-wolności, nie wiadomo, czy lepiej opisuje to metafora samobójstwa kultury, czy też pandemii, której nie jest w stanie zatrzymać zbyt cienka warstwa przeciwciał.

W roku 2006 Antoni Libera podsumowuje fatalną kondycję polskiej literatury: „To jest naturalne w świecie wolnego rynku i kultury masowej (...). Martwi natomiast brak krytyki literackiej z prawdziwego zdarzenia. (...) Doszło tu do kolejnej *zdrady klerków*, i to dwojakiego rodzaju. Jedni zdradzili estetykę dla złotego cielca i robią ludziom wodę z mózgu, mieszając porządek wartości z porządkiem komercji. Drudzy – chyba jeszcze gorsi – znowu zdradzili sztukę dla ideologii. Bo nie jest prawdą, że wraz z upadkiem komunizmu skończył się wiek takich czy innych totalizmów. Skłonność do totalizmu tkwi w naturze człowieka i coraz to, w każdym pokoleniu, się odradza. Obecnie taką totalistyczną ideologią jest polityczna poprawność we wszelkich jej odmianach, kostiumach i maskach, jakoż postmodernistyczny relatywizm. Według mnie, ten cały trend to samobójstwo kultury. Na Zachodzie istnieją jednak *przeciwciała* i systemy immunologiczne, w związku z czym zachowane są jakie takie proporcje. Tamte tradycje są nieco starsze od naszej i znacznie bogatsze, a przez to bardziej odporne na infekcje. W naszej kulturze, pełnej kompleksów, poczucia niższości i wstydu, choroba rozwija się błyskawicznie i czyni spustoszenia".

Czy dziś Libera podtrzymałby swą wiarę w siłę przeciwciał obecnych na Zachodzie?

U nas w każdym razie mamy prawdziwy postęp: poprawność objęła też bluzgi. Byle kierować je pod właściwym adresem.

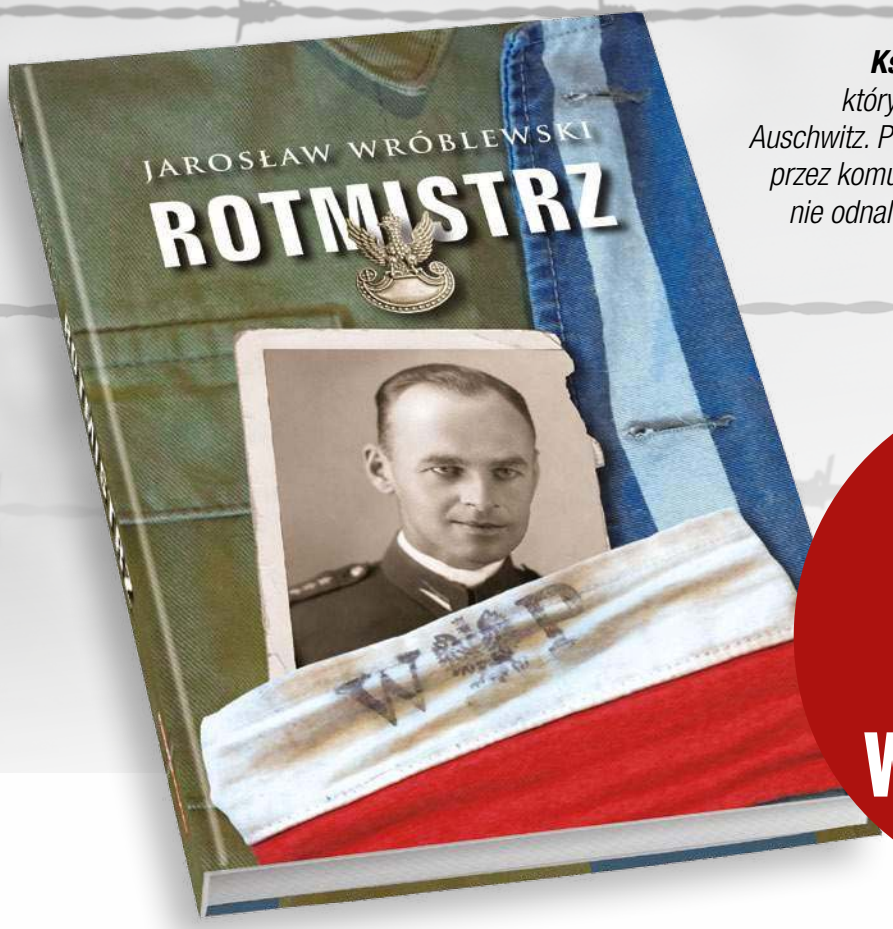
Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl d563a9d9f8

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

Z OKAZJI NARODOWEGO DNIA PAMIĘCI ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH



Książka o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, *który na ochotnika poszedł do piekła, jakim było Auschwitz. Potem był torturowany i został zamordowany przez komunistów w katowni na Rakowieckiej. Do dziś nie odnaleziono jego ciała. Jego życie to świadectwo odwagi, prawdy, służby i miłości do Polski.*

50 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:
tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę **Rotmistrz** otrzymasz **GRATIS**!

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl d563a9d9f8

1 marca

w tygodniku SIECI

dodatek patriotyczny z okazji Narodowego Dnia Żołnierzy Wyklętych



PRZYPOMINAMY:

- sylwetkę pułkownika Łukasza Cieplińskiego, aresztowanego w listopadzie 1947 r. i zamordowanego w więzieniu na Mokotowie 1 marca 1951 r.
- akcje zbrojne Żołnierzy Wyklętych
- prawdę o czasach sowieckiego terroru w Polsce po II wojnie światowej

Przywracamy pamięć o skazanych na zapomnienie!

Fot. Archiwum IPN o/Rzeszów

PARTNERZY DODATKU:

NBP Narodowy Bank Polski

ORLEN

PGE Polska Grupa Energetyczna

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

eprasa.pl d563a9d9f8